

Garret 06 Czerwone Zelazne Noce

Garret 06 Czerwone Zelazne Noce

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

GLENN COOK

Czerwone żelazne noce

Przełożyła Aleksandra Jagielowicz

?PRYWATNY DETEKTYW GARRETT:

Słodki srebrny blues

Gorzkie złote serca

Zimne miedziane łzy

Stare cynowe smutki

Ponure mosiężne cienie

Czerwone żelazne noce

Śmiertelne rtęciowe kłamstwa

Dla Mikę 'a DiGenio, Lamie Mann

i wszystkich tych cudownych ludzi z NESFA,

którzy stworzyli Boskone.

? Kiedy wpadłem jak bomba do Domu Radości Morleya, ktoś mógł pomyśleć, że jestem tym podstarzałym gościem w łachmanach, który macha kosą. W sali panowała kompletna cisza. Znieruchomiałem. Nie mogłem ustać na nogach pod ciężarem tych wszystkich spojrzeń.

- Hej, ktoś wam wcisnął ukradkiem cytryny do sałatki?

Szybka kontrola środowiska. Wyglądało tak, jakby w samym jego środku dostał szału ktoś uzbrojony w ciężką, brzydką pałę. Jakby ci goście spędzali większość czasu, rozplaszczając się na ścianach i goląc się o krawężnik. Zobaczyłem dość blizn i połamanych nosów, żeby otworzyć dwie galerie.

Właśnie tak wygląda klientela Domu Radości.

- Auć, cholera. Przecież to Garret - Mój kumpel Kałuża stał bezpiecznie za barem. - Jeszcze raz, chłopaki.

Kałuża ma na moje oko z osiemdziesiąt dwa lata, cerę osoby, która już od jakiegoś czasu nie żyje, i gdyby mnie kto pytał, stężenie pośmiertne dwadzieścia lat temu złapało go od szyi w górę i nie puściło.

Kilku karłów, jeden ogr, trochę różnorakich elfów, oraz grupka

facetów nieokreślonej paranteli odstawili kufle koktajlu z kwaszonej kapusty i ruszyli ku drzwiom. Nawet nie znałem tych typów. Bo ci, którzy mnie znali, robili wszystko, żeby tego nie było po nich widać. Szeptana informacja rozeszła się piorunem, ci, którzy mnie rzeczywiście nie znali, natychmiast zostali poinformowani.

Co za balsam na ego. Od dziś nazywam się Tyfus Garrett. - Witam wszystkich - zacząłem, udając radochę. - Czy to nie cudna nocka?

Nie była cudna. Lało jak z cebra, a kropelki tłukły się między sobą przez całą drogę do ziemi. W głowie miałem wgłębienia od przelotnych opadów gradu, bo nie byłem na tyle mądry, żeby włożyć kapelusz. Jediną dobrą stroną tej pogody była nadzieja, że deszcz zmyje cały syf z ulic.

Część śmieci dojrzała już do tego, żeby wstać i odejść o własnych siłach.

Miejscy ludzie- szczury z dnia na dzień byli coraz bardziej leniwi.

- Hej, Garrett! Chodź no tutaj! No, wreszcie jakaś przyjazna gęba.

- Cześć, Saucerhead, stary druhu! - Pożeglowałem w stronę zacienionego stolika, który Tharpe

dzielił z jakimś smutnym facetem. Nie zauważyłem go wcześniej, bo siedział w półmroku. Nawet z bliska nie byłem w stanie rozróżnić rysów twarzy jego koleś. Gość miał na sobie ciężkie szaty, jak niektóre gatunki duchownych, z kapturem włącznie. Emanował smętkiem jak trującym miazmatem. Nie należał do gości, którzy potrafią rozbawić towarzystwo.

- Weź sobie krzesło - zaproponował Tharpe. Nie wiem dlaczego nazywają go Saucerhead. Nie bardzo to lubi, ale chyba woli to, niż „Waldo”, którym obdarzyło go jedno - lub oboje - z rodziców.

Posłusznie usadowiłem zadek.

- Zdaje się, że nie bardzo cię tu lubią - zauważył kompan Tharpe. - Może jesteś chory?

Nie miał paskudnego humoru, był po prostu bardzo szczery - kalectwo społeczne gorsze niż nieświeży oddech.

- Ha! - ryknął Saucerhead. - Ha- ha- ha! Dobrze, Licks. Do licha. To cały Garrett. Przecież ci o nim mówiłem.

- Mgła się podnosi. - Ale nie wokół niego, o, co to, to nie.

- Chyba zaczynam się tu czuć nie najlepiej - stwierdziłem. - Mylicie się. - Po chwili dodałem głośniejszym głosem: - Wszyscy się cholernie mylicie. Nie pracuję. Nie przyszedłem węszyć. Po prostu wpadłem pogadać z kumplami.

Nie uwierzyli.

A przynajmniej nikt nie zauważył, że przecież ja nie mam kumpli.

- Gdybyś tu czasem przychodził, jak kto normalny - odezwał się Saucerhead - a nie tylko wtedy, kiedy siedzisz po szyję w krokodylach, może ludzie zaczęliby się uśmiechać na twój widok.

Burum- burum. Trudno się z tym nie zgodzić.

- Dobrze wyglądasz, Garrett. Chudy i zgorzkniały. Wciąż ćwiczysz?

- No. - Jeszcze bardziej burum- burum. Nie za bardzo lubię pracę, a już zwłaszcza taką, która wymaga użycia mięśni. Moim zdaniem, w każdym normalnym świecie najlepszy i jedyny trening dla faceta to odpowiednia porcja blondynek, brunetek i rudych.

Do tej pory wszystko jasne? Jestem Garrett, detektyw i poufny agent, nie gna mnie żadna wszechogarniająca ambicja, mam skłonności do pewnego typu figury i wyjątkowy talent do wdeptywania w rzeczy, których moi przyjaciele i znajomi nie uważają za miłe. Jakaś trzydziestka na karku, sześć stóp dwa cale wzrostu, złociste włosy i niebieskie oczy, psy nie wyją, kiedy przechodzę, choć niebezpieczeństwa mojej profesji poznały mnie śladami nadającymi charakter obliczu. Powiedziałbym, że jestem uroczy. Moi przyjaciele mają inne zdanie. Powiedzmy, że nie biorę życia zbyt serio. Trochę przesadzisz i już wyglądasz jak kumpel Saucerheada.

Kałuza przyzełgował z ogromnym dzbanem mojej ulubionej potrawy, tego boskiego eliksiru, który sprawia, że potem muszę ćwiczyć. Nalał go z własnego prywatnego antałka, zachomikowanego gdzieś za barem. Dom Radości nie podaje niczego innego, poza króliczą paszą i tym, co z niej można wycisnąć. Morley Dotes jest szalonym wegetarianinem.

Pociągnąłem potężny łyk gorzkawego piwa.

- Jesteś księciem, Kałuza. - Wyłowiłem z kieszeni srebrną markę.

- Jasne, następca tronu w prostej linii. - Nawet nie udawał, że chce mi wydać resztę, faktycznie książę. W hurcie kupiłbym za to całą beczkę, zwłaszcza teraz, kiedy cena srebra skoczyła w górę. - Jakim cudem siedzisz tutaj, zamiast pławić się w hektarach rudowłosych laleczek?

Moja ostatnia wielka sprawa krążyła wokół całych szwadronów przedstawicielek tego rozkosznego podgatunku. Niestety, tylko jedna z całej kolekcji okazała się zjadliwa. Rude już takie są. Albo szatany, albo anioły - a z tych aniołów też nie żadne anioły. Zdaje się, że one już od małego

próbują pracować na swój image.

- Pławić się, Kałuża? - Ciekawe, gdzie on wyczytał takie słownictwo? Człowiek ma problemy z wypowiedzeniem własnego nazwiska tylko dlatego, że ma więcej niż jedną sylabę. - W szkole byłeś, czy co?

Kałuża wyszczerzył zęby.

- Hej, co to, wieczór gry w salonowca? Z poczciwym Garrettem w roli wystawionego zadka? - zapytałem.

Wyszczierz Kałuży rozszerzył się w niemłą mozaikę dziur i zepsutych zębów. Ten facet powinien się nawrócić i zostać jednym z odrodzonych wegetarian Morleya.

- Sam robisz z siebie wielki cel - odparł Saucerhead.

- Muszę. Dla każdego. Słyszałeś, co zrobił Dean?

Dean to staruszek, który prowadzi dom mnie i mojemu partnerowi, a gotuje tylko dla mnie. Ma około siedemdziesiątki i byłby dobrą żoną.

W czasie, kiedy my kłapaliśmy paszczkami, towarzysz Tharpe'a napełniał i ubijał, napełniał i ubijał największą cholerną faję, jaką w życiu widziałem. Miała główkę jak nocnik. Kałuża przyniósł z baru mosiężny kubełek pełen żarzących się węgli. Licks chwycił jeden węgielek za pomocą miedzianych szczypców i przeniósł go do fai, a potem zaczął wypuszczać kłęby dymu w takiej ilości, że wszystkich nas mógłby uwędzić.

- Muzycy - mruknął Saucerhead, jakby to wyjaśniało wszystkie choroby tego świata. - Nie słyszałem, Garrett. Co on znowu zrobił? Znowu znalazł kota? - Dean miał właśnie atak zbierania przybłęd. Musiałem być stanowczy, żeby nie skończyć po pas w kociej sierści.

- Gorzej. Mówi, że się wprowadzi. Jakbym ja nie miał głosu w tej sprawie, a on zachowuje się tak, jakby się cholernie poświęcał.

Saucerhead zachichotał.

- No to pa, wolny pokoju! I gdzie teraz zmieścisz nadprogramową laseczkę? Biedulek. Będziesz musiał obskakiwać po jednej naraz.

Burum- burum.

- Nie powiem, żebym był nimi zasypany. Teraz muszę obskakiwać żadną naraz, odkąd Winger i Tinnie wpadły na siebie na ganku.

Kałuża ryknął śmiechem. Poganin.

- A co z Mayą? - zapytał Tharpe.

- Od pół roku jej nie widziałem - odrzekłem. - Zostałem sam na sam z Eleanor.

Eleanor to obraz, wiszący na ścianie mojego gabinetu. Lubię tę małą, ale ma swoje ograniczenia.

Wszyscy uważali, że moja sytuacja jest przezabawna - wszyscy, z wyjątkiem kumpla Tharpe'a. Nie słuchał nikogo, z wyjątkiem siebie. Zaczął coś nucić. Uznałem, że muzyk z niego żaden. Nie wyciągnie melodii nawet kołowrotem.

Kałuża przestał kwiczeć na wystarczająco długo, żeby wykrztusić:

- Wiedziałem, że coś kombinujesz. Nie to co zawsze, ale chcesz się, kurde, wkręcić.

- Chłopie, ja tylko chcę być poza domem. Dean mnie wkurza, Truposz nie ma zamiaru spać, bo czeka, aż Glory Mooncalled wywinie numer, i nie chce tego przegapić. Niech kto spróbuje wytrzymać z tą parką połowę tego czasu, co ja.

- Nooo, ciężki masz żywot. - Saucerhead znowu się wyszczerzył. - Serce mi pęka. Wiesz co? Zamienię się. Ja biorę twój dom, ty mój. Dorzucę Billie. - Billie była jego aktualną flamą, taki skrawek blondynki z temperamentem plutonu rudych.

- Czyżbym wyczuwał nutę rozczarowania?

- Nie. Całą cholerną operę.

- Mimo to, dzięki. Może innym razem. - Dom Saucerheada był jednoosobową rudera bez sieni i mebli do towarzystwa. Mieszkałem już nieraz w takich budach, zanim zebrałem dość forsy, żeby kupić dom na spółkę z Truposzem.

Saucerhead zatknął kciuki za pas, odchylił się na krzesło, śmiał się i kiwał głową, kiwał i śmiał się. Drwiący uśmiech na jego paskudnej gębie to widok wart świeczki. Wytrzymuje z nim tak długo, że wkrótce Korona ogłosi go rezerwatem natury. Twierdzi, że jest człowiekiem, ale ze wzrostu i wyglądu można by podejrzewać, że ma w sobie kroplę krwi trolla lub wielkoluda.

- Nie chcesz ubić interesu, Garrett. Nie mogę powiedzieć, żebym ci współczuł.

- Mogłem sobie iść do jakiejś drugorzędnej speluny i utopić smutki w mocnym alkoholu, wylewając je w uszy współczujących nieznajomych, ale nie. Musiałem przyjść akurat tutaj...

- Jak dla mnie, może być - wtrącił się Kałuża, kiedy zacząłem śpiewkę o mocnych alkoholach. - Nie chcemy cię zatrzymywać.

Nigdy go nie uważałem za przyjaciela, tylko transakcję związaną z moim przyjacielem Morleyem, choć przyjaźń Morleya jest już i tak dość podejrzana.

- Odbierasz radość Domowi Radości, Kałuża.

- Hej, Garrett. Ta sala aż się bujała, dopóki tu nie wlałeś. Kumpel Saucerheada, Licks, już nawet nie bulgotał, ale dymił

jak wulkan i szczyrzył zęby. Dostawałem dymka z drugiej ręki, ale i tak też miałem ochotę nucić. Straciłem wątek, zacząłem się zastanawiać, dlaczego tę budę nazywają Domem Radości, co sugeruje coś znacznie bardziej egzotycznego niż wegetariańską norę. Nagle Licks skoczył, jakby go przypiekło. Ruszył w stronę drzwi, tak jakoś jakby leciał, jakby stopami nie dotykał podłogi. Nigdy nie widziałem kogoś, kto by tak ciągnął zielsko.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - zapytałem Tharpe'a.

Licksa? To on mnie znalazł. On i kilku innych chłopców zamierzają zorganizować muzyków.

- Już nie kończ. - Mogłem sobie wyobrazić, dlaczego Saucerhead tak im się spodobał. Tharpe żyje z tego, że przekonuje ludzi. Jego technika obejmuje wyginanie członków w nienaturalne strony.

Dwóch czy trzech Morleyów spłynęło ze schodów wiodących na piętro, śledząc wzrokiem Licksa, który właśnie wychodził. Morley już o mnie wiedział. Kałuża ostrzegł go przez tubę w gabinecie na górze. Trudno było stwierdzić przez ten dym, ale Morley wydawał się wkurzony.

Morley to mieszaniec, pół człowiek, pół czarny elf. Dominuje elf. Jest niski, szczupły i tak przystojny, że aż grzech. A grzeszy chętnie, najczęściej z cudzymi żonami, jeśli tylko przez chwilę wytrzymają w bezruchu.

Teraz miał mały, sprytny wąsik, jak ślad po pędzelku. Czarne włosy zaczesał gładko do tyra. Ubrany był absolutnie zabójczo - choć ten typ wygląda dobrze w każdym stroju. Podpłynął do nas, szczerząc garnitur spiczastych zębów.

- Co to za żyjątko masz pod nosem?

Saucerhead rzucił sprośną uwagę, ale Morley udął, że nie słyszy.

- Strajkujesz, Garrett? Dawno cię tu nie było.

- Po co pracować, kiedy nie muszę? - Udawałem krezusa, choć moje finanse poniekąd stopniały. Utrzymanie domu kosztuje.

- Masz coś na tapecie? - Usiadł na krzesło zajmowanym do tej pory przez Licksa, odgonił ręką natrętny dym.

- Niespecjalnie. - Wywaliłem mu na stół cały ból mej duszy. On też się śmiał.

- Genialne, Garrett. Prawie ci uwierzyłem. Muszę przyznać, że jak już coś wymyślisz, to brzmi

bardzo, ale to bardzo prawdopodobnie. No, o co chodzi? Jakies sza- sza- sza? Nie słyszałem, żeby coś się działo. W mieście robi się nudno.

Mówił tak długo, bo bełkotałem:

- Nie... ty też?

- Nigdy tu nie zachodzisz, chyba że potrzebujesz ramienia, żeby cię wyciągnąć z dołu, który sam sobie wykopałeś.

To nieuczciwe. I nieprawda. Przecież posunąłem się nawet do tego, żeby zjeść trochę tego krowiego specjału, który serwuje jego adiutant A raz nawet za to zapłaciłem!

- Nie wierzysz mi? No to powiedz wprost. Gdzie ta kobieta?

- Jaka kobieta? - Dotes, Saucerhead i Kałuża szczerzyli się jak oposy w rui. Myśleli, że jestem na haju.

- Twierdzisz, że pracuję. A gdzie kobieta? Bo kiedy włożę w kolejną dziwną sprawę, zawsze gdzieś w pobliżu czai się ślicznotka. Zgadza się? No to gdzie jest ta laska u mojego ramienia? Kurde, mam takie pieprzone szczęście, że chyba zacznę zaraz pracować tylko po to... hę?

Już mnie nie słuchali. Gapili się na coś za moimi plecami.

Lubiła czarny kolor. Miała czarny płaszcz przeciwdeszczowy narzucony na czarną suknię. Krople deszczu jak diamenty błyszczały w jej kruczoczarnych włosach. Nosila czarne skórzane rękawiczki. Wyobraziłem sobie, że gdzieś posiała czarny kapelusz. Cała była czarna, z wyjątkiem twarzy. Twarz miała białą jak kość. Poza tym pięć stóp i sześć cali wzrostu. Młoda. Piękna. Przerazona.

- Zakochałem się - szepnąłem.

Morleya nagle opuściło poczucie humoru.

- Nie chcesz mieć z nią do czynienia, Garrett - mruknął. - Przerobi cię na trupa.

Spojrzenie kobiety, arogancki błysk w zdumiewających czarnych oczach, przemknęło po nas tak, jakbyśmy nie istnieli. Przysiadła przy samotnym stoliku, z dala od innych, zajętych. Kilku bywalców Morleya zdrzało, kiedy przechodziła. Udawali, że jej nie widzą.

Interesujące.

Przyjrzałem się jeszcze troszkę. Miała około dwudziestki. Jej szminka była tak jaskrawoczerwona, że wyglądała jak świeża krew. To i bladość jej twarzy przyprawiły mnie o ciarki. Ale nie.

Żaden normalny wampir nie zapuściłby się na niegościnne ulice TunFaire.

Byłem zaintrygowany. Czego tak się bała? Dlaczego tak przeraziła tę bandę?

- Znasz ją, Morley?

- Nie, nie znam. Ale wiem, kto to jest. - No?

- To bachor kacyka. Widziałem ją w zeszłym miesiącu.

- Córnka Chodo? - Byłem zaskoczony i mój romantyczny nastrój oklapł.

Chodo Contague to imperator zbrodni TunFaire. Jeśli coś znajduje się na podbrzuszu społeczeństwa i przynosi zysk, Chodo na pewno macza w tym palce.

- Tak.

- Byłeś tam? Widziałeś go?

- Tak - odpowiedział, ale już mniej pewnie.

- A więc on naprawdę żyje. - Słyszałem o tym, ale nie chciało mi się wierzyć.

Bo wiecie, w mojej ostatniej sprawie, tej z całym bukietem rudych dzierlatek, ja i moja przyjaciółka Winger oraz dwóch największych zbirów Chodo wyładowaliśmy po drugiej stronie barykady. Winger i ja ulotniliśmy się przed mokrą robotą, uważając, że jeśli będziemy za blisko, to pójdziemy na drugi ogień. Kiedy wychodziliśmy, Crask i Sadler doprowadzili staruszka do stanu

rozebranej padliny. Ale nie wyszło. Chodo wciąż był wielkim bongo- bongo, a Crask i Sadler byli dalej jego naczelnymi karkołamaczami, tak jakby nigdy w życiu nie zamierzali go uciszyć.

Trochę mnie to martwiło. Chodo widział mnie wtedy dość wyraźnie, a nie należał do pobłażliwych.

- Córka Chodo? A co ona robi w takiej dziurze?

- Co masz na myśli, mówiąc o dziurze? - Nie można nawet pomyśleć, że Dom Radości jest czymś mniej niż szczytem elegancji, żeby Morley zaraz nie wsiadł ci na kark.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ona różnie damę. Cokolwiek ty czy ja o tym myślimy, dla niej to speluna. To nie Góra, Morley. Jesteśmy w Strefie Bezpieczeństwa.

Sąsiedztwo Morleya. Strefa Bezpieczeństwa. Obszar, gdzie

istoty rozmaitego autoramentu spotykają się i robią interesy, nieco mniej ryzykując życie. Ale na pewno nie jest to śmietanka tego miasta.

A ja przez cały czas tej bezsensownej młócki ozorami zastanawiałem się, co by tu wymyślić, żeby podejść do niej i wyznać, że padłem ofiarą jej urody. Tymczasem mój instynkt samozachowawczy podpowiadał, żebym z siebie nie robił cholernego głupka, bo potomek Chodo to dla mnie pewna śmierć.

Chyba się poruszyłem, bo Morley złapał mnie za ramię:

- Jak już naprawdę nie możesz, leć do Połudwicy. Rozsądek. Nie wkładaj łapy do ognia. Uczepiłem się całego

mojego zapasu zdrowego rozsądku. Usiadłem. Opanowałem to. Ale nie mogłem przestać się gapić.

Drzwi frontowe nagle eksplodowały do wewnątrz. Dwóch wielkich brunos wniosło ze sobą mniej więcej połowę burzy i przytrzymało drzwi, żeby trzeci mógł przejść. Aten wchodził powoli, jak na scenę. Był trochę niższy od tamtych, ale nie mniej muskularny. Ktoś użył jego twarzy, żeby namalować na niej nożem mapę. Jedno oko było na zawsze zamknięte. Górną wargę wykrzywiał równie wieczny uśmiech. Aż emanował draństwem.

- O, kurde - mruknął Morley. - Znasz ich?

- Tego typu tak.

Saucerhead odpowiedział za mnie.

- A kto go nie zna.

Facet z gębą w bliznach rozejrzał się wokoło. Spozrzegł dziewczynę. Ruszył w jej stronę. Ktoś wrzasnął „Zamknij te pieprzone drzwi!”. Dwa osiłki przy drzwiach chyba dopiero teraz rozejrzały się i dotarło do nich, jaki typ gości odwiedza miejsca takie, jak Dom Radości.

Zamknęli drzwi.

Nie miałem do nich żalu. Morleya odwiedzają czasami bardzo nieprzyjemne typy.

Bliznowaty nie wyglądał na przejętego. Podszedł do dziewczyny. Ona udawała, że go nie widzi. Pochylił się i coś jej szepnął do ucha. Poderwała się i spojrzała mu w oko. Splunęła.

Dzieciak Chodo, oczywiście.

Bliznowaty uśmiechnął się. Był zadowolony. Miał pretekst. W sali panowała całkowita cisza, kiedy złapał ją za ramię i wyrwał z krzesła. Skrzywiła się z bólu, ale ani pisnęła.

- 1 to by było na tyle - mruknął Morley. Mówił dość cicho. Niebezpiecznie cicho. Jego gości się nie rusza. Bliznowaty chyba o tym nie wiedział. Zignorował Morleya. W większości przypadków to życiowy błąd. Może miał szczęście?

Morley wstał. Zbiry od drzwi wlażyły mu pod nogi. Dotes kopnął jednego w skroń. Gość był dwa razy taki jak on, ale padł, jakby go kto zdzielił kłonicą. Drugi popełnił błąd i złapał Morleya.

Saucerhead i ja ruszyliśmy się z miejsca w sekundę po tym, jak zrobił to Dotes. Okrążyliśmy scenę, przeganiając porysowanego przyjemniaczka. Morley nie potrzebował pomocy. A nawet gdyby, Kałuża był za barem i właśnie wyciągał jakieś narzędzie zniszczenia.

Deszcz chłostnął mnie w twarz, jakby chciał wcisnąć moją szanowną osobę z powrotem do środka. Było jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy przyszedłem.

- Tam - powiedział Saucerhead. Dostrzegłem czarną masę powozu i dwie szarpiące się ze sobą postaci. Bliznowaty próbował wcisnąć dziewczynę do środka.

Skoczyliśmy w tamtą stronę, ja odpiąłem od pasa ukochaną dębową łamigłówkę. Nigdy nie wychodzę bez niej z domu. Ma długość osiemnastu cali i pół funta ołowiu w roboczym końcu. Bardzo skuteczna i z reguły nie pozostawia stosu ciał na ulicy.

Saucerhead był szybszy. Złapał Bliznowatego z tyłu, zawinął nim i rzucił o najbliższy budynek z hukiem, który zagłuszył nawet odgłos odległego grzmotu. Wsunąłem się w opróżnione miejsce i złapałem dziewczynę.

Ktoś usiłował wciągnąć ją do powozu. Otoczyłem jej talię lewym ramieniem, pociągnąłem i pchnąłem sztychem w ciemność za nią, licząc, że trafię gościa między ślepia.

I zobaczyłem te ślepia. Ślepia jak z bajki o duchach, pełne zielonego ognia, trzy razy za duże, jak na zwiędłego typa, który był do nich doczepiony. Pewnie miał ze sto dziewięćdziesiąt lat, ale był silny. Ścisnął ramię dziewczyny obiema dłońmi, przypominającymi ptasie szpony, i ciągnął ku sobie, a razem z nią także i mnie.

Zakręciłem pałą, usiłując nie patrzeć w te ślepia, bo były bazyliżkowate. Wystraszyły mnie na śmierć. Poczulem lodowaty dreszcz - od czubka głowy po kość ogonową. A mnie niełatwo przerazić.

Przyłożyłem mu raz a dobrze, w sam czerep. Uchwyt zelżał, dzięki czemu zdołałem wymierzyć kolejny cios. Walnąłem.

Otworzył szeroko gębę, ale zamiast wrzasku wyleciała z niej chmura motyli. Około miliona, tak na oko, bo wypełniły cały powóz. I wszystkie dobrały mi się do skóry. Cofnąłem się, machając ramionami jak wściekły. Żaden motyl nigdy mnie jeszcze nie ukąsił, ale czy to wiadomo, do czego są zdolne poczwary wylatujące z gęby jakiegoś starego żłoba?

Saucerhead odciągnął dziewczynę, mnie odrzucił w tył jak szmacianą lalkę, zanurkował i wyciągnął starucha na wierzch. A kiedy Saucerhead się wkurzy, lepiej nie wchodzić mu w drogę, bo wszystko rozwała.

Oczy starego straciły na jasności. Saucerhead podniósł go jedną ręką:

- Co to za sztuczki, dziadku? - zapytał i rzucił nim o tę samą ścianę, po której przed chwilą spłynął Bliznowaty. A potem podszedł do nich i zaczął rozdzielać kopniaki, to jednemu, to drugiemu, bez ceregieli. Słyszałem trzask łamanych żeber. Uważałem, że chyba powinienem go uspokoić, zanim zrobi komuś krzywdę, ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Nie chciałem mu wchodzić, w drogę, kiedy był w takim nastroju. A poza tym wciąż jeszcze miałem na karku stado motylków.

Tharpe sam się uspokoił. Złapał starego za wszarz i wrzucił do powozu. Ten wydał z siebie cichy skowyt, jak bity szczeniak. Tharpe dorzucił do sterty Bliznowatego i spojrział w górę. Na siedzeniu woźnicy nie było nikogo, więc walnął najbliższego konia w zad i ryknął.

Zaprzęg ruszył z kopyta.

Chyląc głowę pod strugami deszczu, odwrócił się w moją stronę.

- To wystarczy tym błaznom. Hej! A gdzie dziewczyna?

Zniknęła.

- Cholerna niewdzięcznica. Możesz mieć takich na pęczki. Do licha. - Uniósł głowę i pozwolił, aby deszcz przez chwilę padał mu na twarz, wreszcie rzekł:

- Idę po rzeczy. Co powiesz na to, żebyśmy sobie dali czadu, ty i ja,' a potem jakaś mała bójka?

- Myślałem, że właśnie skończyliśmy jedną.

- E tam. Banda lalusiów. Smoczki. Chodź.

Nie miałem ochoty szukać dalszych kłopotów, ale wydawało mi się, że dobrze byłoby zejść z deszczu i zniknąć z oczu motylom. Chyba już mówiłem, że jeszcze nie zużyłem całej porcji rozsądku na dziś?

Jeden z dwójki zbirów robił za tamę w kanale przed drzwiami Morleya. Drugi wyleciał, kiedy wchodziliśmy.

- Hej! - wrzasnął Tharpe. - Patrz, gdzie wyrzucasz śmieci!

W środku rozejrzałem się uważnie. Dziewczyna nie wróciła tutaj. Morley, Kałuża i ja usiedliśmy, żeby się zastanowić, o co właściwie chodziło. Saucerhead poszedł szukać prawdziwego wyzwania.

Zrobiłem wszystko, żeby wyciągnąć z antańka Kałuży przynajmniej tyle, za ile zapłaciłem, siedząc z Morleyem i dzieląc na kawałki kapustę, królów i motyle, i stare dobre czasy, które nigdy nie były aż tak dobre... choć dla mnie miały swój urok, tu i tam. Wybawiliśmy świat od wszelkiego zła, ale uznaliśmy, że nikt u władzy nie ma dość rozumu, aby wdrożyć nasz program. Sami zresztą też nie mieliśmy wielkiej ochoty się za to brać.

Kobiety okazały się smętnym tematem. Ostatnio szczęście Morleya nie różniło się od mojego. Tego było dla nas za wiele - patrzeć na tę wielką kluchę, Kałużę, jak siedzi z kciukami za pasem, kołysząc się na krześle, a głowę ma rozpromienioną jak księżyc na wspomnienie swoich niedawnych wyczynów.

Deszcz padał bez litości. Wreszcie musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: zaraz znowu zmoknę. Zaraz zmoknę, i to bardzo dosłownie, jeśli Dean nie zechce odpowiedzieć na moje walenie i wrzaski pod drzwiami. Z zaciśniętymi zębami i nędznymi resztkami optymizmu pożegnałem się i zostawiłem Morleya wraz z jego budą. Dotes miał równie zadowoloną minę, jak jego goryl. On był u siebie w domu.

Wcisnąłem podbródek w pierś i żałowałem, że nie miałem dość rozumu, aby wziąć kapelusz. Rzadko nosze nakrycia łowy - tak rzadko, że zapominam o nich nawet wtedy, kiedy wypadaloby je nosić. Deszcz natychmiast znalazł sobie drogę za mój kołnierz.

Zatrzymałem się w miejscu, gdzie uratowałem tajemniczą córkę Chodo przed jeszcze bardziej tajemniczymi napastnikami. Deszcz zmył już większość śladów. Powęszyłem przez chwilę i już miałem uznać, że połowę zdarzenia sobie wyobraziłem, kiedy znalazłem jednego zmiętego motyla. Ostrożnie podniosłem nieboszczyka i najostrożniej jak mogłem umieściłem go w stulonej dłoni.

Mieszkam w starym ceglany domu, w niegdyś dobrze prosperującej części ulicy Macunado, w pobliżu Zaułka Czarodziejów. Typy z klasy średniej opuściły dawno tonący okręt. Większość sąsiednich domów już dawno rozparcelowano na małe mieszkanek dla biedaków ze stadami dzieci. Z reguły, kiedy mijam mój dom, zatrzymuję się, przyglądam mu i przez chwilę zamyślam nad dobrym losem, który zesłał mi robotę dość dobrze płatną, abym mógł go kupić. Niestety, zimny deszcz za kołnierzem ma tendencję do leczenia z nostalgii.

Wbiegłem po schodach i zastukałem w specjalny sposób, bam- bam- bam, rycząc jak wół:

- Otwieraj, Dean! Zaraz się utopię!

Ujrzałem potężny błysk. Od grzmotu zęby zadzwoniły mi w dziąsłach. Jeszcze przed chwilą panowie nieba nie byli aż tak bojowi, za to teraz szykowali się do kolejnego Wielkiego Potopu. Gromy i błyskawice dawały mi do zrozumienia, że to nie żarty. Ganek nie był osłonięty od wiatru.

Może dzwoniło mi w uszach, ale wydawało mi się, że słyszę miauczenie kociaka. Wiedziałem, że to nie może być kot, bo przecież powiedziałem Deanowi to i owo na temat jego przybłąd. Nie

zrobiłby mi tego.

Po drugiej stronie drzwi usłyszałem szuranie i szepty. Wrzasnąłem jeszcze raz:

- Dean, otwieraj te pieprzone drzwi! Zaraz tu zamarznę! - Nie

groziłem mu. Mama Garrett nie wychowywała swoich synów tak, żeby strzępili języki na próżne pogroźki wobec kogoś, kto może w tej chwili wrócić do łóżka i zostawić ich tańczących w deszczu.

Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się w symfonii przekleństw, stukających zasuw i brzęczących łańcuchów. Stary Dean stanął w drzwiach, obserwując mnie spod półprzymkniętych powiek. Wyglądał na dwieście z kawałkiem, choć ledwie przekroczył siedemdziesiątkę. I był dość rześki, jak na gościa w tym wieku.

Gdyby nie odsunął mi się z drogi, pewnie przemaszerowałbym po nim. Ruszyłem. Szybciutko uskoczył w bok.

- Jak tylko przestanie padać, mówisz kotu do widzenia! - ostrzegłem takim tonem, jakbym chciał powiedzieć: ty albo kot

Znów zaczął szczekać zasuwami i łańcuchami. Przystanąłem. Wcześniej tego tu nie było.

- Po co to całe żelastwo?

- Nie czułbym się dobrze, mieszkając w domu, w którym od złodziei chronią mnie tylko jeden albo dwa zamki.

Będziemy musieli sobie pogadać na temat przypuszczeń i wniosków. Stary z pewnością nie kupił tej masy stali za forszę z własnej kieszeni. Ale nie teraz. W tej chwili akurat nie byłem w formie.

- Co to jest? Zapomniałem o motylu.

- Utopiony motyl.

Zabrałem go do gabinetu, pokoiku wielkości pudełka od butów, za ostatnimi drzwiami na lewo w stronę kuchni. Dean pokuśtykał za mną, wywijając świecę. Udawanie doprowadził do poziomu sztuki. Niesamowite, jaki się stawał biedny i niezdarny, kiedy coś kombinował.

Wziąłem świecę i zapaliłem lampę.

- Wracaj do łóżka.

Obejrzał się na zamknięte drzwi małego pokoiku od frontu. Te drzwi zamykano tylko wtedy, kiedy było tam coś, lub ktoś, czego nie powinno być widać. Coś drapało w deski od środka.

- Już się rozbudziłem - odparł Dean. - Równie dobrze mogę coś zrobić.

Nie wyglądał na rozbudzonego.

- Długo będzie pan siedział? - zapytał.

- Nie. Przyjrzę się tylko temu robalowi i pocałuję Eleanor na dobranoc.

Eleanor była piękną, smutną kobietą, która żyła dawno temu. Jej portret wisi na ścianie za moim biurkiem. Czasem zachowuję się tak, jakbyśmy mieli romans. Doprowadzam tym Deana do szału.

Muszę jakoś wyrównać rachunki.

Rozsiadłem się w starym skórzanym fotelu. Jak wszystko w tym domu, włącznie z nim samym, nigdy nie był nowy, ale właśnie dopasowywał się do nowego tyłka i zaczął się robić wygodny. Odsunąłem rachunki i rozłożyłem motyla na blacie biurka.

Dean czekał w drzwiach, dopóki nie stwierdził, że nie reaguję na rozrzucone rachunki. Potem poczłapał do kuchni.

Szybciutko rzuciłem oczkiem na ostatnią pozycję, skrzywiłem się. Nie za dobrze to wygląda. Ale żeby zaraz do roboty? Brrr! Jak na jeden dzień, wystarczy tego dobrego.

Tymczasem miałem przed sobą zmiętego zielonego motyla. Kiedyś chyba był piękny, ale teraz jego skrzydła były popękane, poszarpane i postrzępione, połamane, i do tego sprane. Rozpacz. Przeżyłem moment *deja vu*.

Widziałem jego kuzynów na wyspach, kiedy odbywałem moją piątkę w królewskich Marines. Na bagnach było ich mnóstwo. Tam w ogóle były chyba wszystkie robale, jakie bogowie wymyślili, no, może z wyjątkiem lodowcowych. Może ich populacja była nadzorowana przez jakiś niebiański komitet, a tam, gdzie obszary działalności różnych wydziałów nakładały się na siebie, boscy funkcjonariusze prześcigali się w inwencji, a potem wszystkie nadwyżki produkcji robactwa przetrzucili na te bagna?

Niech szlag trafi stare, paskudne dzieje. Już dorosłem. A pierwsze pytanie, jakie powinienem był sobie zadać to: co ja tu robię z tym trzepoczącym paskudztwem?

Definitywnie, na pewno, z gwarancją i pod słowem nie byłem w najmniejszym stopniu zainteresowany zasuszonymi staruchami z taką nadkwasotą, że odbija im się motylkami. Odrobiłem zapas dobrych uczynków na najbliższe dziesięć lat z okładem. Uratowałem piękną dziewczinę. Najwyższy czas zabrać się za sprawy bliższe memu sercu, na przykład wyprosić za drzwi ostatnią kosmatą przytulankę Deana.

Wyrzuciłem truchełko do kosza na śmieci, odchyliłem się na fotelu i zacząłem zastanawiać, jak to miło byłoby odłożyć się do wygodnego, mięciutkiego łóżeczka.

Garrett!

O, cholera! Za każdym razem, kiedy już zapomnę o moim tak zwanym partnerze...

Truposz mieszka w największym pokoju frontowym, zajmującym prawie całą przednią część domu po drugiej stronie korytarza. Powierzchnia tego pokoju jest taka sama, jak mojego gabinetu i małego pokoiku razem wziętych. Kupa miejsca, jak na faceta, który nie ruszył się z miejsca od czasu, kiedy TunFaire nadano nazwę TunFaire. Mam zamiar wrzucić go do piwnicy, razem z całą masą innych niepotrzebnych rzeczy, które są tam od początku historii.

Wszedłem do jego pokoju. Płonęła w nim lampa. To ci niespodzianka. Dean nie lubi tu wchodzić. Rozejrzałem się podejrzliwie.

W pomieszczeniu są tylko dwa fotele i dwa małe stoliki, choć ściany pokrywają w całości półki z książkami, mapy i pamiątki. Jeden fotel jest mój. Drugi ma stałego mieszkańca.

Jeśli wejdiesz do pokoju i nie wiesz, czego się spodziewać, możesz przeżyć szok na widok Truposza. Po pierwsze, jest go cholernie dużo. Mniej więcej czterysta pięćdziesiąt funtów. Po drugie, nie jest człowiekiem, tylko Loghyrem. A ponieważ jest jedynym przedstawicielem tego gatunku, którego widziałem, nie mam pojęcia, czy loghyrskie dziewczyny mdleją na jego widok, ale na mój gust to urodzony frajer i pantoflarz. Wygląda, jakby był manekinem ćwiczebnym dla jakiegoś gościa z ostrą lachą.

Dopiero w drugiej kolejności po zwałach tłuszczu dostrzegasz słoniową trąbę o długości czternastu cali. A potem, jeśli się dobrze przyjrzyysz, zauważysz, że myszy i mole od lat korzystają z niego bez żenady.

Truposzem nazywa się go dlatego, że nie żyje. Ktoś wbił weń nóż jakieś czterysta lat temu, ale Loghyrowie nie spieszą się na tamten świat. Jego dusza, czy co on tam ma, wciąż kręci się po ciele.

Zdaje się, że miałeś jakąś przygodę.

Ponieważ jest martwy, nie może mówić, ale to go nie zniechęca Myśli wprost do mojej głowy. Potrafi również w niej grzebać, jeśli chce, pośród zaśmiecających ją gratów i pajaków. Pomimo to najczęściej jest na tyle uprzejmy, żeby nie wchodzić bez zaproszenia.

Rozejrzałem się jeszcze raz. Pokój był zbyt czysty. Dean odkurzył nawet samego Truposza.

Coś mi tu śmierdziało. Ta dwójka najwyraźniej się spiknęła. Po raz pierwszy w historii. Przeróżające.

Jestem chłodnym typem. Doskonale ukryłem zaskoczenie. Nie chciałem jeszcze wiedzieć, o co

chodzi. Wolałem najpierw wyrównać rachunki.

Truposz popełnił błąd, bo nauczył mnie zapamiętywać nawet najdrobniejsze szczegóły wszystkiego, nad czym pracuję. Zacząłem opowiadać moje wieczorne przygody.

Teoretyczną podstawą naszego współdziałania jest zasada, że ja odwalam całe chodzenie, zbieram ciosy, strzały, guzy i siniaki, a on gromadzi wszystko to[^] czego się dowiem, i przepuszcza przez swój mózg samozwańczego geniusza, po czym mówi mi, co się dzieje, gdzie ukryto ciało, albo cokolwiek, czego staram się dowiedzieć. Tak to wygląda teoretycznie. W praktyce jest jeszcze bardziej leniwy ode mnie. Czasami muszę grozić, że spalę cały dom, żeby go w ogóle obudzić.

Nabrał podejrzeń, kiedy rozwodziłem się szczegółowo nad urodą dziwnej panny Contague.

Garrett!

Za dobrze mnie zna.

- Tak? - zapytałem słodziutko. Co ty wyprawiasz?

- Opowiadam ci o pewnych niezwykłych wydarzeniach.

- Wydarzeniach, być może, ale nieszczęśliwie interesujących. Chyba że namiętności znowu zlasowały ci mózg. Chyba nie zamierzasz wplątywać się w aferę z tymi ludźmi, co?

Miałem ochotę skłamać, żeby nim trochę potrząsnąć. Często to robimy, i do tego w obie strony. Miło przy tym płynie czas.

- Wiesz, są granice utraty zdrowego rozsądku na widok kiecki. Doprawdy? Zdumiewasz mnie i zaskakujesz. A już myślałem, że w ogóle brak ci rozsądku, nieważne, zdrowego czy chorego, i tak to leci. Z reguły uważamy to za grę: główka i półgłówek. Możecie zgadywać, kto jest kim.

- Punkt dla ciebie, Kupo Gnatów. Idę odłożyć się na półkę do rana. Jeśli Dean dostanie kolejnego ataku szalonej energii i będzie cię chciał znów odkurzyć, powiedz mu, żeby mnie nie budził przed południem.

Mam problem z porankami. Żaden normalny człowiek nie wstaje o tej porze. Poranek jest o wiele za wcześnie.

Pomyślcie tylko, co mają ranne ptaszki z tego, że wcześnie wstają. Wrzody. Problemy z sercem. Sentyment do bezdomnych kotów. Ale nie ja, nie stary Garrett. Ja się położę i przeleniuchuję całą drogę ku nieśmiertelności.

Sam chciałbym trochę pospać. Po twoim dzielnym wyczynie i próbie zarobienia na tej kreaturze, Kałuży, należy ci się nagroda.

- Dlaczego mam wrażenie, że zaraz mnie w coś wrobisz? Co masz przeciwko późnemu wstawaniu? Nie mam nic więcej do roboty.

Musisz być o ósmej przy bramie Al- Khar.

- Co takiego? Powtórz to jeszcze raz!

Al- Khar to miejskie więzienie. TunFaire cierpi na notoryczną niemoc wymiaru sprawiedliwości, ale od czasu do czasu jakaś gapa wpakuje się wprost w ramiona Straży. Od czasu do czasu jakiś wariat da się zamknąć.

- A po jaką cholerę? Tam są ludzie, którzy mnie nie lubią.

Gdybyś miał unikać wszystkich miejsc, gdzie ktoś cię nie lubi, musiałbyś wyjechać z miasta, żeby zaczerpnąć tchu. Będiesz tam, ponieważ masz śledzić gościa, którego wypuszczą o ósmej.

No i wszystko jasne. Razem z Deanem znaleźli mi robotę, bo się bali, że finanse nam się kurczą. Co za bezczelność! Obaj chyba zaczynają chorować na manię wielkości. Czasem jednak pomagają, kiedy się udaje idiotę. Jestem mistrzem w rżnięciu durnia. Jestem tak dobry, że sam siebie czasem nabieram.

- A po co miałbym to robić?

Trzy marki za dzień plus wydatki. Nie trzeba nawet minimum kreatywności, żeby nasz domowy budżet wcisnąć w tę ostatnią kategorię.

Pochyliłem się i zajrzałem pod fotel. Wciąż jeszcze leżało tam kilka woreczków.

- Jeszcze nie zbankrutowaliśmy - mruknąłem.

Tu trzymamy naszą gotówkę. Nie ma bezpieczniejszego miejsca. Złodziej, który zdoła przebrnąć przez Truposza, będzie tak zły, że wolałbym nie mieć z nim do czynienia.

- Jeśli wyrzucę Deana i jego kota za drzwi i zacznę sam gotować, wystarczy mi na piwo jeszcze przez parę miesięcy.

Garrett.

- Tak, tak. - Rzeczywiście, najwyższy czas rozejrzeć się za forszą. Po prostu nie lubię, kiedy ktoś wyszukuje mi robotę. W tym towarzystwie wzajemnej adoracji to ja jestem szefem. Szef. Ha, ha.

- Opowiedz mi o tym. A przez ten czas użyj reszty mózgu, żeby się zastanowić nad tym, kto utrzymuje ten dach nad twoją niewdzięczną łepetyną.

Phi! Nie bądź drobiazgowy. To idealna robota. Zwykły ogon. Klient chce tylko śledzić ruchy skazanego.

- Właśnie! Gość mnie zauważy, zaciągnie w ciemną alejkę, przećwiczy najnowszego tupaka na mojej gębie...

Ten facet nie jest gwałtowny. Nie spodziewa się, że będzie śledzony. To łatwa forsa, Garrett. Bierz ją.

- Jeśli jest taka łatwa, to dlaczego ja mam ją brać? Dlaczego nie Saucerhead? On zawsze potrzebuje pracy. - Podsyłam mu dużo zdesperowanych klientów.

Potrzebujemy pieniędzy. Odpocznij trochę. Będiesz musiał wcześniej wstać.

, - Może. - Dlaczego to zawsze ja mam odwalać najczarniejszą robotę? - Ale najpierw może mi coś niecoś opowiesz o sprawie? Może choć opis wyglądu. Na wszelki wypadek, bo może jeszcze jakiś inny facet skończy jutro ten college. Może podasz mi inicjały tego kogoś, kto mnie wynajmuje. Będę mógł poświęcić dedukcję i sprawdzić, czy wpadnę na to, komu mam zdać raport.

Klientem jest niejaki Bishoff Hullar... - Fajnie. Każesz mi robić coś dla leniwego alfonsa z Połudwicy. Dlaczego nie? Sprowadzasz mnie do rzeczywistego świata. Kiedyś igrałem z prawdziwymi bandytami, takimi jak Chodo i jego chłopcy. To kogo mam śledzić? Jakiegoś naiwniaka, który załatwił jedną z jego dziewczynek? I po co?

Celem jest niejaki Warczący Pies Amato. Oryginalne nazwisko...

- Bogowie! Warczący Pies? Chyba żartujesz.

Znasz go?

- Nie osobiście, ale wiem, kto to jest. Myślałem, że każdy, kto skończył dziesięć, lat zna Warczącego Psa Amato.

Niewiele wychodzę z domu. Oparłem się pokusie. Chciałby, żebym go powoził. - Warczący Pies Amato. Znany również jako Głupek Amato. Nazwisko rodowe: Kropotkin F. Amato. Nie wiem, co to znaczy „F”. Prawdopodobnie: Fasolówka. Gość jest kompletnym wariatem. Spędza czas na stopniach Chancery, z mosiężnym megafonem, i wrzeszczy, jak to wszystkie moce się sprzysięgły, żeby oszukać jego przodków. Organizuje całą demonstrację, z transparentami, tablicami i chorągwiami. Rozdaje ulotki wszystkim, którzy znajdują się na tyle blisko, żeby im je wcisnąć. Buduje teorie o spiskach, które prawdziwych spiskowców przyprawiłyby o zawrót głowy. Potrafi powiązać wszystko ze wszystkim i stworzyć diaboliczną teorię, kto aktualnie rządzi światem i odziera Kropotkina Amato z jego praw rodowych. Jest przekonany, że za tym wszystkim stoi imperator.

Imperium, które poprzedzało powstanie państwa karentyńskiego, upadło całe wieki temu, ale rodzina imperialna wciąż się kręci w pobliżu, czekając, aż ją zawołają. Jej jedynym udziałem w dzisiejszej rzeczywistości są niewielkie kwoty przelewane na szpital charytatywny w Bledsoe. Tylko Warczący Pies mógłby sobie wyobrazić, że są tajemnymi władcami czegokolwiek.

Interesujące.

- Zabawne. W małych dawkach. Ale jeśli zaczniesz się zbyt blisko kręcić, zostaniesz schwytyany i usłyszysz historię o tym, jak jego szlachetna rodzina została odarta ze wszystkich dóbr i tytułów. Cholera, jego ojciec był rzeźnikiem w Winterslight. Matka była metyską z Bustee. Jedyna konspiracja, której ofiarą padł, to ta sama, która dotknęła nas wszystkich. Warczeć zaczął po wyjściu do cywila.

Więc to nieszkodliwy szaleniec, żyjący w świecie iluzji?

- Mniej więcej o to chodzi. Nieszkodliwy, szalony, głupi jak mało kto. Dlatego pozwalają mu się kręcić z tym jego megafonem.

Więc jak ten nieszkodliwy wariat dał się wpakować do więzienia? Dlaczego ktokolwiek chce go śledzić? Czy może jest czymś więcej, niż się wydaje?

Właśnie sam się nad tym zacząłem zastanawiać.

Minęło już sporo czasu, odkąd widziałem Warczącego Psa w akcji. No, ale nie kręcę się po jego terenie.

Wcale za nim nie tęskniłem. Nie należał do typów, za którymi się tęskni, jeśli gdzieś przepadną. Może od czasu do czasu ktoś zapyta: a co się stało z tym wariatem, który wył na stopniach Chancery? Uczczą go wzruszeniem ramion i tyle. Nikt się nie podnieci i nie pójdzie go szukać.

Byłem pewien, że Warczący Pies miałby do opowiedzenia odkrywcze rzeczy na temat więzienia, w którym siedział. Może ścigają go teraz diabły z tamtego świata? Nigdy do tej pory nie zdołał narazić się nikomu z tego świata na tyle, by kazali go zamknąć. Może był tajnym agentem Venagetich? Albo niziołków? Albo samych bogów? Boski gang nie potrzebuje pretekstu, żeby być złośliwym.

- Idę w bety, Chichotku. - Zanim zdołał mnie powstrzymać, wyszedłem, mamrocząc: - Trzy marki dziennie, aby śledzić Warczącego Psa Amato. To nie może być prawda.

Schody są tylko o kilka kroków od kuchni. Zajrzałem, żeby życzyć Deanowi dobrej nocy.

- Jak już się pozbędziesz tego kota, zacznij myśleć o podłodze w pokoju Truposza, skoro tacy z was teraz kumple. Przydałoby się jej piaskowanie i polerowanie.

Spojrzał na mnie tak, jakby zobaczył ducha.

Zachichotałem i ruszyłem do łóżka. Gdyby wykręcił mi jeszcze jakiś numer, następne trzy miesiące spędziłby na polerowaniu, szorowaniu, piaskowaniu i ogólnie zafundowałbym mu porządną dozę zemsty pracodawcy.

Wpadłem do pokoju, wyskoczyłem z ciuchów, przez chwilę smuciłem się myślą o pójściu do pracy, ale trwało to tylko tyle czasu, ile było mi trzeba, żeby walnąć głową w poduszkę. Bezsenność nie należy do moich problemów.

?Są tacy ludzie, a należy do nich Dean, których osobowość posiada jeden poważny defekt: zrywają się z łóżka z pierwszą ptaszyną. Uroczy zwyczaj - zwłaszcza jeśli pierwszy musisz dopaść robaka. Ja zrezygnowałem z tak egzotycznych potraw, odkąd rozstałem się z Korpusem. I nigdy więcej nie dam się wpakować w tę sytuację.

Dean cierpi na złudne przekonanie, że przesypianie poranka to grzech. Próbowałem i próbowałem ukazać mu światło, ale mózg stwardniał mu na równi z arteriami. Po prostu uparł się i nie zamierza przyznać racji moim teoriom. Nie ma gorszego durnia niż stary dureń.

Popełniłem błąd i powiedziałem to na głos.

Do licha, słońce zaledwie wstało. Wyobrażacie sobie, że o tej porze nocy będę myślał?

Nagrodzono mnie strugą zimnej wody po plecach.

Wrzasnąłem. Puściłem kwiecistą wiąchę. Mówiłem takie rzeczy, że kochana mamuśka zrobiła wywrotkę w trumnie.

Wstałem na darmo. Stary już zwiął.

Usiadłem na skraju łóżka, oparłem łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Zapytałem bogów, w których wierze mniej więcej raz w tygodniu, co ja takiego im. zrobiłem, że ukarali mnie Deanem. Czy nie byłem zawsze porządnym facetem? Dajcie spokój, chłopaki. Wywińmy kawał wszechświatowi i niech prawdziwa sprawiedliwość króluje bodaj przez jeden dzień. Zabierzcie tego starego frajera.

Zamrugałem. Pomiedzy pięściami zauważyłem Deana, ostrożnie wyglądającego zza framugi.

- Czas wstawać, panie Garrett. Musi pan być przed Al- Khar za dwie godziny. Zrobiłem śniadanie.

Zasugerowałem, aby spożył to śniadanie drugim końcem układu pokarmowego. Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia.

Począłpał na dół. Jęknąłem raźnie i powlokłem się do okna. Było za ciemno, żeby się rozejrzeć. Miejscy ludzie- szczury walili i dudnili taczkami na śmieci, udając, że robią coś pożytecznego. Ulicą przegalopowała banda karłów, ciągnąc worki większe od nich. Ponura, skwaszona, milcząca banda. Widzicie, czym się kończy wczesne wstawanie?

Z wyjątkiem karłów i zamiataczy ulice były całkiem puste. Normalni ludzie o tej porze śpią.

Tylko widmo ubóstwa powstrzymało mnie przed powrotem do pościeli.

Co u licha? Mogę zacząć zawodowo śledzić Warczącego Psa. Każdy, kto by mi to zlecił, zasługuje na opróżnienie sakiewki. A na pewno będzie to bezpieczniejsze niż niejedno z moich zadań.

Zrobiłem sobie śliczną buźkę i powędrowałem na dół. Zatrzymałem się na chwilę przed drzwiami kuchni, żeby ozdobić czołko potężnym ponurym grymasem... choć o tej porze nocy, jeśli ktoś zakłóci mi spoczynek, grymas pojawia się w sposób całkiem naturalny.

Nic mi to nie pomogło. Wkroczyłem w królestwo zapachów pikantnych kiełbasek, duszonych jabłuszek, świeżutkiej, gorącej herbaty, biszkopcików wprost z pieca. Nie miałem szans.

Dean nigdy tak nie gotuje, kiedy jestem bez pracy. Jeśli kręcę się po domu, dostaję tylko miskę zimnej owsianki, już zarastającej kozuchem, a jeśli chcę świeżej herbaty, muszę ją sam wsypać do imbryka.

I co tu robić z tymi fanatykami etyki pracy? Szczerze mówiąc, nie przeszkadza mi, jeśli się dla mnie trochę pomęczy - aczkolwiek nigdy nie zdarzyło mi się zauważyć, żeby się naprawdę zmęczył. Mój problem polega na tym, że gość należy do tej garstki, która chce przerobić resztę świata na swój obraz i podobieństwo. Jego ambicją jest ujrzeć mnie padającego z przepracowania, ale bogatego, zanim skończę trzydzieści jeden lat. Nie dam się w to wciągnąć. To się nigdy nie zdarzy. Do końca życia nie przekroczę trzydziestki.

Zacząłem jeść. Za dużo tego było. Dean nucił, zmywając gary. Był szczęśliwy, że mam robotę. Poczuję się wykorzystany, poniżony. Tyle wdzięku i talentu zmarnowane na śledzenie jakiegoś wariata. To tak, jakby do zabijania much użyć tabliczki z drzewa różanego.

Moje nowe zatrudnienie wprawiło Deana w tak świetny humor, że zapomniał o kwękaniu, dopóki nie znalazłem się w połowie drugiej porcji jabłek.

- Panie Garrett, po drodze do Al- Khar przechodzi pan koło kompleksu Tate'ów, prawda?

Ohoho. Kiedy zaczyna mi „panować”, to znaczy, że nie spodoba mi się to, co ma mi do powiedzenia. Tym razem było to całkiem wyraźnie widoczne.

- Nie dzisiaj. - Będzie mnie namawiał do pogodzenia się z Tinnie. A ja nie miałem na to ochoty, bo stwierdziłem, że dość już przeproszania kobiet za rzeczy, których nie zrobiłem. - Jeśli Tinnie chce się pogodzić, to wie, gdzie mnie szukać.

- Ale... Wstałem.

- Dam ci temat do zastanowienia, Dean. Może wtedy, kiedy będziesz szukał domu dla swojego kota. A to będziesz musiał zrobić, jeśli nagle znajdę sobie żonę i ona zacznie prowadzić ten dom.

Togo na jakiś czas powstrzyma.

Ruszyłem w stronę drzwi, ale tam nie dotarłem. W głowie rozbrzmiał mi głos Truposza.

Wychodzisz, nie podejmując odpowiednich środków ostrożności, Garrett

Miał na myśli to, że wychodzę nieuzbrojony.

- Będę śledził wariata. Nie wpadnę w kłopoty - zapewniłem go. Nie zawracałem sobie głowy tym, żeby iść do jego pokoju. On i tak fizycznie nie słyszy.

Nigdy nie planujesz, że wpadniesz w kłopoty. A jednak za każdym razem, kiedy przyjmujesz tę postawę i idziesz nieprzygotowany, ostatecznie zawsze żałujesz, że nie byłeś dość przewidujący i nie wziąłeś ze sobą czegoś cięższego. Nie mam racji?

Niestety, było to nieprzyzwoicie bliskie prawdy. Chciałbym, żeby było inaczej. Chciałbym żyć w bardziej cywilizowanych czasach. Ale zawsze kończy się tylko na życzeniach.

Udałem się na górę, do mojej szaty, pełnej nieprzyjemnych rzeczy, gdzie trzymam narzędzia, których używam, kiedy zawiedzie mnie moje ulubione narzędzie, to znaczy rozum. Przez całą drogę stękałem i burczałem pod nosem. I zastanawiałem się, czemu nie słucham dobrych rad. Chyba wściekam się, że sam na to nie wpadłem.

Nauki, których nie chcesz się nauczyć, wchodzą do głowy bardzo ciężko.

TunFaire nie jest miłym miastem.

Wyszedłem na ulicę w czarnym nastroju. Nie miałem zamiaru sprawić, żeby miasto stało się choć trochę miłsze.

Podobnie jak większość budynków w mieście, Al- Khar od pokoleń domaga się generalnego remontu. Wygląda tak, jakby więźniowie mogli wyjść przez ściany, gdyby chcieli.

Al- Khar od samego początku był kiepskim pomysłem, projektem, na którym ten i ów napchał sobie kieszenie, notorycznie zawyżając koszty i obcinając oszczędności. Budowniczy użył bladego, zielonożółtego kamienia, który absorbował wilgoć z powietrza, reagował z nią, spływał zaciekami, stawał się brzydszy z każdą chwilą i nie wytrzymał, bo był za miękki. Odpadał, łuszczył się, rozsypując łupież wokół ścian i nadając im ospowaty wygląd. W niektórych miejscach zaprawa wymyła się tak, że kamienie siedziały luzem. Ponieważ jednak miasto rzadko kogo wsadzało do ciupy, nie zawracało sobie też głowy dofinansowaniem rudery.

Wciąż padało, choć teraz była to już raczej mżawka. Wystarczyło, żebym był upierdliwy. Zainstalowałem się pod wynędzniałym drzewem limony, tak obdartym i samotnym, jak parkowy człowiek- sznur. Jednakże jego smętnie zwisające gałęzie stanowiły jedyną ochronę w okolicy. Przypomniałem sobie szkolenie z Korpusu Marines i wtopiłem się w otoczenie. Garrett- kameleon. Właśnie.

Byłem za wcześnie, co się nieczęsto zdarza. Ale odkąd zacząłem ćwiczyć, poruszam się nieco szybciej, z większą energią. Może powinienem zacząć gimnastykować również umysł. Wypracować sobie trochę energii i entuzjazmu w tym kierunku. . Mój problem polega na pracy. Praca detektywa naraża na spotkanie z najbardziej ponurymi mętami półświatka. Jestem słabym charakterem, staram się naprawić świat, rozświetlić ciemność okazjonalną iskierką. Mam wrażenie, iż moja niechęć do pracy wynika ze świadomości, że zaraz zobaczę jeszcze więcej ciemnej strony świata, że zderzę się z

prawdą, iż ludzie to okrutne, samolubne i bezmyślne bestie, a nawet najlepsi z nich najchętniej sprzedaliby własne matki, byle we właściwym momencie.

Jedyna różnica pomiędzy dobrymi i złymi facetami jest taka, że ci dobrzy jeszcze nie dostali tłustej okazji, żeby skorzystać na byciu złym.

Paskudna wizja świata, którą jednak codzienne życie systematycznie potwierdza.

Paskudna wizja, ponieważ niezmiennie uświadamia mi, że przyjdzie również i moja kolej.

Paskudna ulica, brudny, brukowany zaułek za Al- Khar. Bardzo mały ruch, nawet przy najlepszej pogodzie. Nawet w lesie, sam, czułbym się mniej samotnie i rozpaczliwie.

Ulica stanowiła problem nie tylko emocjonalny, lecz również zawodowy. Nie miałem w co się wmieszać. Ludzie zaczęli się zastanawiać, może zapamiętają... nawet jeśli nie wyjdą na zewnątrz. Mieszkańcy tego miasta wolą unikać kłopotów.

Warczący Pies wyszedł z więzienia ciężkim krokiem. Kciuki zatknął za pas, przystanął, rozejrzał się po świecie okiem więźnia.

Miał około pięciu stóp i sześciu cali wzrostu, dobiegał sześćdziesiątki, pulchny, łysiejący, z siwiejącym wąsem i nieprawdopodobnie krzaczastymi, wielkimi brwiami. Skórę miał smagłą od dziesięcioleci zmagania się z warunkami pogodowymi i spiskami. W więzieniu nie zdążył wypłowieć. Jego ubranie było zmięte i brudne, to samo, w którym został aresztowany. Al- Khar nie daje mundurków. Warczący Pies, o ile wiedziałem, nie miał krewnych, którzy mogliby mu coś przynieść.

Przemknął po mnie wzrokiem, ale nie zareagował. Uniósł

twarz, rozkoszując się mżawką, po czym ruszył przed siebie. Dałem mu pół przecznicy forów, nim za nim ruszyłem.

Jego chód był jedyny w swoim rodzaju. Amato miał mocno pałkowate nogi, prawdopodobnie wskutek artretyzmu lub czegoś takiego, dlatego nie chodził, tylko się toczył. Unosił całą jedną połowę ciała, wyrzucał w przód, po czym robił to samo z drugą połową. Zastanawiałem się, czy to mu sprawia ból. Więzienie nie jest dobrym lekiem na artretyzm.

Warczącemu Psu raczej się nie spieszyło. Wędrował sobie, rozkoszując się wolnością. Sam też bym się włóczył po deszczu i cieszył nim, gdybym wyszedł z kicia. W danym momencie jednak nieszczęśliwie podzielałem jego zadowolenie. Mruczałem, prychałem i mamrotałem do siebie. Co za bezmyślność. Detektywi nie są wodoodporni.

Ale to przecież nie jego wina, no nie? Zacząłem obmyślać zemstę na Truposzu.

Zawsze bardzo lubiłem to ćwiczenie umysłowe. Jakie sankcje można wyciągnąć wobec kogoś, kto już nie żyje? Zostaje niewiele możliwości.

Nawet my, mistrzowie, stajemy się czasem niechlujni. Łatwo

o to, kiedy nie czujesz się zagrożony. A ja się nie czułem zagrożony. Warczący Pies nie należał do ulicznych brunos, na jakich się zwykle natykam, to znaczy: wielkich jak dom, w połowie tak rozumnych i równie łatwych do przemieszczenia. Warczący Pies był praktycznie małym staruszkim. A mali staruszkowie nie stają się gwałtowni. A jeśli już, to płacą wielkiemu, głupiemu bruno, żeby to za nich załatwił.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

Okrzyżylem róg i - uuuups! - obskoczyłem prosto w worek na żarcie. Na szczęście dla mnie. Warczący Pies był w zasadzie małym staruszkim, a mali staruszkowie nie bywają gwałtowni.

Zgiąłem się, odskoczyłem przed drugim zamachem i - o dziwo! - udało mi się. W końcu Warczący Pies był w zasadzie małym staruszkim. Zakrztusiłem się, wywinęło mnie, ale złapałem oddech. Tymczasem Warczący Pies pododawał sobie w głowie to

1 owo, stwierdził, że nie ma dość pary w piachach i jego kolejnym genialnym posunięciem powinno być przyłożenie pięt i palców do bruku w odpowiedniej kolejności.

Nie była to głupia taktyka, zważywszy na humor, w jaki zdołał mnie wprowadzić.

Zebrałem się i ruszyłem za nim biegiem. Na całe szczęście poranne przebieżki pozwoliły mi pozbierać się szybko i jeszcze szybciej wystartować. Wkrótce zrównałem tempo, a potem nawet zacząłem go doganiać. Warczący Pies obejrzał się tylko raz. Oszczędzał siły na ucieczkę.

A ja zacząłem znacznie ostrożniej okrzyżać węgły. Niedługo trwało, zanim go dogoniłem, złapałem za wszarz, zablokowałem jego daremne wymachy ramion i zmusiłem, by usiadł na czyichś schodkach.

- Za co to było, cholera? - zapytałem.

Spojrzał na mnie jak na durnia. Może i miał rację. Do tej pory nie zachowywałem się błyskotliwie. Nie odpowiedział.

Nie wyglądało na to, żeby się gdzieś wybierał, więc usadowiłem się obok, ale w rozsądnej odległości, żeby nie zdołał mnie sięgnąć z bekhendu.

- To bolało, stary. Co się dzieje? Znowu to spojrzenie.

- Za kogo mnie bierzesz, bruno?

Och. To zabolalo jeszcze bardziej niż piacha w podrobach. Jestem doświadczonym detektywem, a nie ulicznym zbirem.

- Stary wariat nie ma dość rozumu, żeby siedzieć w domu, kiedy leje?

- Lubię naturę. Może przejdiesz do rzeczy.

- Do czego?

- Do grózb. Wykręcania ramion. Ha! Teraz to ja spojrzałem tępo.

- Nie zmylisz mnie tym tępym spojrzeniem. Ktoś cię przysłał, żebym nie rozgłosił prawdy.

- A co to za prawda? - zapytałem bardzo ostrożnie.

- Jeśli ci nie powiedzieli, nie chcą, żebyś wiedział - odparł jeszcze ostrożniej. - Nie chcą cię w to wkopać tak głęboko, jak mnie.

Wariat A ja tu siedzę i gadam z nim. W deszczu. Po zawietrznej. Nie wyszorowali go przed wypuszczeniem.

- Nie będzie grózb. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Nie dotarło.

- No to po co za mną leziesz?

- Żeby zobaczyć, dokąd idziesz. - Wezmę go na nową technikę. Powiem prawdę. Zdziwi się jak jasny gwint.

Podziałało. Zdziwił się. - Po co?

- Zabij mnie, jeśli wiem. Facet zapłacił mojemu partnerowi, który wziął robotę, nie pytając mnie o zgodę. Naturalnie, on siedzi w domu, bo nie może chodzić. Za to ja się muszę topić.

Uwierzył mi, pewnie dlatego, że mu nie wykręcałem członków.

- Kto by chciał to wiedzieć? - sprawiał wrażenie zagubionego. - Przecież nikt nie bierze mnie na

serio. No, w każdym razie prawie nikt.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy tłum już się zebrał. Warczący Pies miał tylko jeden poziom głośności: wrzeszczał. Tak jakby wrzeszczał już tak długo, że się przyzwyczaił. A poza tym ciekawe, czym go karmili w tym kiciu. Oddech miał jak kloaka. Nie wspomnę już, że wizualnie też nie był apetyczny z tymi krzakami zamiast brwi, wąsem, bulwiastym nosem i wyłupiastymi oczkami. Przynajmniej nie próbował mi wciskać ulotek ani nie kazał podpisywać petycji.

Równie dobrze mogę posunąć mój eksperyment dalej.

- Facet się wabi Bishoff Hullar.

- Kto? Nie znam żadnego Bishoffa Hullara.

- Prowadzi tancbudę w Połudwicy.

Spojrzał na mnie dziwnie, pewien, że kłamię albo oszalałem. A potem zmarszczył brwi.

- Jasne! Podstawiony! - Słucham?

- Facet jest podstawiony przez kogoś innego, żeby cię wynająć. - Zaczął z uśmiechem kiwać głową. Spodobało mu się. Wreszcie po tylu latach ktoś chce go dopaść! Ktoś go bierze na serio! Będą go prześladować!

- Pewnie tak... - Nigdy nie zastanawiałem się długo nad Warczącym Psem. Od czasu do czasu zastanawiałem się, czy sam wierzy w to, co mówi, czy nie. Ogólnie było wiadomo, że jego historie dotyczące rodziny były mocno przesadzone. Żaden, z domniemanych przez niego spisków nigdy nie przyniósł efektów, nawet w tym mieście, gdzie każdy ktoś, kto był kimś, chemie używał skandalu jako broni przeciwko innym ktosiom. Nikt nie próbował go zamknąć.

- Za co cię przymknęli? - Co tam! Przecież już bardziej nie zmoknę. A wilgoć tłumiała miazmaty unoszące się wokół Amato.

- Za kratki. Dowcipniś.

- Pytam o oskarżenie? To czysta formalność, bo za godzinę sam wszystko będę wiedział. Wymamrotał coś pod nosem.

- Co?

- Zakłócenie porządku publicznego.

- Nie dają dwóch miechów za...

- Trzecia skarga. - Jego podniecenie z powodu prześladowania opadło. Był zakłopotany. - Skazany za zakłócenie porządku publicznego.

- Nawet w tej sytuacji sześćdziesiąt dni to chyba za dużo.

- Trochę mnie poniosło podczas przesłuchania. Pięćdziesiąt pięć dni za obrazę trybunału.

I tak wychodziło za dużo. Znanych mi urzędników magistratu było trudno obrazić. Prowadzili rozprawy tak ostrożnie, jak się karmi dzikie zwierzęta. Nieźle się musiał nawarczyć, żeby ich rozzłościć.

Przypomniałem sobie beczelne historie, jakie rozgłaszał Amato. Jasne. Wpadł na kogoś bez poczucia humoru, kto nie wiedział, że Warczący Pies to autentyczny świr, skrajnie nieszkodliwy. Nikomu innemu nie uszłyby na sucho jego gadki.

- Może miałeś szczęście - stwierdziłem. - Gdybyś kogoś mocno wkurzył, wsadziliby cię do Bledsoe.

Część szpitala dla ubogich dorabia jako dom dla czubków. Jeśli już się tara dostaniesz, nie masz szansy wyjść, dopóki nie wyciągnie cię ktoś z zewnątrz. Krąży mnóstwo opowieści o ludziach, którzy się tam dostali i świat o nich zapomniał.

Warczący Pies pobladł pod opalenizną. To go wzięło. Podniósł się, żeby wiać.

- Czeka, stary.

Usiadł z powrotem, zrezygnowany. Uznał, że pojawiło się zagrożenie. Bledsoe. Samo siedzenie obok niego i rozmowa wystarczyły, żebym się sam poczuł jak kandydat do domu bez klamek.

- Nie będziesz gadał, co?

- Nie.

Pokręciłem głową. Woda ściekająca z włosów zaląła mi oczy.

- Płacą mi, i może to powinno mi wystarczyć, ale chciałbym się choć domyślać, po co tracę tu czas.

Podejrzewam, że po namyśle on także stwierdził, że nie wie, o co chodzi. Zimna mżawka może być świetnym lekiem na wszelkie szalone fantazje.

Myśli trzepotały się w mojej głowie jak pijane motyle, próbując zrozumieć, o co tu chodzi. Jedyne odpowiedzi, na jakie wpadłem, to głupi kawał, pomyłka albo ponury spisek, albo coś jeszcze innego, ale na pewno nie to, za co mi płacili.

Usłyszałem słowa Truposza: „Trzy marki dziennie plus wydatki”. Zapomniałem zapytać, czy wziął zaliczkę.

- Jakie masz plany? - zapytałem. - Teraz, zaraz. - Zmokniesz, synu. Najpierw pójde sprawdzic, czy wciąż jeszcze

mam gdzie mieszkać, a jeśli tak, to kupię sobie butelczynę i zaleję się w trupa. Chcesz się kręcić za mną i czekać, aż nawiążę kontakt z tajemniczymi wrogami twojego szefa, nie krępuj się.

Kiedy mówił o zalaniu się w trupa, brzmiało to bardzo przekonująco. Nie byłaby to pierwsza rzecz, jaką bym zrobił po wyjściu z kicia, ale on chyba był już ciut za stary na latanie za kieckami. Jako druga możliwość nie brzmiało to najgorzej.

- A jutro?

- Jutro wracam w stary kierat. Chyba że będzie lać. Wtedy zostanę w domu i zaprzyjaźnię się z drugą butelką.

Wstałem.

- No to chodźmy do twojej gawry. Utulę cię do snu. A potem pójde się zobaczyć z tym błaznem Hullarem i wytrząsnę z niego prawdę.

Nikt nie lubi, jak się z niego robi wariata, a ja odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że sam to sobie załatwiłem. Powinienem był dokładniej wypytać Truposza.

Postanowiłem zacząć od niego, a skończyć na Bishoffie Hullarze.

Drzwi otworzył mi Dean.

- Co, u diabła, robi pan w domu? - zapytał, kręcąc nosem na rosnącą wokół mnie kałużę.

- Muszę skonsultować się z geniuszem - odparłem. Przepchnąłem się obok niego, ale w małym pokoju czekała na mnie niespodzianka. Hm. Nie ma kota. Ani śladu kota. A przecież go czułem.

Dean tańcował z nogi na nogę. Obdarowałem go moim najbardziej złośliwym spojrzeniem i dłońmi uczyniłem gest ukręcania głowy, akompaniując sobie dramatycznymi dźwiękami. Ruszyłem do pokoju Truposza.

Udawał, że śpi.

- Wiedziałem, że nie śpi. Nie usnie, dopóki nie usłyszy najnowszych wieści z Kantardu. Miał obsesję na punkcie Glory'ego Mooncalle- da i wkrótce spodziewał się wieści o przygodach republikańskiego generała.

Wszedłem do środka. Dean wcisnął się za mną i pospiesznie rozścielił na moim fotelu stary gałgan, żebym nie zamoczył obicia. Rozsiadłem się, wlepiłem wzrok w Truposza i mruknąłem:

- Wielka szkoda, że odpadł, zanim skończył opowiadać mi wieści z pola bitwy. Zrób mi gorącej

herbaty, bo zaraz znów idę na ulicę.

Jakie nowiny z Kantardu?... Jesteś zdradzieckie bydlę, Garrett.

- Najbardziej na świecie. Gorszy od gościa, który dla jaj wysłał cię na śledzenie ciężkiego przypadku świra.

Dla jaj?

- Nie musisz się bać. Nie gniewam się. Nawet dość dobry ten kawał. Włóczyłem się przez kilka godzin, zanim na to wpadłem.

Muszę cię rozczarować, Garrett. Naprawdę wynajęto nas, żeby śledzić posunięcia niejakiego Warczącego Psa Amato. Klient zapłacił zaliczkę, pięćdziesiąt marek.

- Daj żyć. Już powiedziałem, że kawał był dobry. Odpadnij.

To prawda, Garrett. Choć teraz, widząc myśli, zastrzeżenia i pytania unoszące się na powierzchni twojego umysłu, sam zaczynam być ciekaw. Zastanawiam się, czy i ja nie padłem ofiarą jakiegoś skomplikowanego kawału.

- Ktoś naprawdę zapłacił pięćdziesiąt marek za śledzenie Amato? Inaczej pod moim fotelem nie byłoby już nic.

Sądzę, że nie posunąłby się tak daleko w swoich żartach.

- Nie zadawałeś pytań?

Nie, nie zadawałem tych pytań, które ty byś zadał. Gdybym wiedział, kim jest Warczący Pies Amato, zadałbym je.

Ktoś zaczął walić we frontowe drzwi. Dean był chyba zbyt zajęty, żeby go to wzruszyło.

- Czekaj chwilę.

Najpierw wyjrzałem przez judasza. Już się nauczyłem. Ujrzałem dwie kobiety. Jedna obejmowała się ramionami i dygotała, ale chyba obu nie podobała się ta pogoda.

Otworzyłem.

- W czym mogę paniom pomóc?

Użyłem słowa „panie” jako przenośni. Młodsza z nich była o dwadzieścia lat starsza ode mnie. Obie były czystiutkie aż trzaskało i ubrane w najlepsze ciuchy, ale te najlepsze ciuchy były mocno zużyte i dziesiątki lat za modą. One same też były chude i zużyte. Jedna miała wyraźne ślady nie-ludzkiej krwi.

Obie uśmiechnęły się nerwowo, jakbym je zaskoczył swoim wyglądem czy czymś innym. Wreszcie młodsza zebrała się na

odwagę.

- Czy zostałeś już zbawiony, bracie?

- He?

- Czy odrodziłeś się już? Czy przyjąłeś Missę za swego osobistego zbawcę?

- He? - Nie miałem zielonego pojęcia, co się do jasnej cholery dzieje, nawet nie załapałem, że mówią o religii. Wiara nie odgrywa w moim życiu zbyt ważnej roli. Ignoruję wszystkich tysiąc bogów, których kulty są plagą TunFaire. A do tej pory rzadko doznawałem rozczarowania, wierząc, że bogowie odwzajemniają mi się tym samym.

Widocznie jednak sam fakt, że nie grzmotnąłem drzwiami, okazał się dla kobiet ogromną zachętą, bo obie naraz zaczęły trajkotać. Jako facet obdarzony wrodzoną uprzejmością słuchałem jednym uchem, dopóki nie załapałem, o co chodzi. A wtedy rozjaśniłem się, olśniony nagłą inspiracją.

- Wejdźcie! Wejdźcie! - Przedstawiłem się i uściśniłem im dłoń.

Obie nagle się zmieszaly, mierzając mnie podejrzliwie wzrokiem. Sondowałem tak długo, dopóki

nie stwierdziłem, że ich system zbawienia nie ogranicza się do ludzi. Większość kultów nosi znamię rasizmu. Większość nie- ludzkich ras w ogóle nie ma bogów.

- Nie mogę sam przyjąć nowego systemu wiary - wyznałem - ale znam kogoś, kto powinien was poznać. Mój partner jest największym bezbożnikiem, jakiego sobie można wyobrazić. Potrzebuje... niechże was uprzedzę. Jest bardzo uparty w swej bezbożności. Próbowałem i próbowałem... Same zobaczycie. Proszę, chodźcie ze mną. Macie ochotę na herbatę? Mój gospodarz właśnie postawił czajnik na ogień.

Moje panie trajkotały bez przerwy, a powyższą wypowiedź zdołałem wcisnąć im w bardzo małych porcjach.

Poszły za mną. Cholernie trudno było mi utrzymać powagę. Nasłałem je na Truposza i zwiąłem, żeby nie patrzeć, jak polecą pióra.

Wychodząc na deszcz, zastanawiałem się, czy w ogóle jeszcze kiedyś odezwie się do mnie. Ale któż bardziej od niego potrzebował przewodnika duchowego? Przecież był już martwy, w połowie drogi do nieba lub piekła.

Ale wyszczerz na moim cyferblacie nie zawdzięczał istnienia milczącej radości z pomysłu. Dostałem kolejnego ataku inspiracji. Już wiedziałem, jak odwrócić całą tę historię z Warczącym Psem w taką stronę, żebyśmy obaj byli zadowoleni.

Facet umie czytać i pisać, bo sam produkuje własne ulotki i transparenty. Jest nieszkodliwy. Potrzebuje forsy. Wiem gdzie mieszka. Dlaczego zatem nie miałby śledzić sam siebie? Potem dałbym jego dziennik klientowi, podzielił się zapłatą z Warczącym Psem i zaoszczędził sobie łażenia po deszczu.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej mi się podobało. Kto się pozna na różnicy.

Do diabła zatem z Bishoffem Hullarem. Nie będę wyzywał losu. Odsunę się i będę cicho, aż do wypłaty. Skręciłem w inną stronę.

Ruszyłem do domu Warżącego Psa. Nie spodziewałem się żadnych problemów. Przemówię do jego zmysłu konspiracji.

Rycerz w srebrnej zbroi, no nie? Nasz bohater, trzeciorzędny spiskowiec.

Nie czułem się bardzo winny. Bishoffowie Hullarowie naszego świata zasługują na to, co dostają. Cholera, zanim dotarłem do domu Warżącego Psa, chichotałem sam do siebie.

Niektórzy z nas zwracają uwagę na to, jakimi postrzega ich świat, a potem sami zmieniają się na podobieństwo obrazu, który widzą w oczach innych ludzi. Widać to szczególnie w przypadku dzieci. Jeśli rodzic jest jakąś żalostną wszą, zawsze wściekły na dziecko, powtarzając mu, że jest głupie i bezwartościowe, szybko dostanie głupiego i bezwartościowego bachora. To wersja jednokierunkowa. Ja mówię o tworzeniu samego siebie.

Zawsze nad tym pracuję, ale czasem czynię to całkiem podświadomie, zwłaszcza kiedy chcę, aby świat myślał, że jestem zły. Nie ścielę łóżka. Zmieniam skarpetki raz na tydzień. Sprzątam dom raz na rok, czy trzeba, czy nie. A kiedy chcę wyglądać na prawdziwego drania, przestaję myć zęby.

Warzący Pies mieszkał w tych samych dwóch pokojach od co najmniej jedenastu tysięcy lat i z pewnością nigdy tu nie sprzątał. Mieszkanie można by przerobić na muzeum, gdzie mamy mogłyby pokazywać swoim dzieciom, co się stanie, jeśli nie będą po sobie sprzątać.

Smród sugerował, że było to bodaj jedyne miejsce w TunFaire nie opanowane jeszcze tylko przez robactwo. Smród pochodził od samego Warżącego Psa Amato, zakonserwowany, wzmocniony przez czas i zagęszczony przez panującą wilgoć. Warzący Pies nie opanował widocznie zasad higieny.

Dzięki wszystkim bogom po kolei, że przez jakiś czas go tu nie było.

Nigdy w życiu nie widziałem tylu papierzysek, nawet w biurach funkcjonariuszy królewskich. Kiedy Warczący Pies zagospodarował już obie strony ulotki, wyrzucał ją przez ramię. Kiedy przynosił jedzenie, opakowanie, papier i kaczany kukurydzy dołączały do wyrzuconych ulotek. Poduczone zwłoki glinianych gąsiorów po winie leżały dosłownie wszędzie. Nienaruszone niedobitki pewnie wróciły do składów.

Cała historia Warczącego Psa Amato leżała tu warstwami, gotowa, aby odkopał ją poszukiwacz historycznych przygód o sparaliżowanym węchu.

Objąłem wszystko jednym spojrzeniem, kiedy Amato zaprosił mnie do środka. Zmarnowałem drugie spojrzenie na umeblowanie - składające się ze sztalug, na których malował plakaty i ogłoszenia, oraz rozchwianego stołu, na którym wypisywał ulotki. W średnio czystym kącie leżał wystrzępiony koc.

Po dwóch krokach stwierdziłem, że wyciągnąłem bardzo mylny wniosek. Warczący Pies jednak czasem sprzątał. Miał jeszcze drugi pokój, pozbawiony drzwi, do którego przepychał śmieci, kiedy w pierwszym warstwa stawała się zbyt głęboka.

Nie przeprosił. Wydawał się nieświadom, że jego gospodarstwo różniło się od innych i od normy. Zapytał tylko:

- Czego się dowiedziałeś od tego Hullara?

- Nie poszedłem do niego. Właściwie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Nic sobie nie naciągnąłeś przy okazji?

Muszę to mieć wypisane na czole jarzącymi się literami, których nie widać w lustrze.

- Spodoba ci się. Jest dobry dla nas obu. Słuchaj tylko. - Wy- łuszczyłem mu, jak obaj możemy zarobić po kilka marek. W oku zabłyśły mu cwaniackie iskierki.

- Synu, chyba cię jednak polubię. Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

- To przebranie - burknąłem. - No i jak, idziesz na to?

- Dlaczego nie? Dodatkowa marka zawsze się przyda. Ale nie sądzisz, że powinniśmy podzielić się pół na pół? Skąd mam wziąć czas, przy moim nawale zajęć, żeby wykonać całą tę robotę?

- Uważam, że należy tak podzielić zapłatę: dwie części dla mnie, jedna dla ciebie. To ja mam kontrakt i to ja będę musiał przepisywać wszystko, co mi dasz. I jeszcze będę musiał jechać do Połudwicy, żeby to dostarczyć.

Warczący Pies wzruszył ramionami. Nie sprzeczał się. - Znalazona forsa - wymamrotał.

- A mówiąc o forsie, jak żyjesz? Że nie wspomnę o tym, ile kosztuje papier. - Nawet makulatura nie jest tania. Papiernictwo to bardzo pracochłonny przemysł.

- Może jest ktoś, kto ma dość rozumu, aby ujrzeć prawdę i pragnie ją rozpowszechnić? - Zmarszczył brwi. Nie miał zamiaru powiedzieć mi ani słowa.

Pewnie jakiś pomocny wyznawca. TunFaire pyszni się sporą grupą świrów, a co dzień dojrzewa nowa porcja. A może kradł papier? A może miał fortunę ukrytą u bankierów- gnomów? Nigdy nic nie wiadomo. W tym mieście prawie nikt nie jest tym, czym się wydaje.

Skwitowałem wzruszeniem ramion jego nieuprzejmość.

- Będę się z tobą kontaktował co kilka dni. . - No. Hej, może mi pomożesz?

Tylko z dużej odległości. Jego oddech nabrał nowego aromatu przetrawionego wina, który w połączeniu z poprzednim odorem tworzył gaz bojowy. Można by go butelkować i wysyłać do Kantardu. Wypłoszyłby nawet brygady Venagetich.

- Jak?

- Jakiś religijny maniak zajął moje miejsce, kiedy mnie nie było.

- Siadź obok, nie odchodź daleko, weź go na przetrzymanie. - Czułem, że wiara faceta nie przetrwa konfrontacji ze smrodem Warczącego Psa. - Jeśli i to nie pomoże, zgłoś się do mnie.

- Dobrze. - Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Nie mógł wyczuć sam siebie. Nos miał skorodowany do kości.

- No to cześć. - Musiałem już wyjść, bo oczy mi łzawiły, z nosa ciekło i kręciło się w głowie. Nie spieszyłem się do domu. Pozwoliłem, aby deszcz zmył ze mnie smród. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie przestanie lać. Może powinienem zainwestować w łódź?

Pogoda miała też swoją dobrą stronę. Odkąd zaczęło padać, w TunFaire skończyły się naloty latających gromojaszczurów.

Wszyscy bardzo się cieszyli, kiedy po raz pierwszy pojawiły się te potwory. Zżerały szczury, koty, wiewiórki i, co najważniejsze, gołębie. Gołębie nie mają zbyt wielu fanów. Ale gromojaszczury miały te same parszywe zwyczaje, co gołębie. Pociski, które spuszczały, były za to większe i lepiej wycelowane.

Mówiło się nawet o nagrodzie za ich wyniszczenie. Potwory miały tendencję do kręcenia się w pobliżu Góry, gdzie mieszkają możni i potężni. Gromojaszczury i klasy wyższe lubią wysoko położone miejsca, ale gdyby zwierzęta miały dość rozumu, żeby trzymać się slumsów, nie byłoby niebezpiecznych dyskusji.

Cwany uśmiech Deana był jedynym ostrzeżeniem. Zawierał tyle dziecięcej złośliwości, że wiedziałem, iż coś się święci.

Garrett!

Ohoho. Zapomniałem, że zostawiłem ich z tymi ewangelistkami.

Miałem ochotę zabrać broń. Ale, do licha, w końcu to mój dom. Człowiek jest królem we własnym zamku. Wszedłem do pokoju Truposza.

- Co jest?

Siadaj.

Usiadłem.. ostrożnie. Był zbyt spokojny.

Czy zastanowiłeś się już nad stanem swojej nieśmiertelnej duszy?

Chyba zaskrzeczałem. Kiedy się ocknąłem, cofałem się korytarzem, wytrzeszczając oczy na zamknięte drzwi do jego pokoju. Skądś dobiegło miauczenie kota. To się nie może dziać naprawdę. To nie jest prawda. Chyba oszalałem. Jeśli tak będzie dalej, wkrótce znajdę się u boku Warczącego Psa, wyjąc do księżycy.

To nie wszystko. Kiedy schroniłem się do kuchni na piwo, stwierdziłem, że Dean siedzi przy stole i pije herbatkę z obydwoma dewotkami. Jedna trzymała na kolanach kotka. Dean wyglądał na oczarowanego zamkami z piasku, jakie budowały na jego oczach.

- Może się pan przysiadzie, panie Garrett? - zaproponowała kobieta z kotem. - Właśnie dzieliłyśmy się z Deanem dobrą nowiną. Weźmie pan udział w naszym małym święcie?

Święto? Była równie świąteczna jak kupa gnoju. W ogóle nie wiedziała, co znaczy to słowo. Fałszywka. Uśmiechała się, ale to tylko maska, pod którą ukrywała się najświętsza ze świętych skiszona dusza. Będzie się skręcała, dopóki istnieje choć cień podejrzenia, że ktoś, gdzieś bawi się lepiej od niej.

- Przykro mi. Może innym razem. Chciałem tylko ciastko i już mnie nie ma.

Znałem ten typ ludzi. Przypominała Warczącego Psa po kąpieli, ale jej szaleństwo kryło w sobie metaliczny posmak gwałtu. Warczący Pies gotów był obnażać ukryte diabły - ona chciała walczyć z nimi ogniem i mieczem. Jeśli zatrzymałbym się w ruchu choć na sekundę, przyszpiliłaby mnie ł zjadła na surowo. Żeby się uwolnić, musiałbym być tak cholernie chamski, żeby potem wstydzić się przez

miesiąc.

Złapałem ciasteczko i popędziłem do gabinetu.

- Mam nadzieję, że i ty nie rzucisz się na mnie? - zapytałem Eleanor.

W odpowiedzi obdarzyła mnie jednym ze swych najbardziej zagadkowych spojrzeń.

Usiadłem za biurkiem. Wokół mnie świat się walił. Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce, zanim chaos ogarnie wszystko. Muszę ten rzucany wiatrem statek sprowadzić znów na spokojne wody.

To moja cholerna wina, że próbowałem wykręcić numer Truposzowi.

Jęknąłem boleśnie. Właśnie się rozsiadłem wygodnie, kiedy ktoś zabębnił do drzwi. Nikt tu nie przychodzi, jeśli nie chce się widzieć ze mną. Nikt się nie chce ze mną widzieć, jeśli nie chce, żebym pracował. Nikt nie chce, żebym pracował, jeśli akurat nie usiadłem wygodnie. A potem humor mi się poprawił. Może to kolejne

ewangelistki? Będę mógł je napuścić na tę bandę, która właśnie zainfekowała mój dom. Może skoczą sobie do teologicznych oczu? Będę sędziował, a one załatwią to między sobą, nielogiczne oko za nielogiczne oko.

Widzicie, jaki ze mnie optymista. I kto mówi, że widzę wszystko na czarno? Bo tak jest? Jasne. Kiedy widzi się wszystko czarno, życie pełne jest przyjemnych niespodzianek i rzadko się rozczarowujesz.

Otwarcie drzwi jednak przyniosło mi rozczarowanie.

Najpierw wyrząłem przez judasza. Czuję, że będę nieszczęśliwy, kiedy już otworzę. Ale nie miałem wielkiego wyboru.

Nazywa się Westman Block. Jest przedstawicielem prawa. Takiego prawa, jakie obowiązuje w TunFaire. Jest kapitanem Straży, tej samej, która, nie potrafi złapać nikogo bardziej niebezpiecznego od Warczącego Psa Amato. Znam go trochę, to znaczy aż za dobrze. A on zna mnie. Niespecjalnie się lubimy. Ale szanuję go trochę bardziej niż resztę Strażników. Kiedy bierze łapówkę, pozostaje lojalny. Nie jest zbyt zachłanny.

Otworzyłem:

- Kapitanie, prawie pana nie poznałem bez munduru - powiedziałem grzecznie. Czasem mi się to udaje. Rozejrzałem się. Był sam. Zdumiewające. Zwykle chodzą stadami. To jeden z ich sposobów na przetrwanie.

- Możemy porozmawiać?

Był chudym, małym typkiem o siwiejących ciemnych włosach. Nie odznaczał się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć wyraźnego zatroskania. I do tego był prawie uprzejmy. Nigdy przedtem tak mnie nie traktował. Natychmiast nabrałem podejrzeń.

Zdrowa doza paranoi nigdy nie zaszkodzi w kontaktach z Westmanami Blockami.

- Mam gości, kapitanie.

- No to się przejdźmy. I proszę mnie nie nazywać kapitanem. Nie chce, żeby ktoś się domyślił, kim jestem. - Kurde, ale ciężko pracował nad sobą. Zwykle ma gadkę jak woźnica.

- Trochę pada.

- Nie da się z panem nic załatwić, co? Nic dziwnego, że ma pan taką reputację.

Widzicie? To nie był mój dzień. Zamknąłem za sobą drzwi, nie uprzedzając nawet Deana. A czego miałbym się bać? W końcu chronią nas niebiańskie zastępy.

- A może walniemy sobie piweczko? Czuję, że mi się przyda. - Mniej więcej antałek, wypity jednym haustem.

- Będzie szybciej, jeśli po prostu pospacerujemy. - Jego małe niebieskie oczka były kryształkami

lodu. Nie lubił mnie, ale bardzo się starał, żeby mnie nie obrazić. Chyba czegoś bardzo potrzebował. Zauważyłem, że zapuścił sobie wąsik jak Morley. Coś się chyba święci.

- W porządku. Ze mną jak z dzieckiem. Ale może mógłby pan przybliżyć mi sprawę?

- Pan już chyba wpadł na to, Garrett. Znam pana. Chciałbym prosić o wyświadczenie grzeczności. Mam problem. Czy mi się to podoba, czy nie, jest pan jedynym człowiekiem, który jest w stanie to rozwiązać.

Uznałem, że to chyba komplement.

- Doprawdy? - Nadałem się świeżo nabytą pychą. Urosła już prawie na równi z moją paranoją. Jestem facetem, który zaczyna się robić nerwowy, kiedy dawni wrogowie stają się podejrzenie grzeczni.

- Taaak - wymamrotał coś, chyba w obcym języku, bo przecież żaden dżentelmen nie użyłby takiego słowa, jakie zdawało mi się, że usłyszałem. Oficerowie straży są wszyscy bez wyjątku dżentelmenami. Wystarczy ich poprosić, a oczarują zachowaniem, opróżniając przy okazji kieszenie klienta.

- Co?

- Lepiej chyba panu pokażę. To niedaleko.

Pomacałem się tu i tam, żeby sprawdzić, czy jeszcze się nie roztopiłem.

Po dłuższej chwili mruczenia do siebie samego pod nosem Block odezwał się głośniej:

- Coś się dzieje na Górze, Garrett. Jakaś walka o władzę.

- A co nowego poza tym? - Ostatnio nie mieliśmy wielkiej wojny na górze ani żaden król nie zarył zębami w kurzu, a mimo to zmieniamy władców częściej, niż Warczący Pies ubranie.

- Pojawiła się frakcja reformatorów.

- Rozumiem. - Złe nowiny dla jego bandy. - Paskudna sprawa.

- Wie pan, co mam na myśli?

- Aha... - Już słyszałem te plotki. No, ale te słyszy się bodaj codziennie. Tu na nizinach nie zwracamy na nie szczególnej uwagi. Wszystko to stanowi część polityki. Nikt tak naprawdę nie chce zmian. Zbyt wielu ludzi ma zbyt wiele do stracenia.

- To dobrze. Ponieważ jest to coś, czym należy się szybko zająć. Szybko. Naprawdę szybko. Inaczej podpalą nam jaja. - Widzicie? Nawet wyraża się jak dżentelmen.

- A gdzie wchodzi ja?

- Przykro mi się przyznać, ale teraz nikt z nas nie wie co robić.

Cholera! On naprawdę ma kłopoty! Chyba pokazali mu już rozpalone do białości krzesło z dziurą w środku i paleniskiem pod spodem.

- Dużo myślałem. Pan był jedyną odpowiedzią. Pan wie, co trzeba robić, i jest dość porządny, żeby to uczynić. Jeśli pana na to namówię.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że nie spodoba mi się to, co usłyszę. Zamknięta gęba pozostawia otwarte możliwości. Cudownie się hamuję, jak na moje stare lata.

- Jeśli nam pan pomoże, Garrett, nie pożałuje pan. Zajmiemy się tym, żeby dostał pan należną zapłatę. I od tej pory będzie pan pod ochroną Straży.

No, no, no. To by mi się nawet przydało. Miałem już problemy ze Strażą. Raz nawet zrobili mi regularne oblężenie chałupy. Trochę się musiałem napracować, żeby się z tego wywinąć.

- W porządku. No to o co chodzi? - Miałem dziwne przecucie.

Nie musiałem być geniuszem, żeby stwierdzić, że kroi się coś wielkiego, a paskudnego.- Chyba

lepiej panu pokaże - upierał się Block.

Pomimo dość ciekawiej brzmiącej oferty coraz mniej i mniej mi się to podobało.

Przeszliśmy tylko około mili, ale ta mila zaprowadziła nas na skraj świata i w inną rzeczywistość, do samych przedsionków piekieł, zwanych Bustee. Teraz wiedziałem, dlaczego nie włożył munduru.

TunFaire zamieszkują przedstawiciele prawie wszystkich inteligentnych ras. Z reguły skupiają się oni w grupki podobnych sobie. Tak samo dzieje się z ludźmi, którzy nie należą do większości etnicznej. Mieszkańcy wypełniają szczeliny, żyją pośrodku, łapią co popadnie i często nikt ich nie toleruje. Dwie trzecie miasta to slumsy. Nędza jest normą.

Jednak dla tych slumsów Bustee jest tym samym, czym slumsy dla Góry. Ludzie żyją tu w szmacianych namiotach lub lepiankach skleconych z patyków, błota i śmieci, sprzątniętych sprzed nosa ludziom- szczurom. Nieraz tłoczą się w setkę w budynku przeznaczonym przed setką lat dla pięciu lub dziesięciu osób, kiedy dom jeszcze miał okna i drzwi, i podłogi, których nikt nie używał zimą na opał. Mieszkali w bramach i na ulicy, nieraz w takiej nędzy, że nie mieli nawet siennika. Żyli w niewyobrażalnym brudzie. Nawet ludzie- szczury nie chodzili tam bez ochrony. Żołnierze

nie udawali się tam w sile mniejszej niż cała kompania - jeśli w ogóle. Zbyt wielu żołnierzy wyszło stamtąd i już nie chciało wrócić, nawet w odwiedzin.

Bustee to samo dno. Nie można stoczyć się bardziej. A jeśli już stoczysz się tak daleko, jest szansa, że nigdy nie zdołasz się wygrzebać. Dopóki nie przyjdą trupiarze z wozami.

Tylko oni są bezpieczni w Bustee. Codziennie przybywają ze swymi wozami, w długich szarych szatach, z woalami na twarzach. Zbierają trupy z ulic i zaułków. Śpiewają „Wynoście waszych zmarłych! Wynoście waszych zmarłych!”. Nie muszą schodzić z ulicy. Ładują wagony i wywożą do miejskich krematoriów. Pracują od świtu do nocy, ale z każdym dniem jest im coraz trudniej się wyrobić.

Śmierć w Bustee jest równie paskudna jak życie. A życie jest tam najtańszym towarem. Jedynym towarem, który w Bustee ma jakąś cenę, są młodzi mężczyźni. Twardzi, młodzi mężczyźni, którzy przeżyli szkołę ulicy. To jedyne istoty, które zarabiają na wojnie w Kantardzie. Zaciągają się, kiedy tylko mogą, i dzięki żołdowi uciekają z tego piekła. A potem, pomimo twardej, pozbawionej dyscypliny młodości, ciężko pracują, żeby być dobrymi żołnierzami. Jeśli są dobrzy, mogą zarobić tyle, by utrzymać rodzinę. Jadą do Kantardu i mrą jak muchy, żeby utrzymać rodzinę.

Nigdy nie przestanę się dziwić, jak taka miłość może przetrwać, a co dopiero rozkwitnąć w Bustee. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to się dzieje. W bogatszych slumsach pierwszymi ofiarami młodzieży padają najczęściej ich bliscy.

Inny świat. W Bustee wszystko dzieje się inaczej. Block zatrzymał się w pół kroku. Ja również. Zdaje się, że miał stracha. Rozglądał się nerwowo. Wyglądaliśmy zbyt bogato. Ulice jednak były puste. Może to przez ten deszcz. Ale nie, chyba nie. Najwyraźniej coś wisiało w powietrzu.

- Tędy - odezwał się Block. Poszedłem za nim, jeszcze czujniejszy niż przedtem. Nikogo nie spotkaliśmy, dopiero po chwili natknęliśmy się na kilku Strażników, choć bez mundurów. Wyglądali z wąskiego przejścia pomiędzy dwoma budynkami, które

na początku świata mogły być porządne. Domy były tej samej wielkości i w tym samym stanie, co wszystko inne w Bustee. Strażnicy wycofali się w głąb przejścia.

pogorszyło mi się. Co? Miałem tam wejść z facetem, który kochał mnie tak, jak tylko Block potrafi? Ale nie, on mnie wcale tak bardzo nie nienawidził. Nie na tyle, żeby mnie tu ściągnąć na swoistą zabawę.

Wszedłem w przejście i omal nie potknąłem się o jakiegoś starca. Chyba nie ważył więcej niż siedemdziesiąt funtów. Wyglądał jak szkielet ubrany w skórę i miał akurat tyle sił, żeby się trząść. Niedługo trupiarze go zabiorą.

- Do samego końca - polecił Block.

Nie chciałem tam iść. Ale poszedłem. I gorzko tego pożałowałem.

Lubię myśleć, że w Marines wypracowałem sobie porządne odciski na emocjonalnej stronie mojej osoby, ale to tylko dlatego, że moja wyobraźnia nie potrafi objąć potworności większych niż to, co przeżyłem i widziałem na wojnie. Wciąż mi się wydaje, że żadna diabelska robota nie jest mnie w stanie zaskoczyć.

I wciąż stwierdzam, że się mylę.

Wyszliśmy z Blockiem na mały plac, na którym w lepszych czasach dostawcy pozostawiali swoje towary. Stało tam kilku Strażników. Mieli pochodnie, żeby rozjaśnić ponury mrok. Wyglądali tak, jakby mieli nadzieję, że deszcz je pogasi.

Wcale im się nie dziwiłem.

Dziewczyna miała około dwudziestu lat. Była naga. I martwa. Ani jedno, ani drugie samo w sobie nie było niczym szczególnym. To się zdarza.

Ale nie tak, jak tutaj. Nie w ten sposób.

Ktoś związał jej dłonie i stopy, powiesił ją na belce głową w dół. A potem poderżnęli jej gardło i wykrwawili, i wypatroszyli jak złowioną zwierzynę. Wokół nie było krwi, choć ludzkie ciało zawiera jej zdumiewające ilości.

- Zebrali krew i zabrali ze sobą - mruknąłem.

Posiłki z ostatniego miesiąca wyraźnie nabrały ochoty na przechadzkę beze mnie. Block skinął głową. Też miał kłopoty z utrzymaniem zawartości żołądka. Jego chłopcy również. Poza tym byli wściekli. Cholera, ja też byłem wściekły, ale mój gniew nie miał czasu dojrzeć.

Nie wiadomo po co ją wypatroszyli. Może potrzebowali jej organów? Wnętrznosci porzucono na ziemi, ale niewiele z nich zostało. Psy zdążyły je rozwlóc. Dobrały się też do ciała, ale niewiele uszkodziły. Właśnie ich szczekanie naprowadziło na ślad zbrodni.

- To już piąta, Garrett - odezwał się Block. - Wszystkie tak.

samo. - I wszystkie w Bustee?

- Nie. To pierwsza tutaj. Pierwsza, o której wiemy.

Aha. Tutaj to się może zdarzyć w każdej chwili... Spojrzałem jeszcze raz. Nie. Nawet w Bustee istnieją pewne granice szaleństwa, które się tu toleruje. Nikt zabija dla sportu czy rytuału. Mordują z namiętności albo dlatego, że zabójstwo pośrednio bądź bezpośrednio ich nakarmi. Tę dziewczynę zabił ktoś szalony.

- Pochodziła z zewnątrz - zauważyłem. Była zbyt zdrowa. Zbyt ładna.

- Żadna z nich nie pochodziła z Bustee, Garrett. Pojawiały się w całym mieście.

- Nie słyszałem o czymś takim. - Szczerze mówiąc, nawet nie słuchałem.

- Staraliśmy się nie robić rozgłosu, ale i tak plotki już krążą. Dlatego właśnie grozi nam ogniste krzeselko. Przyszła potęga życzy sobie dostać tego świra. I to szybko.

Po chwili namysłu odpowiedziałem:

- Kapitanie Block, nie wierzę, żeby pan był ze mną całkiem szczery. Gdyby było ich piętnaście lub dwadzieścia, a wśród ludzi zapanowała panika, może by tam na górze ruszyli tyłkiem. Ale nie przekona mnie pan, że cztery czy pięć wypatroszonych dziewczyn ulicznych ma dla nich większe znaczenie niż szcurzy ogon.

- Ma pan absolutną rację, Garrett. Ale to nie były ulicznice. Wszystkie pochodziły z dobrych

rodzin. Wszystkie miały doskonałe, wręcz trywialne powody, żeby wyjść tego dnia, kiedy nie! wróciły. Sprawy do załatwienia. Odwiedziny u przyjaciół. Wszystkie całkowicie bezpieczne.

- Taak? Nie ma takiego pojęcia jak „całkowicie bezpieczne” \v TunFaire. Takie kobiety nie ruszają się nigdzie bez uzbrojonych strażników. To kwestia statusu. Co się stało z ich ochroniarzami?

- Większość z nich nie ma pojęcia, co się stało. Odprowadzili swoje podopieczne do zaprzyjaźnionych domów i poszli za swoimi sprawami. Coś się może i dzieje, ale strażnicy nie są w to zamieszani. Choć może ich zeznania na coś się przydadzą. Tyle tylko, że do tej pory nie dostaliśmy pozwolenia na to, żeby ich wypytać. Jeszcze nie.

- Żadnych poszlak?

- Absolutnie nic. Nikt nic nie słyszał ani nie widział.

To standardowa sytuacja w całym TunFaire. Nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał.

Wydałem z siebie dość przykry dźwięk i zmusiłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na ofiarę. Musiała być piękna, smukła, miała długie, czarne włosy. To nieprzyjemna prawda, ale człowiekowi bardziej żal, kiedy marnują się te ładniejsze. Block gapił się na mnie, jakby miało nań spłynąć oświecenie.

- Czego ode mnie oczekujecie? - Jakbym nie wiedział.

- Proszę się dowiedzieć, czyja to robota. Niech nam pan poda nazwisko. A my już się tym zajmujemy.

Nie musiałem pytać, co będę z tego miał. Powiedział mi już. Wierzyłem mu na słowo. Jak już mówiłem, wystarczyło go przekupić tylko raz.

- Co jeszcze wiecie?

- To wszystko. Wszystko, co mamy.

- Gówno prawda. Gadaj, Block. - Co?

- To tutaj mówi samo za siebie. Zwłaszcza jeśli pozostałe wyglądały tak samo.

- Dokładnie.

- No dobra. Wypatroszyli je. Zabrali ich krew. To cuchnie mroczną religią lub czarnoksięstwem. Ale jeśli to kult, nie ma on stałej bazy, ponieważ wówczas tam pozbywaliby się ciała.

- Chyba że chcieli, by je znaleziono.

- W moim rozumowaniu musi być jakiś błąd. Może powinniśmy myśleć, że to kult, a to tylko szaleństwo. Albo, że to szaleństwo, a chodzi o rytuał. Choć szaleństwo jest niemal pewne. Nikt zdrowy na umyśle nie zrobiłby czegoś takiego.

- Wciąż pan powtarza „oni”. Uważa pan, że jest ich więcej? Zastanowiłem się. Nie, to tylko odruch.

- Tak. Ktoś musiał ją odciągnąć od eskorty. Ktoś musiał ją tu przywlec, rozebrać i związać, a potem powiesić i zrobić... to. Nie, żaden szaleniec solo nie dałby rady.

Przypomniało mi się porwanie, któremu zapobiegłem poprzedniego deszczowego popołudnia, i zeszywniałem. Zrobiło mi się zimno. Powiązanie wydało mi się nieprawdopodobne, ale jednak...

- Czy te dziewczyny miały ze sobą coś wspólnego, poza wysokim pochodzeniem? Może się znały? Może były tego samego typu urody? - Tej tutaj nie można by pomylić z bachorem Chodo, ale miała podobną budowę, czarne włosy i ciemne oczy.

- Wiek: od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat Wszystkie ciemnowłose, z wyjątkiem jednej blondynki. Wszystkie były wzrostu między pięć stóp i cztery cale a pięć i osiem. Zbudowane dość podobnie, o ile można coś powiedzieć, widząc je w tym stanie.

- I było ich pięć.

- O tylu wiemy.

No właśnie. W TunFaire może być ich więcej, ale jeszcze nikt ich nie znalazł albo tego nie zgłosił.

- Wpakował się pan w cholerny, pieprzony problem, kapitanie. Takie rzeczy trudno rozwiązać, bo nie ma się czego chwycić. Nic nie wydaje się sensowne nikomu, kto nie jest wariatem. Jeśli będzie ich więcej, można spodziewać się niezłego cyrku.

- Wiem o tym, Garrett. Kurde, po to do ciebie przyszedłem. Chcesz, żebym cię błagał?

- Nie, Block. Nie chcę, żebyś mnie błagał. - Może i miałoby to swój urok, ale ja bym tego nie zdzierzył. - Proszę się uspokoić. Pójdzie pan ze mną na deszczowy spacer i opowie mi o wszystkim, co wie. Wszystko to znaczy naprawdę wszystko. Cokolwiek zatrzyma pan dla siebie, żeby kogoś tam nie wpakować, może okazać się kluczem do sprawy.

Nie zdecydowałem jeszcze, czy się w to zaangażuję. Nie teraz. Chciałem jednak trochę go zająć, tylko tyle żeby dojść do mojego domu i zrobić mu seans z Truposzem. Truposz już mu tam posortuje, co trzeba, w tej słabej łepetynie i przy okazji wyciągnie to, co mu będzie potrzebne do rozwiązania zagadki. Dziękuję temu uznani mój obywatelski obowiązek za spełniony i nie będę musiał nadstawiać karku.

Problem polegał jedynie na tym, że chłopcy Blocka poszli za nami, niosąc swoje pochodnie, które pryskały i trzaskały na deszczu, dając mi więcej światła, niż miałem go, idąc w tę stronę. To znaczy, że było dość jasno, abym zdołał spostrzec motyle.

Było ich trzy. Nic szczególnego. Zwyczajne małe, zielone motyle. Ale jakim cudem w ciemnej alejce Bustee znalazły się martwe motyle?

Zatrzymałem się u wylotu wąskiej uliczki.

- Weźcie gdzieś tego starego i nakarmcie. Ściągnijcie lekarza i niech go zbada. Zróbcie, co można, żeby poczuł się lepiej i powiedział, co widział. Jeśli w ogóle widział cokolwiek.

- Wykonać - rzucił Block swoim ludziom.

Ruszyłem w stronę domu. Block dreptał obok mnie, wyrzucając z siebie wszystko, co jego zdaniem mogło mi pomóc. Nie słuchałem tak uważnie, jak powinienem. Poza zgrozą czułem jeszcze dziwną zadumę na myśl, że być może trzymam w dłoniach los Straży. Mogłem zniszczyć te beżycyteczne bękarty. Albo nawet zmusić ich, żeby stali się choćby w małej części tym, czym być powinni. Do diabła, ludzie robią wszystko, żeby nie wylecieć z roboty. Nieraz nawet robią to, co do nich należy.

Nie byłem przyzwyczajony do takiej władzy. Może powinienem wziąć Deana, żeby łąził za mną i powtarzał mi do ucha, że jestem śmiertelnikiem?

Dean zauważył, że drzwi były otwarte, i je zamknął. Wołałem i waliłem w dechy, aż wreszcie oderwał się od swoich ewangelistek. Kiedy otworzył, dostrzegłem w jego oczach błysk, który nie miał nic wspólnego ze zbawieniem.

- Ty draniu, ty... - Udawał, że nie wie, o co mi chodzi. Do licha, dobrze byłoby mu przywalić. I tym dwóm też. Może go to nie zabije.

Nigdy wcześniej nie wpuszczałem do domu Westmana Blocka. Wszedł ostrożnie, jak żołnierz odwiedzający twierdzę nieprzyjaciela. Truposz nie jest żadną tajemnicą. Każdy, kto się interesuje takimi rzeczami, wie, że mieszka ze mną Lyghyr. Ale niewiele osób go widziało. Wchodzą do jego pokoju z całą masą najróżniejszych przesądów, a potem stwierdzają, że prawda jest gorsza od najgorszych wyobrażeń.

- Siadaj pan - poleciłem Blockowi. - Ja muszę pochodzić. Nie mógł się powstrzymać od wytrzeszczania oczu.

- Co my tu robimy?

- Stary Kościej jest geniuszem. Nie wierzy pan mnie, proszę spytać jego. Uważam, że powinniśmy mu wszystko opowiedzieć. Może znajdzie jakieś powiązania, powie nam, od czego zacząć.

Kościej się nie odzywał. Nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak. Czuję jednak, że jeśli zacznie współpracować, wniesie do sprawy coś więcej niż tylko geniusz.

- Kręcił się po tym świecie dość długo. Coś z zeszłego roku może okazać się kluczem do dzisiejszej tragedii. To już się zdarzało. Istnieją tragedie, które powtarzają się w długich cyklach, jak plaga szarańczy. Raz na kilka pokoleń. Jeśli te morderstwa miały związek z jakimś kultem, może pasują do jakiegoś cyklu.

Truposz nie gadał, ale słuchał uważnie. Węszył. Jest cholernie subtelny, lecz ja potrafię to wyczuć. Oczywiście, jeśli zwracam na to uwagę.

Garrett, czy mamy odłożyć tę komedię? Czy mamy porzucić dziecinne wysiłki, żeby poszarpać nerwy jeden drugiemu? Nie przyznam jeszcze, że powinniśmy ruszyć w pogoń za tym potworem, ale stwierdzam, że sytuacja wymaga, abyśmy się jej dokładnie przyjrzeni.

- Jak ty dorośniesz, to ja też.

Block spojrzał na mnie dziwnie. Nie słyszał kwestii Truposza, Truposz potrafi to robić, jeśli chce. A wtedy nasze rozmowy są cokolwiek upiorne.

Doskonale. Na jakiś czas odłożę na bok mą troskę o zbawienie twojej duszy.

O, kurde. Nie da mi żyć. Te kobiety poraziły jego poczucie realizmu. Nie cierpi ludzi, którzy nie potrafią spojrzeć na wierzenia krytycznym okiem. Najczęściej to ukrywa, kiedy rozmawia ze mną, ale serdecznie gardzi większością rodzaju ludzkiego. Spośród bogowie-wiedzą- ilu gatunków istot inteligentnych na świecie my, ludzie, jesteśmy jedynym, który pielęgnuje gorącą wiarę w rzeczy niewykonalne z punktu widzenia logiki i zmysłów. Ci, którzy miotają się? po niewiarygodnych terenach pobożnych życzeń, są wśród innych ras uważani za nienormalnych i postępuje się z nimi mniej więcej tak samo, jak my postępujemy z Warczącym Psem. Albo jeszcze gorzej. Inne rasy nie robią ze swoich czubków kapłanów, nie dają im forsy i nie łążą za nimi z uduchowionymi gębami.

- Przyjmuję, że się tym zajmiesz, Garrett. - Block był cholernie nerwowy. Większość ludzi jest taka w pobliżu Truposza, który cieszy się szczególną reputacją, zresztą w pełni zasłużoną. Odkąd tu mieszkamy, wywinął już kilka zdumiewających numerów. - Właśnie się nad tym zastanawiamy. - Walczyłem ze sobą. Lenistwo i niechęć do angażowania się w kolejną dziwną sprawę walczyły o lepsze z oburzeniem. Oburzenie prowadziło o nos. Biały rycerz już zbyt długo leżał na półce. Jego jedyną i ostatnią próbą zaistnienia było uratowanie ponurej córki Chodo. Ale biały rycerz ma pewną słabość. Nie czuje oporów przed szarżą w pełnej gotowości na widzialnego przeciwnika, wymachując zardzewiałym mieczem, nienawidzi za to polowania na łotra. Łażenie grzebie jego dobre chęci szybciej niż groźby i brutalność twardzieli z naprzeciwnika. A tę sprawę można rozwiązać wyłącznie łożeniem. Odpręż się, Garrett. Nie musi być tak źle, jak ci się zdaje. Ujrzałem, jak Block podskakuje, i wywnioskowałem, że tym razem Truposz włączył go do rozmowy.

Kapitanie Block, czuję, że przywiązuje pan ogromną wagę do wyniku śledztwa, które nam pan proponuje.

Block pobladł, na konturach przybrał zielonkawy odcień. Słuchanie kogoś, kto mówi ci wprost do mózgu, nie jest zbyt przyjemnym doświadczeniem. W każdym razie nie za pierwszym razem. A już zwłaszcza wtedy, kiedy facet ma w głowie całą masę syfu, którego wolałby nie wywlekać na światło dzienne, gdzie mógłby go ujrzeć cały świat. Można powiedzieć, że miarą jego rozpacz i determinacji było to, że nie uciekł, gdzie pieprz rośnie. Bardzo szybko odzyskał równowagę.

- Tak. Z Góry dochodzą spore naciski, I będą większe za każdym razem, kiedy jakaś głupia

dziwka da sobie wypruć flaki.

Sądzi pan, że będzie ich więcej?

- Żebyście wiedzieli. A co pan na to?

Sądzę, że ma pan rację.

Truposz był teraz całkiem rzeczowy.

Zabójstwa, będą się powtarzać, i to z coraz większą częstotliwością, dopóki nie zniszczymy istot za nie odpowiedzialnych. Sądzę, że mamy do czynienia z czymś, czego do tej pory nikt z nas nigdy nie widział. Dowody, jakie jestem w stanie wyłuskać z waszych umysłów, mówią mi, że jest to działanie mordercy kierującego się wewnętrznym przymusem, który nie potrafi przestać robić tego, co robi. Będzie powtarzał to coraz częściej i częściej, aby uspokoić szatana, który nim kieruje. Ale widzę też, że nie czyni tego samotnie.

- Uważasz, że jest jakiś związek z... - nie dokończyłem, bo mi przerwał w pół słowa. Chodziło mi o to, co wydarzyło się u Morleya.

Tak.

Było tam coś, czego nie chciał podarować Blockowi. Garrett, widzę, że nie masz ochoty na dreptanie, jakie się z tym wiąże. Masz rację. Będzie trzeba porozmawiać ze wszystkimi, którzy choćby w najmniejszym stopniu są związani ze sprawą. Rodziny zabitych kobiet. Ich strażnicy. Ludzie, którzy ich znaleźli. Strażnicy, którzy przyszli na miejsce. Ludzie mieszkający w sąsiedztwie miejsc, w których znaleziono ciała.

Wie, drań, jak człowieka załatwić. Z każdym słowem byłem coraz mniejszy. Już osiągnąłem rozmiar myszki. Zacząłem rozglądać się za dziurką w boazerii, żeby się schować. Ta robota wyglądała tak, jakbym miał się nią zajmować do emerytury, jeśli nie do śmierci.

Łażę, ponieważ łaźć muszę. Rozmawiam z ludźmi, bo trzeba z nimi rozmawiać, poszturcham tu i tam, aż zacznie się coś dziać. Ale nie lubię tego, częściowo z powodu wrodzonego lenistwa, ale głównie z powodu samych ludzi. Nigdy nie przestanę dziwić się i przerażać, jak daleko może sięgać ludzka niegodziwość.

Nie bierzesz pod uwagę naszych możliwości.

Fakt. Za bardzo się nad sobą rozczulam, żeby myśleć o czym innym. Mamy Straż. Tysiąc ludzi do łażenia. Nie mam racji, kapitanie? Czy każdy członek Straży nie rzuci się do tej pracy ze zdwojonym zapałem?

- Jeśli tego nie zrobi, dobiorą nam się do dupy. Już nam grożą. Jeszcze pięć morderstw i Straż nie ma co tu robić.

Serce mi chyba pęknie.

Wiedziałem, o co chodzi Truposzowi. Za bardzo się sam w to angażuję. Strażnicy zrobią wszystko, żeby chronić własny tyłek. Może i swoją robotę także. Musimy tylko polećtać ich instynkty samozachowawcze.

Rób zatem, co mówię. Sam przesłucham eskortę i rodziny. I tych, którzy znaleźli ciała. Wasi ludzie przeczeszą okolicę, gdzie znaleziono ciała. I miejsca, z których je porwano. Wątpię, żeby chcieli z wami współpracować, ale to nie będzie konieczne. Nawet Strażnicy na pewno rozwinęli w sobie pewien zmysł, pozwalający stwierdzić, kto jest szczerzy, a kto nie. Opornych przyprowadzajcie do mnie. Ja ich zachęcę do rozmowy.

Byłem zachwycony. Truposz sprawił, że poczułem się wyjątkowo. Zazwyczaj muszę zagrozić mu kataklizmem, żeby ściągnąć na siebie jego uwagę. Teraz sam rzucał się w wir pracy. Przecież ja jeszcze na nic nie wyraziłem zgody. Jego entuzjazm zdradzał, że już sobie wszystko poukładał. Albo że wie coś, czym nie chce się podzielić. Obserwowałem go kątem oka, jak sobie radzi z Blockiem,

jak mu tłumaczy, kogo i kiedy ma przyprowadzać na przesłuchanie.

Podejrzliwość i paranoja to choroby zawodowe. Masz nawet takie ataki, kiedy nie ufasz samemu sobie.

Jeśli Truposz nabierze ochoty na drzemkę, może tak spędzić całe miesiące. A kiedy nie śpi, też może przez całe tygodnie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. I chyba to właśnie miał zamiar zrobić. Biedny Dean skona od samego otwierania drzwi.

Block musiał sobie pożyczyć pióro i papier, żeby zapisać wszystkie jego instrukcje. Ta czynność zajęła mu pół godziny. Krążyłem po pokoju, martwiłem się i dumałem. Wreszcie Truposz zwolnił Strażnika, a ja mogłem go odprowadzić do drzwi.

- Nie pożałuje pan tego, Garrett, Gwarantuję to. Jeśli wyczyścimy sprawę, będzie pan miał paszport na całe życie. - Jasne. - Wiem, jak długo trwa taka wdzięczność. Mniej więcej tyle czasu, ile trwa termin płatności rachunku. Zwłaszcza w TunFaire. Jedynym znanym mi facetem, który dotrzymuje takich obietnic, jest Chodo Contague. Kiedyś doprowadzał mnie do szaleństwa spłacaniem wymaganych długów.

Wzdrygnąłem się. Stary Chodo zawsze spłaca swoje długi. Tyra razem zawdzięczał mi naprawdę dużo.

Zamknąłem drzwi za Blockiem, wyrzuciłem Chodo z głowy i pędem wróciłem do pokoju, żeby się dowiedzieć, co ten cholerny Chichotek kombinuje.

Jeszcze nie, Garrett. Dean!

Truposz nieczęsto sięgał umysłem poza granice swojego pokoju.

Pozbądź się tych zgag. Wyślij je do swoich siostrzenic. Mamy robotę.

- Jego siostrzenic? - Rzuciłem się w stronę pokoju Truposza. - Chcesz stworzyć potwory?

Dean ma pluton starych panien, wszystkie co do jednej główne kandydatki do Miss Udomowienia TunFaire. Doprowadzają go do rozpaczy. Właśnie dlatego zamustrował się jako stały domownik u mnie. '

- Możesz sobie wyobrazić to stado w pogoni za misją od Boga?

Dean ma dość rozumu, żeby uniknąć takiej ewentualności. Zanim wróci, powiem ci, co masz zrobić. Zaczynaj od początku, to znaczy od wydarzeń, które miały miejsce w domu Morleya. Ale najpierw przyprowadź do mnie panów Dotesa i Tharpe'a. Przyda się nam ich pomoc.

- „Nam” pewnie się przyda, ale jak „my” sobie mamy na nią pozwolić? Moja dola za śledzenie Warczącego Psa nie będzie wystarczająca...Kapitan Block zajmie się wydatkami. Powinieneś być uważać. Podałem mu niebotyczną cenę. Był tak zdesperowany, że ani mrugnął.

- Jeśli są tak przerażeni, jak on twierdzi, zbiorą dość forsy z łapówek, żeby nam zapłacić.

Właśnie. Otrzymaliśmy niezrównaną okazję. Jeśli chodzi o niego, pieniądze nie mają pochodzenia. Pieniądze nie śmierdzą, tylko ludzie, którzy nimi obracają. Zamierzam zabrać się do roboty z zapalem. Z moim zapalem, oczywiście.

- Czy dlatego tak się na to rzucasz? - Nie chciało mi się wierzyć.

Powiedzmy, że mam wrażenie, iż mój umysł zaczyna flaczeć i zwisać. Tak samo, jak pozwoliłeś, aby sflaczało i zwisło twoje ciało. Muszę wrócić do formy, nim będzie za późno. Nie jestem przygotowany do pogrążenia się w nicości.

Nicość. Odłożyłem to wyrażenie w miejsce, gdzie będę mógł je szybko znaleźć, kiedy zacznę gadać o stanie mojej nieśmiertelnej duszy.

To, co mówił, brzmiało nieźle. Ale nie wierzyłem. A on o tym wiedział. Nie pozwolił mi jednak drażnić tematu. Przyprowadź pana Tharpe 'a i pana Dotesa. Pan Tharpe nie chciał zostać przyprowadzony. Pozbył się Billie i zastąpił ją małą blondynką, która mogłaby być jej bliźniaczką.

Nowość jeszcze się nie opatrzyła na tyle, żeby sam to zauważył. Chciał zostać w domu i się bawić.

- Daj spokój, Garrett. Jeszcze nawet nie jest ciemno.

- Co, pracujesz teraz tylko w nocy?

- Zaczyna mi to wchodzić w krew, przez te dziwaczne roboty dla Licksa.

- To tak jak dla mnie słońce. Pogadaj z Truposzem. Nie chcesz, to nie pracuj, nic się nie stanie.

Wezmę kogoś innego. Może nie będzie tak dobry, ale sobie poradzę.

- Co się święci?

- Seryjny zabójca. Prawdziwy psychol. Jego Kościstość może ci wszystko opisać. Nie wiem dlaczego chce akurat ciebie. Właśnie zaczął pluć rozkazami jak fontanna.- Dobra, pogadam z nim. -

Spojrzał na swoją przyjaciółkę, która prawie spaliła mnie śmiercionośnym spojrzeniem.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

- Idę do Morleya - rzuciłem przez ramię i wyniosłem się, zanim kobietka wycięła mi na pniu swoje inicjały.

?Dom Morleya był słabo zaludniony. Właśnie otworzyli. Jego klienci są jak gwiazdy, rzadko się pojawiają przed zmierzchem. Ci, którzy tu siedzieli, to tylko ranne gacki, próbujący wcześniej dorwać się do żarcia.

Nikt się nie podniecił, kiedy wszedłem. Nikt mnie nie znał. Gość za barem był nowy. Taki mały, chudy półelf jak Morley, piekielnie przystojny, ale za młody, żeby wiedzieć, co się z tym robi. Właśnie próbował wyhodować sobie wąsik.

To chyba jakaś epidemia.

- Chcę się widzieć z Morleyem - oznajmiłem. - Nazywam się Garrett. Powiedz, że chodzi o biznes i że stawka jest cholernie duża.

Dzieciak spojrział mi prosto w oczy.

- Morley? A kto to jest Morley, do diabła? Nie znam żadnego Morleya.

Jeszcze jeden z tych przyjemniaczków.

- Synku, liczę się z tym, że jesteś tu nowy. Liczę się z tym, żeś młody i głupi i uważasz, że jesteś taki cwany. Ale kiedy skończę liczyć, wyciągnę cię z za baru i zacznę tak walić po ryju, że Morley zejdzie na dół, żeby sprawdzić, kto tak wrzeszczy. Ruszaj do tuby, ale już.

Nie miałem zbyt dużej widowni, ale zawsze coś. Gówniarz chciał mi pokazać. Szybko jak błyskawica podsunął mi pod nos brzytwę. Elfy mają aferę miłosną z ostrymi przedmiotami, zwłaszcza młodzież. Był tak przewidywalny, że wystawiłem moją łamigłówkę równie szybko, jak on brzytwę. Walnąłem go po kostkach. Wrzasnął jak nadeptany kot. Brzytwa pofrunęła po barze. Widzowie pomogli. A z kuchni wytoczyła się góra miecha na nogach faceta.

- Garrett, co się dzieje? - To był Sierżant, drugi ze starych pomagierów Morleya. Z tej samej serii fabrycznej co Kałuża.

- Chciałem rozmawiać z Morleyem. Gówniarz wyciągnął brzytwę.

Sierżant pokręcił ze smutkiem głową.- No i po co ci to było, Karpie! Facet chce się widzieć z Morleyem, dajesz głos i wołasz Morleya. Morley chce mieć takich kumpli, to jego broszka i jego buda.

- Karpie! - zapytałem. A cóż to za imię? Nawet karzeł nie nazwałby swego dzieciaka Karpie!

. - Tak go nazywamy, Garrett. Naprawdę ma na imię Narcisio. Krewniak Morleya. Syn jego siostry. Pewnie nie może sobie z nim poradzić. Morley przywiózł go tutaj, żeby trochę chłopaka naprostować. Tymczasem mały gadał do tuby głosowej wiodącej do biura Morleya.

Pokręciłem głową. Morley Dotes ma zamiar kogoś naprowadzić na wąską i prostą ścieżkę cnoty? Morley, którego prawdziwym zajęciem jest podrywanie gardeł i łamanie kości, okazjonalne oszustwa, a nawet napady i włamania, jeśli stawka jest dość duża? Mój kumpel Morley?

Sierżant zaprezentował mi szeroki uśmiech.

- Wiem co myślisz. Ale znasz przecież Morleya.

Znam Morleya. Potrafi z nabożnym ferworem wierzyć jednocześnie w dwie całkowicie przeciwstawne i wykluczające się teorie. Całe jego życie jest płataniną sprzeczności i przeżywa je wszystkie po kolei z wielką pasją. Może ci sprzedać dosłownie wszystko, bo w chwili, kiedy coś mówi, wierzy dokładnie w każde swoje słowo. Dlatego tak dobrze sobie radzi z kobietami. I niezależnie od wszystkiego rzuca się w kompletnie nową namiętność już w pięć minut później.

Aktualnie jest stuprocentowo zajęty.

Morley na pewno zrobił dobry uczynek w przypadku Karpiela. Chłopak nie był szczęśliwy, że mu utarłem nosa, ale jakoś to przeżył.

- Morley zejdzie za kilka minut Podać ci coś, zanim przyjdzie?

- Kałuża ma tam jeszcze ten. antałek? Nalej mi jednego. Jest mi winien kilka galonów.

Sierżant zachichotał.

- Może od razu go wykończyć? Strasznie chciałbym zobaczyć, jak się nadyma jak stara ropucha, kiedy wróci i stwierdzi, że ktoś był tu przed nim.

- Zrobię, co się da. Towarzystwo? - Dziabnąłem kciukiem w stronę sufitu.

- Aha. Szczęście do niego wraca.

- Dobrze, że w ogóle wraca. Sierżant zachichotał znowu.

- Powinieneś być żenić się z Mayą, kiedy prosiła. Była w porządku. - Poklepał Karpiela po ramieniu. - Dobrze ci poszło. Tylko nie rzucaj się tak z brzytwą. Inny facet może nie być tak miły jak Garrett.

Ruszył do kuchni. Ciekaw byłem, co on tam robi. Nie dopuściłbym go na dziesięć kroków do przygotowywania jedzenia, nawet tej końskiej paszy, którą podają u Morleya.

Uznałem, że ego gówniarza potrzebuje połaskotania, i wybąkałem coś w rodzaju przeprosin za to, że byłem taki ostry. Widownia straciła zainteresowanie, więc on też mógł mnie jakby trochę przeprosić.

- Jestem tu dopiero od kilku dni, panie Garrett. - Teraz już rozpoznawał to nazwisko. - Zawsze ktoś tu się kręci i zatruwa życie mojemu wujkowi. A pan wyglądał jak nieszczęśliwy mąż.

Zaśmiałem się.

- Nieszczęśliwy, ale nie mąż. - Morley nie doznaje satysfakcji, dopóki nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka. Na przykład nigdy nie tknie kobiety, która nie jest mężatką. Kiedyś miał również poważne problemy z hazardem, ale je przezwyciężył.

Morley zszedł z błogą miną po schodach. Nie chciał nic mówić, ale musiał dać mi do zrozumienia, że jego życie jest piękne. O wiele lepsze od mojego. Nie mogłem się sprzeczać. Wielu ludzi ma życie lepsze od mojego.

- Co się dzieje, Garrett?

- Potrzebuję pogadać w cztery oczy. - Masz robotę?

- Tym razem to Truposz wymyślił, że musimy podzlecić. I chce ci przekopać mózg.

- Siadaj przy stole w kącie.

Wziąłem piwo, które Karpiel mi nalał z antałka Kałuży.

- Masz ich tu tyle, że nie jesteś w stanie poupychać wszystkich? - Z reguły rozmawiamy o interesach w jego gabinecie. - Nie. Trochę mnie poniosło i narobiłem bałaganu.

Tym razem nie starał się, żebym uwierzył. Może nie chodziło o kobietę. Może chciał mi wmówić, że chodzi o kobietę, podczas kiedy naprawdę chodziło o jego prawdziwe interesy.

Nie pytałem. Usiadłem przy wskazanym stole i opowiedziałem mu wszystko, co było do opowiedzenia. Słuchał uważnie. Jeśli chce, potrafi się skupić.

- Myślisz, że to ma jakiś związek z tym, co się tu wtedy wydarzyło?

- Nie wiem. Truposz tak myśli. A on potrafi kombinować. - Interesujące.

- Inaczej byś śpiewał, gdybyś widział tę dziewczynę.

- Tak sędzę. Nie pochwalam zabijania ludzi, którzy się o to sami nie proszą. Wydaje mi się, że to może być ciekawe: choć raz wziąć forszę od Straży, zamiast oglądać, jak idzie w ich łapy.

Uniosłem brew. To jedna z moich rzadkich zdolności.

- Tak to działa, Garrett - mruknął. - Nie jestem pod ochroną Chodo. Nie chcę być częścią dekoracji. Zawsze trzeba drogo płacić za niezależność.

Po namyśle stwierdziłem, że to ma sens. W jego bandzie było tylko kilku chłopów, a przeciwko nim tysiąc Strażników. Dopóki Straż nie zrobi się zachłanna, łatwiej płacić niż walczyć. Co nie znaczy, że to mu się podoba. Po prostu jest pragmatykiem.

Straż, oczywiście, nie ruszy Chodo. Mnóstwo, całe mnóstwo ludzi jest z nim związanych. A Chodo nie przyjmie z uśmiechem żadnych prób narzucania mu czegokolwiek.

Morley przemyślał sobie to, co mu powiedziałem.

- Muszę dokończyć coś na górze, a potem odprowadzę cię do domu.

Obserwowałem, jak wchodzi po schodach. Co on tam kombinował? Ustawił wszystko tak, żeby na pewno być ze mną, kiedy będę wychodził. Żeby nie mógł się pokręcić w okolicy i sprawdzić, kto wychodzi po nim? To nie ma sensu. Jeśli będę chciał wiedzieć, spytam Truposza po wyjściu Morleya. Jeśli uda mi się podsunąć Truposzowi, że chcę zapuścić żurawia w jego głowę.

Och, ta paranoja.

Drzwi otworzył Saucerhead.

- Lokaj? - zakpił Morley. - Pniesz się, Garrett Saucerhead ani mrugnął.

- Kogo mam zaanonsować, sir? - Wypełniał całe drzwi. Nawet szarżujący byk nie byłby w stanie go ruszyć. Morley też go nie ruszył, próbując wejść.

- Hej! Co jest? Nastąp się, wielgasio! Tam leje, wiesz?

- Chyba zacznę handlować łodziami - zauważyłem. - Chyba idzie sezon...

Saucerhead przechylił ogromną, paskudną głowę, jakby nasłuchiwał. Czekał na pozwolenie od Truposza. Nawet w naszym przypadku. To znaczy, że stary Kościej go przekonał, że wszystko może się zdarzyć. Saucerhead należał do ludzi, którzy cholernie pilnują, żeby się nie zdarzyło, przynajmniej wtedy, kiedy to on wykonuje zadanie.

Truposz kazał mi chyba nie wierzyć własnym oczom? Co się dzieje? Co on podejrzewa?

Wreszcie Saucerhead burknął coś i odsunął się na bok. Jakby uważał, że to nie najlepszy pomysł. Morley obdarzył mnie zdziwionym spojrzeniem i ruszył w głąb korytarza, kierując się wprost do pokoju Truposza.

- Garrett twierdzi, że to, co zdarzyło się wczoraj w mojej knajpie, kojarzy mu się z czymś ponurym.

Przez kolejne dwadzieścia minut czułem się jak sierota.

- Pięć? - zdziwił się Morley. - Dobrze wszystko ukrywają. Słyszałem tylko o jednej, w zeszłym miesiącu, w Landing.

- To była ta przed tą, która została znaleziona przed tą, którą znaleźli dziś rano - wtrąciłem. - Świr uderza w coraz krótszych cyklach. Po pierwszej czekał sześć tygodni. Potem cztery po tej w Landing. Potem trzy tygodnie, wreszcie parę dni ponad dwa tygodnie, żeby załatwić tę ostatnią.

- Chyba że jest jakaś, o której nie wiemy.

- Trudno je przeoczyć. Wszystkie powieszono z podejrzanymi gardłami i bez bebechów. A Straż nie ma żadnych zgłoszeń o brakujących córkach na Górze.

- Facet, który to robi, musi się wcześniej przygotowywać. Nie stoi za rogiem, czekając na wystarczająco bogatą dziewczynę. Wybiera swoje ofiary i pracuje nad kilkoma jednocześnie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Spartaczył robotę z małą Chodo, ale złapał na czas inną, żeby ją powiesić dziś rano.

Szalony to nie znaczy głupi, mawiała moja staruszka mamusia. Wiele razy widziałem, jak to się

sprawdza w praktyce. Ten facet naprawdę wszystko starannie planował. Wiedział, że jego rozrywka spowoduje zamieszanie. Będzie na pewno bardzo ostrożny.

- Morley, ten facet popełnił wczoraj cholernie poważny błąd. Może nawet podwójnie poważny. Zrobił to przy świadkach. I zamierzył się na dziecko Chodo. Mniej by mu się tyłek palił, gdyby zabrał się za siostrę króla.

- Pamiętasz, jak weszła. Była wystraszona. Podejrzewam, że już raz mu się nie udało i teraz gorączkowo próbował zatrzeć ślady. Posunął się aż do śledzenia córki Chodo... Wiecie, co trzeba zrobić z rym gościem? Wejść mu w głowę. Próbować myśleć tak jak on. Jest geniuszem i wie o tym. Odgrywał psychotyczne dramaty i kombinował od dziecka, i zawsze do tej pory mu się udawało. Może już nie widzi reszty świata jako czegoś rzeczywistego...? Może jesteśmy dla niego rzeczami, jak robaki czy szczury, od których zaczynał? Może uważa, że nic mu nie grozi, dopóki jest ostrożny? W jego umyśle Chodo może być problemem nie większym niż Dean.

Rozumiałem, ale nie byłem pewien, czy pomysły Morleya trzymają się kupy. Nie wiedziałem co myśleć. TunFaire ma całe bataliony morderców, ale nie takich... Znałem tylko dwa rodzaje wielokrotnych morderców: zimmokrwisci zawodowcy i męty. Ten potwór to jakaś hybryda, jakiś mutant.

- Ostatnia noc to nasz jedyny punkt zaczepienia - zauważył Morley. - Musimy pogadać z dziewczyną.

Jęknąłem.

- Wiem. To znaczy, że panowie gangsterzy ruszają na łowy. Byłem zdziwiony, że jeszcze nie zaczęli. Powiedziałem to na głos.

- To znaczy, że nie przyznała się do niczego, kiedy wróciła do domu. Może robiła coś, czego jej ojciec nie pochwała. - Zmarszczył czoło, jakby nie był pewien, czy ma rację.

- Kochaś?

- To ludzkie.

Wycofałem się i zamyśliłem. Nagle tknęło mnie dziwne podejrzenie. Miała kłopoty i uciekła do Morleya. Nie dała znaku, że go zna, ale... Nie. On by tego nie zrobił. Jego pociąg do ryzyka nie zawiódłby go aż tak daleko. A może...?

Panowie, wtrącił się Truposz. Czuję, że zbliżają się osoby, które muszą przesłuchać. Będę się tym zajmował przez całą noc. Garrett, proponuję, żebyś odpoczął do rana. Może wtedy będę miał dla ciebie jakieś sugestie.

Prawdopodobnie przekopał głowę Morleya i znalazł to, czego potrzebował. Jeśli w ogóle coś tam było.

Czasami to dyskusyjna sprawa.

Byłem bardziej spięty, niż sądziłem.

- Mógłbym zacząć... - Jakbym się spieszył do roboty.

Jeśli dobrze kalkuluję, mamy jedenaście lub dwanaście dni, zanim morderca zaatakuje znowu. To powinno wystarczyć. Koła maszyny prawnej i organizacji pana Contague 'a zdążą przez ten czas przemielić na pył każdą wskazówkę. Nie ma potrzeby się spieszyć i ryzykować, że sobie zaszkodzimy.

Co? Ma zamiar przyłożyć pieczętkę zatwierdzającą moje lenistwo? Nie jestem durniem. Wypchnąłem Morleya za drzwi frontowe, wprowadziłem parę, na którą się tam natknąłem, przedstawiłem ich Truposzowi jako rodziców pierwszej ofiary, po czym ruszyłem na górę.

Kiedy tylko przyjąłem pozycję poziomą, przyszło mi do głowy pięćdziesiąt rzeczy, które miałem omówić z Morleyem. Na przykład to, czy ma jakieś pojecie, co to za brunos wparowali do jego

knajpy, deptając po piętach córce Chodo. Pewnie próbował się dowiedzieć. Znam go. Przez chwilę by się zastanawiał, a w końcu stwierdził, że wykopanie ich z imprezy na deszcz to trochę mało. Chciałby dopaść gościa, który ich nastłał.

Może wyprzedzać mnie o całe mile.

Pozwoliłem, by moje myśli wróciły do tego, co się wówczas stało, przetrząsnąłem wspomnienia w poszukiwaniu informacji.

Ci trzej mężczyźni nie mieli w sobie nic szczególnego. Jeśli masz forszę, możesz wynająć setki takich. Jedynym zdumiewającym szczegółem było to, że odważyli się wdrzeć do knajpy, która stanowiła własność Morleya Dotesa. Lokalni zawodowcy nigdy by się na to nie odważyli. Ta trójka nie miała akcentu spoza miasta. Stąd wniosek, że nie byli zawodowcami. Ale i nie z ulicy. Nie miałem wątpliwości, że to zawodowe łotry.

To mnie zainspirowało. Kto miałby forszę na usługi zawodowych

bandytów, którzy nieczęsto chodzą po ulicach? tylko kapłani i ludzie z Góry. Teoria z kapłanami była tak soczysta, że postanowiłem na wszelki wypadek zająć się tą drugą.

Z Góry? Z tego położenia morderca miałby doskonały punkt obserwacyjny na wszystkie swoje ofiary. Próbowałem sobie przypomnieć facjatę tego starego pajaca z motylkową niestrawnością. Nie pasowała do żadnego ze znanych mi mieszkańców Góry.

A powóz? Pamiętałem go, choć szczegóły już zaczynały mi umykać. Wielki, czarny i fikuśny. Czterokonny, na zamówienie. Srebrne błyskotki. Morderca ma kupę szmalu.

Nie może być wiele takich powozów.

Walczyłem z tym przez piętnaście minut, ale była to przegrana bitwa. Ostatecznie opuściłem nogi na podłogę, wstałem i powlokłem się na dół. To tyle, jeśli chodzi o dobre intencje. Włożyłem płaszcz i - dziw nad dziwy - również kapelusz. Kapelusz należał do Deana. Chyba nie będzie za nim tęsknił.

Saucerhead wystawił głowę, żeby sprawdzić, co kombinuję.

- Wychodzę na chwilę. - Skrzywiłem się na widok zamkniętych drzwi do frontowego pokoiku. - Powiedz Deanowi, że jeśli kot wciąż tu będzie, kiedy wrócę, oboje wyrzucę na deszcz.

Poszedłem zobaczyć się z kumplem. Nazywa się Koleś. Ma dziewięć stóp wzrostu i jest czarny jak węgiel, a przy tym tak potężny, że nawet Saucerheada mógłby wprawić w zakłopotanie. Jednak jest łagodny jak baranek i religijny do przesady. Zajmuje się hodowlą koni. Jest moim dłużnikiem. Gdzieś na początku mojej kariery ocaliłem go przed ludzkimi rekinami.

Nigdy nie przestał mnie zadziwiać. Nieważne, o której godzinie się zjawiłem, nieważne, jak kłopotliwe było moje przybycie, zawsze witał mnie z radością. Tym razem nie zrobił wyjątku.

- Garrett! - zahuczał, kiedy wszedłem do stajni. Rzucił zgrzebło i skoczył w moją stronę, krzepko chwytając mnie w ramiona. Wypuścił dopiero wtedy, kiedy zacząłem popiskiwać jak kobza.

- Cholera, Koleś, czasami żałuję, że nie jesteś kobietą. Nikt inny tak nie cieszy się na mój widok.

- To twoja wina. Przychodź częściej, Może spowszedniejesz.

- Aha. To był ciężki rok. Zaniedbałem moich przyjaciół.

- A szczególnie tę małą, Mayę.

.Na moment zapomniałem o mojej misji.

- Maya? Widziałeś się z Mayą? Myślałem, że wyjechała z miasta.

- Jak teraz o tym myślę, to musiało być dość dawno. Przychodziła tu do mnie, trochę pomagała przy koniach, tylko dlatego, że je lubi.

- Wiedziałem, że coś musi być z nią nie w porządku. Obdarzył mnie takim spojrzeniem, że już nic nie musiał mówić.

Maya chyba wyplakiwała się Kolesiowi w rękaw. Naprawdę nie mogłem mu spojrzeć w oczy..

- Zdaje się, że pakujesz się z jednych kłopotów w drugie - zauważył. - Tinnie. Jakaś tam Winger.

Sam to sugerował, więc powiedziałem na głos:

- Tak. Umiem się obchodzić z dziewczynami. Niewłaściwie.

- Chodź tu i siadaj. Właśnie połaskotałem taki mały antałek. Pewnie został jeszcze z łyk lub dwa.

Nawet mi to pasowało, chociaż wiedziałem, że będzie ciepłe. Koleś lubił ciepłe piwo. Ja wolę, kiedy jest bliskie przejścia w stan stały. Ale proponował piwo, a ja byłem gotów zawinąć się wokół kilku galonów. Usiadłem na starym siodle, przyjąłem wielki cynowy kufel. Koleś usadowił się na koziołku do cięcia drewna.

- Problem polega na tym - rzekł - że te dziewczyny w końcu dorastają i zaczynają chcieć czegoś więcej niż zabawy.

- Wiem. - Dorastanie to ciężka praca.

- Nie przejmuj się. Zawsze wyłazi ze mnie kaznodzieja.

To też wiedziałem. Wtedy, kiedy uratowałem jego bekon, właśnie myślał o stworzeniu nowej religii. Nawet nieźle mu szło, ale pewnie i tak nic dużego by z tego nie wyszło. TunFaire ma tysiąc kultów. Zawsze znajdzie się stado rozczarowanych niedoszłych wyznawców, którzy chętnie spróbują tysiąc pierwszego. Koleś dobrze się rozejrzał i stwierdził, że nie jest wystarczająco cyniczny i nieuczciwy, aby wyszło mu coś przyzwoitego. Może i religijny z niego facet, ale jest też praktyczny.

- Kaznodzieja ma rację, Koleś. I może to właśnie z nim powinienem pogadać.

- Problem? - Właśnie.

- Tak myślałem, jak tylko cię zobaczyłem. Co za geniusz. Popełniam wobec Kolesia ten sam błąd, co wobec Morleya. Nie odwiedzam go, dopóki nie potrzebuje pomocy.

Postanowiłem, że się poprawie.

Właśnie, Garrett! Trzymaj się! Dziury w niebie są dziś wyjątkowo duże.

Wyjaśniłem Kolesiowi wszystko. Nic nie ukryłem. Moja opowieść tak go zdenerwowała, że pożałowałem swojej szczerości.

- Kto chciałby robić coś podobnego, Garrett? Zabijać małe dziewczynki...?

Nie były małymi dziewczynkami, ale to nie miało znaczenia.

- Nie wiem. Chce się dowiedzieć. Dlatego sądziłem, że możesz pomóc. Ten powóz, który czekał pod knajpą Morleya, nie był ani stary, ani wypożyczony. Nie wierzę, żeby istniał taki drugi egzemplarz. Najbardziej podobny był chyba powóz Chodo, ale i ten nie miał tych bajecznych srebrnych ozdób.

Koleś zmarszczył brwi, kiedy usłyszał wzmiankę o Morleyu Dotesie. Nie pochwalał ludzi pokroju Morleya. Zmarszczył brwi po raz kolejny, kiedy usłyszał nazwisko Chodo. Gdyby Koleś prowadził swoją czarną listę, na jej pierwszym miejscu znalazłby się Chodo Contague. Uważa Chodo za źródło chorób społecznych, a nie za ich skutek.

- Powóz robiony na zamówienie?

- Tak sądzę.

- Podobny do powozu Chodo Contague'a.

- Trochę większy i jeszcze bardziej frymuśny. Srebrne ozdoby, mnóstwo rzeźbień. Mówi ci to coś? Wiesz do kogo może należeć?

- Tego nie wiem, ale mogę się domyślać, kto go zbudował. Jeśli w ogóle zbudowano go w TunFaire.

Bingo! Omal nie wrzasnąłem z radości. A może nawet wrzasnąłem, bo Koleś przez chwilę spoglądał na mnie dziwnie, po czym uśmiechnął się nieśmiało.

- Pomogłem?

- Jeśli jeszcze mi powiesz nazwisko gościa, który go zbudował.

- Atwood. Linden Atwood.

Nic mi to nie mówiło. Przy moim poziomie dochodów rzadko kupuję powozy robione na zamówienie. I niewiele mam do czynienia z takimi, którzy nimi jeżdżą. - A gdzie znajdę pana Lindena Atwooda, stelmacha?

- Zaulek Druciarzy.

Świetnie. To zawężało obszar poszukiwań do okolicy, gdzie garncarze robili garnki, druciarze drutowali, a przynajmniej jeden zegarmistrz po mistrzowsku robił zegary. Okolica ta znajduje się na południe od Połudwicy i na północ od dzielnicy browarów, biegnąc równoległe do ulicy zwanej Aleją Druciarzy. To jedna z najstarszych części miasta, zamieszkała przez prawdziwych rzemieślników.

Koleś spojrzał na drzwi stajni.

- Chyba zaraz się ściemni. Chcesz tam iść już teraz? - Tak.

- To nie miejsce na nocne spacery. Wkrótce wszyscy zamkną interes, pójdą na kolację, a potem mężczyźni ruszą w stronę knajpy na rogu.

- No to co, że jest późno? Dla pięciu kobiet jest nawet za późno. Truposz sądzi, że ten gość nie uderzy wcześniej niż za jedenaście, dwanaście dni, ale ja bym na to nie liczył.

Koleś skinął głową, zgadzając się z moim punktem widzenia.

- Pójdę z tobą

- Nie musisz tego robić. Po prostu powiedz mi, gdzie...

- Kłopoty to twoja specjalność. Lepiej z tobą pójdę. I tak trzeba wiedzieć, jak rozmawiać z tym Atwoodem.

- Dość już mi pomogłeś. - Nie chciałem, żeby Koleś ryzykował. Nie zasługiwał na to. - Rozmowy z ludźmi to mój fach.

- Ale twój styl jest dla Atwooda zbyt bezpośredni i brutalny. Pójdę z tobą.

Sprzecznienie się z Kolesiem to tak, jak sprzecznienie się z koniem. Nie prowadzi do niczego i tylko denerwuje konia.

Może gdyby zmienił profesję, odwiedzałbym go częściej. Na jakąkolwiek profesję, gdzie nie byłoby tylu koni. Nie mogę się dogadać z tymi potworami. Całe ich plemię depta mi po piętach.

- Wezmę płaszcz i kapelusz - powiedział, wiedząc, że wygrał, nim jeszcze wyraziłem zgodę. Rozejrzałem się wokół, zastanawiając się, gdzie trzyma namiot cyrkowy, którego używa zamiast płaszcza. Przyłapałem konia, który dziwnie mi się przyglądał. Wydawało się, że tylko kombinuje, jakby tu wyrwać się z boksu i zatańczyć flamenco na moich zmęczonych gnatach.

- Nie trać czasu. Te diabły już mnie spostrzegły. Coś kombinują.

Koleś zachichotał. To jego ślepa plamka. Uważa, że mój problem z końmi to żart. Cholera, ale go okręciły wokół małego kopyta! Zatrzymaliśmy się, żeby zjeść kolację. Postawiłem mu, co mocno nadwerżyło mój budżet Koleś jadł jak koń, ale nie tanie siano.

- Zdaje się, że zwracają ci wydatki, Garrett.

- Miałem zamiar oczyścić kieszenie Straży z drobnych, a nie doprowadzić ich do kompletnej ruiny.

Uśmieł się z tego. Proste radości dla prostych umysłów.

Zaulek Druciarzy mieści głównie przemysł lekki, firmy jednorodzinne produkujące towary, nie produkując jednocześnie dużo dymu. Nieco gorzej jest na południu, a najgorzej za rzeką. Powietrze staje się gęste i nabiera aromatu w miarę, jak wiatr przewiewa je z zachodu, poprzez sito hut i

odlewni. Ciężki, oleisty smród sprawia, że zaczynasz tęsknić za zimowym zapachem spalonego drzewa i węgla i letnim smrodem gnijących śmieci.

Zaułek Druciarzy liczy sobie cztery domy wszerz i osiem wzdłuż, jeśli mierzyć go normalną długością miejskich domów. Nie ma ich wiele w TunFaire. Rozwój miasta nigdy nie był planowany. Może przydałby się dobry pożar, żeby to wszystko zrównać z ziemią i zacząć od początku, tym razem prawidłowo. Koleś uparł się, żeby mi towarzyszyć. Twierdził, że zna okolicę i Lindena Atwooda. Dałem spokój. Chciałem spędzić trochę czasu z kimś, kto nie narobi mi kłopotów.

Pozwoliłem mu prowadzić, ale sam nadawałem tempo marszu. Moje nogi nie są tak silne, żeby dorównać jego siedmiomilowym krokom. On szedł powoli. Ja kłusowałem. Kiedy doszliśmy do Zaułka Druciarzy, Koleś plotkował z tymi, którzy jeszcze mieli otwarte kramy w nadziei na późnych klientów. Ja dyszałem i zipałem. Zaułek Druciarzy to bezpieczna okolica. Łobuzy trzymają się z daleka, bo ludzie mają tu głupi zwyczaj łączenia się w grupy. Sprawiedliwość jest wymierzana szybko, nieformalnie i ze znacznym entuzjazmem.

?Chyba wszyscy tu znali Kolesia. Mnie nie znał nikt, ale nie czułem się z tego powodu zrozpaczony. To duży plus w moim zawodzie.

- Spędzasz tu chyba sporo czasu? - wydyszałem.

- Wyrosłem tutaj. Ojciec robił gwoździe. - Może to wyjaśniało jego zainteresowanie końmi. - Ale na wojnie się zmieniłem. Stałem się zbyt nerwowy. Nie mogłem się dopasować. Tu jest jakoś spokojnie, jakby czas nie mijał. Ludzie się nie zmieniają. Przyzwyczaili się do siebie. Pewnie dziś jeszcze mógłbym ci powiedzieć, co kto robi o tej porze, choć nie byłem tu od miesięcy. Właśnie w tej chwili Linden Atwood je kolację ze swoją panią w domu. Jego synowie jedzą kolację ze swoimi rodzinami, a uczniowie jedzą chleb z serem i sprzątają warsztat. Za pół godziny wszyscy zaczną się kierować pod „Kłótników i Zbereźników”. Każdy kupi kufel ciemnego. Każdy zaszyje się w kacie i będzie piastował kufel przez równą godzinę, a potem ktoś powie, że lepiej już pójdzie do domu i położy się spać, bo jutro rano musi wstać. Stary Linden będzie prosił, żeby został, że mu postawi jeszcze jedno, i rzeczywiście postawi wszystkim kolejkę. Przesiedzą jeszcze godzinkę, prawie jednocześnie zobaczą dno w swoich kuflach i wstaną, żeby iść do domu.

W Zaułku Druciarzy życie z minuty na minutę jest pasmem emocji.

Była to najdłuższa, przemowa, jaką kiedykolwiek usłyszałem z ust Kolesia. Tymczasem doszliśmy do tawerny na rogu. Jej nazwa

nieco mnie zbiła z tropu. Większość knajp ma dziwne nazwy, na przykład, „Pod Różą i Delfinem”, ale to dlatego, że większość ludzi nie umie czytać. Zazwyczaj nad drzwiami wisi godło i kilka symboli, co wystarczy za adres i nazwę, jednak „Kłótnicy i Zbereźnicy” nie mieli znaku. Kiedy wreszcie spytałem, o co tu chodzi, Koleś wyjaśnił mi, że tak nazywają się dwie rodziny, które prowadzą ten interes.

Niektóre tajemnice zwyczajnie nie są warte wyjaśnienia.

Koleś przyglądał się dekoracjom. Sala nie była zatłoczona. Powstrzymał mnie i sam wybrał stolik.

- Nie będziemy wchodzić w drogę stałym klientom. Prawdopodobnie denerwowali się, kiedy obcy element zakłócał

ich tradycyjny przydział miejsc przy stołach. Koleś wybrał mały stolik pośrodku małej sali. Wyglądał na mniej zużyty niż pozostałe. Koleś zamawiał, ale ja płaciłem. Poprosił o ciemne piwo.

- Możesz dostać każde piwo, jakie chcesz, pod warunkiem, że pójdziesz na drugą ulicę po jasne albo lagera.

- Naprawdę się przyzwyczaili. - Czasem lubię sobie strzelić ciemne piwko. Tutejsze okazało się

doskonałym trunkiem o mocnym zapachu karmelu. Wolę zapach karmelu niż chmiel.

- Twardogłowi. Kiedy wejdzie Atwood, pozwól mi wybrać moment i zadawać pytania.

Skinąłem głową. Miał rację.

Sala zaczęła się zapełniać. Młodzi i starzy, wszyscy wycięci według jednego szablonu. Zastanawiałem się, czy ciemna twarz Kolesia, jedyna w pomieszczeniu, stanie się problemem. Nic podobnego. Kilku nawet podeszło, żeby zamienić z nim kilka słów i ciekawie poobserwować mnie kątem oka. Byli jednak zbyt przyzwyczajeni do obojętności, żeby dać upust temu zaciekawieniu.

Koleś po kolei wymieniał imiona terminatorów stelmacha, w miarę jak się pojawiali.

- Atwood nigdy nie brał terminatorów. Dopiero od niedawna, od kilku lat. Wszystko przez wojnę. Stracił kilku synów, potem nie wrócił żaden z wnuków. Trzech jeszcze odrabia swoje piątki. Może oni będą mieli więcej szczęścia.

Wyglądało na to, że terminatorzy są w odpowiednim wieku. Dwadzieścia parę lat

' - Na miejscu Atwooda brałbym dzieciaki, wyuczył je tak, żeby uniknęły frontu. Zaopatrzenie nigdy nie odmówi porządnemu stelmachowi.

Koleś spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym nie zrozumiał ani słowa z tego, co dziś do mnie powiedział.

- A gdzie on znajdzie dzieci? Każda rodzina, która ma dzieci, przysposabia je do własnego zawodu.

W porządku. To akurat przeoczyłem.

Wreszcie pojawili się synowie, którzy przeżyli, a potem sam Linden Atwood.

Linden Atwood był jednym z niewielu ludzi, którzy pasowali do swego zawodu. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać stelmach. W moim wyobrażeniu. Chudy, mały pokurcz, stary, o skórze jak wyprawiony rzemień, wszystkie włosy własne, inteligentne oczy i mnóstwo energii. Jego dłonie były dłońmi, które wciąż wykonywały swoją cześć pracy. Trzymał się tak, jakby miał deskę przybitą do pleców, sprawiał wrażenie, że jest pewien swego miejsca na ziemi. On i jego ludzie stanowili jedną szczęśliwą rodzinę. Nie był wyniosłym patriarchą. On, jego trzech synowie i czterech uczniów dyskutowali z ożywieniem, czy Regulamin Królewski zmieni futbolistów TunFaire w bandę skomlących, naiwnych mięczaków.

No cóż, temat był wart dyskusji. Regulamin Królewski został wprowadzony w życie na długo przed moim urodzeniem.

Karentyńska piłka nożna, tak zwane rugby, jest teraz tak brutalna, że nie pozwoliłbym w nią grać nawet moim wrogom. W futbolu w starym stylu obowiązywała bodaj jedna reguła: żadnej broni ostrej.

- Zdaje się, że futbol jest tu dość popularny.

- To poważna sprawa. Z Druciarni pochodzą najlepsi gracze. Każdy dom ma swoją drużynę. Dzieciaki zaczynają grać, gdy tylko nauczą się chodzić.

Nie tylko twardogłowi, ale i niezbyt bystrzy. Zachowałem jednak tę myśl dla siebie. „Nietolerancyjni” często idzie w tercie z pozostałą dwójką.

- Sam trochę grałem, kiedy byłem młodszy - mruknął Koleś.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

Koleś to cwaniak. Udało mu się wcisnąć opinię w dyskusję tak

starą, że wydawała się rytuałem, wywołał reakcję, ponieważ kiedyś pewnie był tu gwiazdą.

Zanim się zorientowałem, co się dzieje, obaj byliśmy już częścią grupki Atwooda. Zrezygnowanie zastosowałem się do rady Kolesia i Truposz sam by się zdziwił, jak długo trzymałem buzię na kłódkę.

W odpowiednim czasie Atwoodowie odstąpili od wypróbowanych i właściwych tematów na dość długo, aby zdradzić grzeczną ciekawość dotyczącą obecności Kolesia. Koles uśmiechnął się szeroko, jakby sam się z siebie śmiał, że bierze cokolwiek na poważnie.

- Mój kumpel Garrett i ja jesteśmy na pewnego rodzaju krucjacie.

Ci faceci wiedzą, co to krucjata. Są religijni. Prawdziwa sól ziemi i kręgosłup narodu. Żadnej oryginalnej myśli od stu pokoleń.

Pardon. Czasem staję się zbyt krytyczny.

Poziom ciekawości podskoczył. Koles igrał z nimi przez chwilę, po czym stwierdził:

- Może lepiej Garrett opowie. On się tym zajmował, nie ja. Ja tylko próbuję mu pomóc.

Wyobraziłem sobie, jak Block by eksplodował, gdyby się dowiedział, że rozwieszam jego brudne majtki po całym mieście, po czym radośnie wyszczerzyłem zęby i opowiedziałem historię martwych dziewcząt. Atwoodowie okazali właściwą zgrozę. Zagrałem na niej, zauważyłem, że stary zwraca baczniejszą uwagę niż inni, którzy po prostu mieli ochotę na rozrywkę.

- Wydaje mi się, że jedyny punkt zaczepienia to ślad, jakim jest powóz - zakończyłem.

I wtedy do wszystkich dotarło. Cała banda nagle stała się cicha i ponura. Wszystkie oczy zwróciły się na starego. On obojętnie zmierzył mnie wzrokiem.

- Podejrzuwa pan, że ten powóz pochodził z mojego warsztatu, panie Garrett?

- Nie mam pojęcia, panie Atwood. Koles twierdzi, że jest pari najlepszym stelmachem w TunFaire. Jeśli powóz został zbudowany tutaj, według niego jest pan jedyną osobą, która miałaby dość talentu, żeby go zbudować.- Tak sądzę. Proszę go jeszcze raz opisać.

Opisałem, przypominając sobie każdy możliwy szczegół.

Synowie byli mniej wykwalifikowani w ukrywaniu swoich myśli. Wiedziałem już, że bryka została zbudowana w warsztacie Atwooda. Pytanie brzmiało: czy gość zdradzi kupca?

Chyba tak.

- Dostarczyliśmy ten powóz, zbudowany dokładnie według ścisłych i wyraźnych instrukcji, około trzech lat temu. Panie Garrett, nie wierzę w fałszywą pokorę. Był to najpiękniejszy powóz, jaki kiedykolwiek zbudowano w TunFaire. Przyjmuje za to odpowiedzialność, ale nie ponoszę winy.

- Słucham?

- To cholera jest przeklęte - mruknął jeden z synów. Stary spiorunował go wzrokiem.

- Zamówiła go pani Tallia Lethe, żona i matka Mistrzów Lodu Strasznostrachów. Po trzech miesiącach od odbioru zdarzył się wypadek. Spadła z kozła. Koło przejechało jej po głowie.

O, kurde.

- Wiedziałem, że maczali w tym palce czarownicy.

Karentyńscy czarownicy dzielą się na Szkoły Żywiołów: Ziemia, Powietrze, Ogień i Woda. Mistrzowie Wiatru i Strażnicy Burz ze szkoły Powietrza są często spotykani, podobnie jak Lordowie Ognia. W Karencie pewnie jest paru adeptów Ziemi, ale tu, w TunFaire, raczej nie. Typy ze szkoły Wody są równie rzadkie.

- Nie wiedziałem, że mamy tu Mistrzów Lodu.

- Bo nie mamy - odparł stary - Mieszkała tu tylko ona. Mistrzowie Lodu i tak nie żyją. Zatoka Kościotrupa.

Ach, tak. Największa morska bitwa wojny. Nakopali nam do naszych karentyńskich tyłków. Niestety, dla Venagetich to zwycięstwo nie miało żadnego strategicznego znaczenia.

- Rozumiem - odparłem, nic nie rozumiejąc.

- Madame nie miała spadkobierców. Majątek przeszedł na własność Korony. Agenci Korony wystawili wszystko na aukcję. Powóz kupił Lord Piekłodech.

To nazwisko mogło przyprawić o koszmary. Jedyny Piekłodech, jakiego znałem, miał się nie lepiej od Madame Lethe.- On też zdaje się miał pecha, nie?

- Został zamordowany. Mordercy nigdy nie złapano.

- Był w powozie, kiedy to się stało - wtrącił jeden z synów.

- Strzała z kuszy wprost w oko - powiedział drugi. Zademonstrował to, gestykulując entuzjastycznie i wydając odpowiednie dźwięki.

- I kto wtedy dostał powóz?

- Księżna Suhnerkan, Lady Hamilton. Tę także znałem.

- Nie wydaje się, żeby to był pech.

Lady Hamilton była cioteczną babką króla. Postanowiła odwiedzić rodzinne włości w Okcok. Nie przejmowała się eskortą, choć właśnie była pełnia. Wilkołaki zaatakowały ją i zagryzły na śmierć.

Linden Atwood burknął, ale nic nie powiedział.

- To było półtora roku temu. Sądzę, że od tego czasu powóz już kilka razy zmienił właściciela?

- Nie. Książę Korony Rupert przywiózł go z powrotem do miasta i zamknął w powozowni za miejskim domem Lady Hamilton. O ile wiem, od tego czasu nie wyjeżdżał.

Stary wyciągnął fajkę i tytoń. Nabił, zapalił, po czym odchylił się, wydmuchnął dym i popadł w zadumę. Klan czekał w milczeniu. Poszedłem za ich przykładem. Koleś dał znak, żeby przynieśli kolejkę. Znowu ja stawiałem, oczywiście.

Przybycie piwa ocuciło Atwooda. Pochylił się i upił połowę kufła, po czym otarł pianę grzbietem dłoni, a gdy mu się odbiło, wreszcie powiedział:

- Nie wierzę w tę głupią historię o przekleństwie, Garrett. - Byliśmy teraz kumplami. Postawiłem mu piwo. - Ale na twoim miejscu byłbym ostrożny. Zdaje się, że każdy, kto znajdzie się w pobliżu tego powozu, umiera.

Zmarszczył brwi. Wcale mu się to nie podobało. Co, jeśli się rozniesie? Co będzie, jeśh" ludzie zaczną myśleć, że to wina stelmacha?

- Nie wierzę w nawiedzenia i klątwy - wyznałem. - Ale jeśh' ten powóz jest przeklęty, masz może jakiś pomysł, jak to się mogło stać? - Niech mnie szlag, jeśli wiem. - Wychylił drugą połówkę kufła. - To się zdarza. Nieraz nie ma sensu.

- Dzięki - wtrącił Koleś. - Dzięki, panie Atwood. Bardzo miło z pana strony, że pan z nami porozmawiał.

Kopnął mnie pod stołem, wstał. Ciekaw byłem, dlaczego mu się tak nagle zaczęło spieszyć, ale obiecałem, że będę brał z niego przykład. Wyrzuciłem z siebie swój udział w podziękowaniach i wymigąłem się od dalszych rozmów. Wybiegłem za Kolesiem w deszcz.

- Co to było? Dlaczego tak wiejemy?

- Atwood zaczynał mieć szklane oczy. Za minutę zacznie opowiadać o swoich chłopcach, którzy nie wrócili z Kantardu. Myślałem, że będziesz miał ochotę się trochę przespać.

- O.

- Właśnie. Zaczynało ci być żal tego faceta. Ale to nie znaczy, że musisz z nim jeszcze raz przeżywać to piekło. Niech sam grzebie swoich zmarłych. , .

Prawda. Byłem jednak zdziwiony, że i Koleś tak myśli. Ciaśniej otuliłem się płaszczem. Wiatr wiał tak, że noc zrobiła się naprawdę zimna.

- Już dawno powinienem spać, Garrett. Mam nadzieję, że ci pomogłem.

- Nadzieję? Chłopie, to wszystko wyjaśnia. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, kto używał

powozu. - Ciekawe, czy to będzie trudne, czy nie? - Chciałem przez to powiedzieć że obowiązki Księcia Korony w Karencie obejmują również sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego. Straż TunFaire była jednym z jego wielu mrocznych i niewiadomych ramion. Jeśli Block mówił prawdę, to znaczy* że to, co siedzi Straży na karku, nazywa się stary Rupert.

- Wpadaj częściej, Garrett - rzucił Koleś. - Przynajmniej tak często, żebym wiedział, jak to się skończyło.

Odszedł szybko, jakby już się spóźnił na randkę z jedną ze swych kobył. Stałem przez chwilę, chłonąc deszcz. Wzdrygnąłem się i wzruszyłem ramionami.

To cały Koleś. Nie wie, że jest czasem niegrzeczny i nietowa- rzyski.

Co teraz?

?Teraz do Morleya.

Byłem niedaleko jego knajpy. Wstąpiłem na chwilę. Przyjęto mnie nie lepiej niż poprzednio. Może nawet jeszcze gorzej. Więcej ludzi wyszło w pośpiechu. Inni wyglądali na nerwowych, z wyjątkiem Lieka, kumpla Saucerheada, który siedział przy tym samym stoliku co zawsze, jakby odgrodzony od reszty świata szklaną szybą.

Kałuza obdarzył mnie potężnym marsem i wymownie spojrział na antałek.

- Ten szczur Sierżant powiedział, że to na mnie zwali - palnąłem. - Jest Morley?

Kałuza już miał paluch i brew w górze. Kiwnąłem głową, żeby się upewnić, że mnie zrozumiał. Chciałem wiedzieć, czy Morley jest w domu, i pogadać z nim. Z Kałużą trzeba powolutku. Nie jest taki cwany, żeby zrozumieć niedopowiedzenie.

To facet, który uważa, że jeśli problemu nie da się rozwiązać za pomocą pałki lub prawego sierpowego, to w ogóle nie może być mowy o problemie, a zatem nie wymaga on rozwiązania. Zignoruj go, a on sam sobie pójdzie. Kałuza burknął, warknął coś do tuby głosowej. Machnął ręką, na znak, że mogę wejść na górę. Prawdopodobnie Morley nie miał towarzystwa.

Wszedłem po schodach, na paluszkach przysunąłem się do drzwi Morleya i przyłożyłem do nich ucho, nim zastukałem. Nic nie słyszałem. Zazwyczaj słycać wtedy szamotaninę, kiedy cudza żona szuka miejsca, żeby się ukryć. Teraz jednak usłyszałem jedynie głos Morleya, zapraszający mnie do środka.

Otworzyłem drzwi. Coś świsnęło mi przed nosem. Morley siedział za biurkiem, z nogami na blacie, rzucając strzałkami. Nie rozpoznałem namalowanej gęby, która służyła mu za cel.

- Robisz komuś hoodoo voodoo?

- Właściwie nie. Znalazłem to wszystko u handlarza złomem. Malowidło na aksamicie, przedstawiające faceta, który wygląda jak mój własny szwagier. - Zip. Łup. Jeszcze jedno oko poszło w diabły. - Co się dzieje?

- Sam siedzisz?

- Ostatnio jest za mokro. Nikt nie będzie miał towarzystwa, jak tak dalej pójdzie. - Zip. Lup. W sam koniec nosa. - Możesz przynieść mi strzałki?

- Jesteś dzisiaj chodzącą ambicją.

- Aha. Jak długo odwalasz za mnie robotę. Możesz sprawdzić, czy ta kreatura Licks dalej siedzi na dole? Nie chce mi się chodzić i sprawdzać samemu.

- Jest tam. Nieprzytomny, jak mi się zdaje. Dym jest dość gęsty. Chwycił tubę.

- Kałuza. Wywal tę glistę Licksa za drzwi, i to w tej chwili Nie zostawiaj mi go tutaj, bo się całkiem zaprawi. - Odłożył tubę, spojrział na mnie. - Mam nadzieję, że dostanie zapalenia płuc.

- Masz problem z tym gościem?

- Tak. Nie trawię faceta,

- Wyrzucić go.

- Jego forsa jest tak samo dobra jak twoja. Może lepsza, bo ją tu wydaje. - Nie zareagowałem, więc zapytał: - Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś nie mógł wytrzymać, żeby mi coś powiedzieć.

- Wiem coś na temat powozu.

- Powozu? Jakiego powozu?

- Tego, do którego chcieli wciągnąć córkę Chodo sprzed twojej knajpy. Znalazłem faceta, który go zbudował. Powiedział, gdzie mogę znaleźć brykę. - Wyjaśniłem wszystko.

Morley westchnął, zdjął stopy z blatu.

- Czy to nie cały ty? Siedzę sobie, dobrze mi jak nigdy w życiu, a ty musisz przyjść i wszystko spieprzyć. - Wstał, otworzył szafę, wyjął płaszcz przeciwdeszczowy i fikuśny kapelusz, który pewnie kosztował go równowartość kilku zleceń na połamane gnaty.

- Co robisz?

- Idziemy sprawdzić. - Co?

- Z tego, co widzę, chyba będę musiał iść do Chodo, i to galopem. Jesteś ubrany?

- Tu i tam.

- Wreszcie się uczysz, co?

- Zdaje się. Co to za problem z Chodo? Myślałem, że jesteście kumplami. To ja jestem na jego liście.

- Nie wiem. Posłałem mu wiadomość, że chcę pogadać. Że to ważne. Nic nie odpowiedział. To się nigdy przedtem nie zdarzało. Potem pojawiło się takie wymijające stwierdzenie, że nikt tam nie chce mieć nic ze mną do czynienia, a jeśli jestem mądry, to nigdy więcej się tam nie pojawię.

- Dziwne. - Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Morley był ważnym niezależnym wykonawcą. Chodo coś niecoś mu zawdzięczał.

- Dziwnie było już wtedy, kiedy poszliście tam z Winger. I z każdym dniem staje się coraz dziwniejsze. - Schodziliśmy teraz po schodach.

- A co z wąsikami? - zapytałem. - Idzie moda, czy co? - He?

- Widzę je wszędzie. Na tobie to jeszcze jakoś wygląda. Na Karpielu będzie wyglądał dobrze, jak mu się go uda zapuścić. Ale na Kałuży wygląda tak, jakby jakiś pieprzony żuczek zamieszkał mu na górnej wardze.

- Bo go nie pielęgnuje. - Morley rzucił się w stronę baru, szybko powiedział coś do Kałuży. Zauważyłem nieobecność Licksa i mokre ramiona Kałuży. Licks duchem był z nami. Dym można było kroić nożem.

Kiedy pada deszcz i wieje, w TunFaire robi się naprawdę ciemno. Lamy uliczne się nie palą, choć i tak są one tylko w okolicy Góry i Połudwicy, gdzie samo sąsiedztwo i gniew naszych lordów pogody i zbrodni zachęca złodziei i wandalów, aby ćwiczyli swoje zdolności gdzie indziej. Dziś Góra była ciemna jak dno serca kapłana. Nie podobało mi się to. Gdybym miał wybór, obawiałbym się kłopotów.

Morley był podniecony jak dzieciak, który planuje wysadzić stodołę.

- Co o tym myślisz? - zapytałem. Rozejrzałem się nerwowo. Zbliżyliśmy się do domu Lady Hamilton i dotąd nikt nas nie zaczepił, ale to zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej.

Nie wierzę w tak zwany hit szczęścia. Nie wierzę w skumulowanego pecha, w nieszczęście, które wisi nad tobą, nawarstwia się, czeka, żeby ci się całą kupą zwalić na głowę.

- Wejdziemy na mur, sprawdzimy, czy powóz jeszcze tam jest.

- Mógłbyś udzielać Glory'emu Mooncalledowi lekcji nowoczesnych taktyk walki. - Nie podobał mi się pomysł Morleya. Mogli nas aresztować. Mogli nam zrobić krzywdę. Mogliśmy się wpakować

w śmiertelnie niezdrowe tarapaty. Prywatne straże na Górze mają znacznie mniej zahamowań, niż ich koledzy na publicznym żołdzie.

- Nie rzucaj się tak, Garret Nic się nie stanie.

- To samo mówiłeś, kiedy wrobiłeś mnie w dostarczenie głodnego wampira staremu kacykowi.

- Wtedy nie wiedziałeś, co robisz.

To prawda. Ale skąd mu przyszło do głowy, że teraz wiem, co robię?

- Jesteś zbyt optymistą, żeby przeżyć - zauważyłem.

- To przychodzi z porządnym życiem.

- To znaczy z jedzeniem końskiej paszy, aż nabierasz rozumu muła.

- Tobie samemu przydałoby się trochę końskiej paszy, Garrett. Mięso pełne jest soków istot, które umarły w cierpieniu. To sprawia, że i ty stajesz się lękliwy.

- Muszę przyznać, że faktycznie, nikt jeszcze chyba nie nazwał kapusty tchórzem.

- No, poszli sobie. Czysto.

Kto sobie poszedł? Czy to znaczy, że mokliśmy jak głupi, bo kogoś zobaczył? Dlaczego on mi nie mówi takich rzeczy!

Morley lepiej widzi w nocy. To zaleta, którą zawdzięcza domieszce elfiej krwi. Wady, oczywiście, zaczynają się od przekonania o własnej, nieśmiertelności. To nieprawda, co mówią o nieśmiertelności elfów. Im się tylko tak wydaje. Jedna strzała w serce wybije im z głowy te głupoty.

Morley ruszył w stronę domu Hamiltonów. Poszedłem za nim, patrząc wszędzie, tylko nie pod nogi. Usłyszałem jakiś szmer, rozejrzałem się za jego źródłem i podskoczyłem na dziesięć stóp, waląc wprost w mur Hamiltonów.

- Musiałeś być niezłym Marine - mruknął Morley i ciągnął temat, że niby jak Karenta może wygrać w Kantardzie, jeśli jestem jednym z najlepszych i najbystrzejszych jej przedstawicieli.

- Pewnie sto tysięcy chłopców byłoby szczęśliwych, gdybyś im pokazał, jak się to robi. - Morley nie był weteranem. Mieszkańcy nie muszą walczyć. Wszystkie nie- ludzkie rasy chronią traktaty, wyłączające mieszkańców aż do jednej ósmej krwi. Nie- ludzie, których widzi się w Kantardzie, to tubylcy lub najemnicy, a zazwyczaj jedno i drugie. I jeszcze przy okazji agenci Glory'ego Mooncalleda. Wyłączając wampiry, wilkolaki i stada jednorożców, które gonią i pożerają wszystkich bez wyjątku.

Kantard to wesoła kraina.

Morley przykucnął i stulił dłonie.

- Podsadzę cię - szepnął.

Mur był wysoki na dziewięć stóp.

- Jesteś lżejszy. - Mogłem go przerzucić jedną ręką.

- Dlatego ty idziesz pierwszy. Ja mogę się wspiąć bez twojej pomocy.

Punkt. Nie dlatego poszedłem pierwszy, ale miał rację. Ta zabawa bardziej leżała w jego profesji niż mojej. Nie chciał zgodzić się na mój plan, aby zapukać do bramy i poprosić o pokazanie morderczego powozu. Takie rozwiązanie nie zaspokoiłoby jego żyłki awanturniczej.

Wzruszyłem ramionami, wszedłem na jego splecione dłonie i niechętnie wciągnąłem na górę kości. Złapałem się szczytu w pełni przekonany, że zaraz będę miał palce posiekane przez tłuczone szkło. Stara sztuczka, żeby odstraszyć nieproszonych gości.

Och, nie. Teraz się naprawdę przeraziłem. Żadnego tłuczonego szkła. Wciągnąłem się tak, żeby oprzeć się podbródkiem, wyrząłem. Ciekawe, gdzie tkwi pułapka? Chyba rzeczywiście planują coś specjalnego, jeśli nawet nie rozrzućli tłuczonego szkła.

Morley postukał mnie w podeszwę.

- Rusz tyłek, Garrett. Wracają.

Nie wiedziałem, kim są ci „oni”, ale kiedy usłyszałem ich kroki, przeprowadziłem głosowanie. Decyzję przyjęto jednogłośnie. Nie chciałem wiedzieć, kto to jest. Wskoczyłem na górę i przerzuciłem się na drugą stronę. Wylądowałem w ogródku, łagodnie, nawet nie skręciłem sobie nogi. Morley wylądował obok mnie.

- Za łatwo - mruknąłem.

- Daj spokój, Garrett. Czego ty byś chciał? Masz tu zamknięty dom. Kto miałby go pilnować?

- Właśnie to chciałbym wiedzieć.

- Zaczynasz nawet mówić do rzeczy. Zabieram stąd tyłek. Chodź. Im szybciej załatwimy sprawę, tym lepiej.

Burknąłem coś na znak zgody.

- Zdaje się, że powozownia jest tam. - Nie lubię się skradać. jfte bardzo. Wciąż mi się wydawało, że powinniśmy spróbować od frontu.

Morley podkradł się do drzwi w bocznej ścianie powozowni. Pozwoliłem, żeby prowadził. Zauważyłem, jak ostrożnie się porusza, choć był bardzo szybki. Cokolwiek mówił, starał się nie ryzykować.

W jego profesji nie zestarzejesz się, jeśli będziesz wszystko uważał za oczywiste. Jeśli o to chodzi, w mojej także nie.

Zaden z nas nie wziął latarki. Kiedy człowiek się spieszy, popełnia głupstwa. Pomimo to z okolicznych domów przesączało się dość światła, żeby Morley mógł cokolwiek widzieć.

- Ktoś tu był przed nami - zauważył. - Wyważyli zamek. Pociągnął drzwi. Otwarły się bezszelestnie.

Zajrzałem mu przez ramię. Było ciemniej niż w tyłku u trolla i mniej więcej tak samo zachęcająco. Coś szurało i szeleściło. Coś dyszało. Coś znacznie większego ode mnie. Zawsze byłem uprzejmym facetem, więc zaproponowałem:

- Za panem, sir.

Morley nie był już tak pewien swojej nieśmiertelności.

- Potrzebujemy światła - szepnął.

- Wreszcie to zauważyłeś. Tak zamierzasz prowadzić bitwę, kiedy już przejmiesz Kantard?

- Wracam za pięć minut - oznajmił i już go nie było, nim zdążyłem otworzyć usta.

Pięć minut? Chyba dwadzieścia. Najdłuższe dwadzieścia minut, jakie przeżyłem, no, może z wyjątkiem kilkunastu razy, kiedy służyłem w Korpusie, tańcząc taniec śmierci z żołnierzami Venagetich.

Nie było go przez jakieś dziesięć z tych pięciu minut, kiedy z mojego punktu obserwacyjnego pod pokręconym drzewem limony - gdzie wydawało mi się, że tonę jakby wolniej - zauważyłem światło poruszające się w dół po schodach wewnątrz rezydencji Hamiltonów. Prawdopodobnie świeca Efekt był upiorny, bo świeca rzucała ogromny, tylko w przybliżeniu ludzki cień na zaciągnięte story.

Przełknąłem głośno ślinę.

Niech mnie, jeśli szczęście mnie nie opuściło. Ten ktoś skierował się na zewnątrz i wprost w stronę powozowni. Usłyszałem mamrotanie i zdałem sobie sprawę, że jest ich dwóch.

Podeszli bliżej. To był mój stary kumpel z niestrawnością. Nie wyglądał teraz szczególnie - taki kurdupel w stroju, który wyszedł z mody w latach, kiedy mój tatuś był jeszcze szczeniakiem. Miał na głowie coś, co kiedyś nazywali „kapeluszem myśliwskim”.

Widywałem takie na obrazach. Kurdupel był zgięty w pół, powolny i cholernie przypominał mi moje własne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać pederasta.

Za nim szedł, nie bez kłopotów z nawigacją, facet zwany przeze mnie Bliznowatym. To jego właśnie Saucerhead tak dokładnie poobtłukiwał. Ruszał się jeszcze wolniej od starego, jakby przez noc postarzał się o setkę lat. Saucerhead nie połamał im wiele, ale chyba zadał sporo bólu.

Co teraz? Skoczyć i zaarrestować ich w imieniu straży obywatelskiej? Oskarżyć kogoś o coś i załatwić sobie przemieszczenie wszystkich gnatów? Może załatwić dziadydze kolejny atak dyspepsji i pozwolić mu wyrzygać mięsożerne motyle? Może skończyć przed sądem za napaść? W takich chwilach wyobraźnia trochę mnie ponosi na ciemną stronę. Chciałbym mieć błogi brak wątpliwości Saucerheada.

Głupota ma swoje zalety.

Nim podjąłem decyzję, zastanawiając się, gdzie do jasnej cholery szwenda się Morley ze światłem, moja parka wciągnęła swoje kolekcje sińców do powozowni. Przez szpary przesączało się światło, kiedy zapalali pochodnię i latarnie. Wciąż rozmawiali, ale nie mogłem rozróżnić ani słowa.

Podkradłem się do drzwi, wciąż niewiele słysząc. Rozległo się parskanie koni. Podskoczyłem. Ludzie, ale się cieszyłem, że nie wszedłem tam wcześniej. Na pewno by zastawiły na mnie pułapkę.

Wydawało mi się, że próbują zaprząć konie. Poziom przekleństw świadczył o tym, że ciężko się to robi w posiniaczonym stanie. Miałem wrażenie, że opisy i aluzje są bardzo kwieciste. Chciałem usłyszeć je lepiej - powinienem wzbogacać moje słownictwo.

Wsunąłem palce między framugę i drzwi i pociągnąłem lekko, aż utworzyłem szparę, przez którą mogłem zajrzeć do środka. Widziałem teraz mnóstwo końskich boksów i haków na uprząż, które w ogóle nie chciały się ruszać - i nic poza tym. Sama nuda. Patrzyłem pod złym kątem.

Za to ktoś patrzył pod dobrym kątem, żeby zobaczyć, jak drzwi uchylają się do wewnątrz. Usłyszałem cichy głos, w którym wyraźnie brzmiało zaskoczenie. Ciężkie kroki zbliżały się w moją stronę, jakby troll w kamiennych butach tupał dla zabawy. Pomyślałem,

że należy szybko zniknąć, ale trwało to trochę za długo. Miałem zaledwie dość czasu, żeby odskoczyć, kiedy drzwi się otworzyły.

Nie mogłem uciec, więc zrobiłem to co najlepsze w takiej sytuacji. Walnąłem Bliznowatego w łeb moją kochaną pałą. Jego czapa wydała głuche „pfump!”, jak nadeptnięty arbuz. Oklapł, spojrzał na mnie z wyrzutem, że nie gram fair. A dlaczego miałbym grać fair? Właśnie na tym polega problem z jemu podobnymi. Zginałbym, próbując tego. Walnąłem go jeszcze raz, żeby podkreślić swoje racje.

Przeszedłem po nim, skoczyłem do środka, rzuciłem się na małego typka z nadkwasotą i w antycznych szmatach. Nie pytajcie, dlaczego. Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się to strasznie głupie. Powiedzmy, że wtedy myślałem, iż to dobry pomysł.

Próbował otworzyć bramę na ulicę. Nie mam pojęcia po co. Jego zaprzęg stał jeszcze w boksach. Nie udało mu się uciec. I na pewno nie prześcignąłby nikogo na piechotę. Ale popędził jak wściekły, dysząc i plując zielonymi ćmami.

Usłyszał moje kroki i okręcił się na pięcie. Jedną rękę opuścił do czegoś w rodzaju przetartego sznura, który służył mu za pas, podciągnął gacie. Oczy zaczęły mu lśnić na zielono. Podeszedłem z pałą.

Jedna z ciem zdołała mnie uzreć. Zapiękło jak jasny gwint. To mnie rozproszyło i stary zdołał usunąć się tak, że moja pała trafiła go w ramię, zamiast w czapę. Zawył. Ryknąłem i zacząłem opędzać się od motyli. Oczy mu zablęskły i otworzył szeroko gębę. Uniknąłem jego spojrzenia i jednej wielkiej ćmy, która wyleciała mu z jadaczki. Machnąłem w bok i trafiłem go w poprzek szczęki.

Przesadziłem. Usłyszałem trzask kości. Zgiął się i upadł jak rzucona szmata.

Krew we mnie zawrzała. Rzuciłem się przed siebie, szukając dalszych kłopotów. Byłem tak nabuzowany, że nawet konie cofnęły się w boksach i czekały, aż sobie pójdę. Sprawdziłem

Bliznowatego. Chrapał i z każdą chwilą stawał się coraz mięk szy. Wróciłem do starego...

On nie chrapał. Wydawał dziwne odgłosy, które świadczyły o tym, że wkrótce w ogóle przestanie oddychać. Chyba złamałem mu coś więcej niż szczękę.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

Wielki, ogromny zielony motyl wylazł mu z gęby do połowy i utknął między wargami. Obiema rękami ścisnął ten swój stary sznur, jakby nie chciał zgubić spodni, i zaczął dygotać.

Nie jestem przyzwyczajony do rozwalania ludzi. Owszem, czasem mi się to zdarza, ale nigdy z wyboru i na pewno nigdy dlatego, że chciałem.

Teraz ja byłem w tarapatkach. To Góra. Tutaj strażnicy pokoju to nie na pół ślepi, pozbawieni ambicji. Strażnicy zainteresowani tylko zbieraniem haraczu. Jeśli mnie znajdą obok trupa...

- A to co, u licha?

Właściwie nie wskoczyłem w stóg siana. Może to było jakieś dziesięć stóp, nie więcej. Nawet nie rekord skoku z pozycji stojącej. Ale byłem za drzwiami, które stary chciał otworzyć, przebiegłem trzydzieści stóp w deszczu, zanim zorientowałem się, że to głos Morleya.

Dygocząc, zawróciłem i opowiedziałem mu, co się stało. Obecność umierającego nawet nim nie wstrząsnęła,

- Uczysz się.

- Co?

- Sprawa rozwiązana i zamknięta w ciągu jednego dnia. Wyciągnij z nory twojego kumpla Blocka, powiedz, gdzie ma szukać łobuza i wyjdź z kieszeniami pełnymi złota. Wciąż masz szczęście.

- Pewnie. - Mimo to nie czułem się szczęśliwy. Nie wiedziałem, czy to rzeczywiście ten stary szukał mocnych wrażeń, rozpruwając młode dziewczyny.

Morley zamknął drzwi od podwórza, skierował się ku wyjściu na ulicę.

- Czekaj - powiedziałem. - Muszę się rozejrzeć po domu.

- Po co? - powiedział to ostro, jakby nie chciał, żebym tam szedł.

- Może znajdę jakieś dowody. Muszę wiedzieć.

Łypnął na mnie okiem, wzruszył ramionami. Pojęcie sumienia było mu całkowicie obce.

- Jeśli musisz, to musisz.

- Muszę.

?U wejścia do ogrodu potknąłem się o pomocnika starego. Świetnie! Kolejna tajemnica. Jakaś drańska dusza podlaźła i wpakowała mu nóż w plecy, kiedy spał.

Skrzywiłem się, patrząc na Morleya. Ten nawet się nie zawstydził.

- Nie potrzebowaliśmy go, Garrett. A teraz nie musisz się oglądać za siebie.

I to wszystko tylko dlatego, że gość narozrabiał w Domu Radości.

Nie sprzeczałem się z nim. Już nieraz to przerabialiśmy, częściej, niż chciałbym pamiętać. Morley nie znał ani litości, ani wyrzutów sumienia, jedynie konieczność. I właśnie dlatego, jak mi chętnie przypominał, tak często się do niego zwracałem.

Może. Ale chyba raczej dlatego, że ufam mu na tyle, aby mnie osłaniał.

Chwyciłem latarnię starego. Zgasła, kiedy ją zalałem. Odepchnąłem ją na bok, wciągnąłem ciało do środka powozowni, zamknąłem drzwi i skierowałem się do wielkiego domu przy świetle latami niesionej przez Morleya. Po drodze wziąłem także i tę zgaszoną.

Dom nie był zamknięty. Wejście i znalezienie czegoś zajęło nam tylko chwilę.

Byliśmy w zakurzonej kuchni. Nie musieliśmy iść dalej. W sekundę potem, jak weszliśmy, Morley mruknął:

- Popatrz na to, Garrett.

„To” było trzygalonowym kubelkiem. Plemię much obrało go sobie na miejsce kultu. Ich wściekłe

brzęczenie i smród podpowiedziały mi, że to nie kubek na wodę. Ozdabiały go rdzawe plamy zaschniętej krwi.

- Musieli mieć coś, żeby zebrać krew. - Poświeciłem dookoła, zauważyłem zestaw noży na desce. Nie były to zwykłe noże kuchenne. Ozdabiały je wymyślne wzory oraz dekoracje z zaschniętej krwi.

- Nie dbali o swoje narzędzia. - Morley pokręcił głową.

- Nie widziałeś, jak się ruszali. Po tańcu z Saucerheadem chyba nie mieli ochoty na zmywanie.

- Teraz jesteś zadowolony? Musiałem być.

- Jasne. - Nie było sensu kręcić się tu dalej. Mogliby nas obciążyć takimi dowodami, że hej.

Morley wyszczerzył zęby.

- Naprawdę się uczysz, Garrett. Wydaje mi się, że jeszcze ze sto lat i będziesz mógł zacząć chodzić bez niańki.

Przyszło mi do głowy, że on jest jednak dużym optymistą.

Morley poszedł do siebie, a ja znalazłam kapitana Blocka w ostatnim miejscu, w jakim spodziewałem się go znaleźć, to znaczy w kawalerskiej kwaterze w barakach, które Straż dzieli z lokalnym garnizonem wojskowym. Z tych ostatnich pożytek jest jeszcze mniejszy niż ze Straży, ponieważ wyściubiają nosa jedynie na ceremonie i jako gwardia przy różnych królewskich imprezach.

Zanim dotarłem do Blocka, musiałem odbyć zwyczajową bieganinę od drzwi do drzwi, ale jakoś mi nie szło. Może pozostawił informację, że jakiś zużyty Marine będzie się chciał z nim zobaczyć?

Kiedy wszedłem, właśnie się ubierał, więc spokojnie stałem i zalewałem wodą jego dywan.

- Podejrzewam, że coś masz, Garrett.

Za żadne skarby nie mogłem pojąć, dlaczego nie jest uszczęśliwiony na mój widok. Czyżby chodziło o to, że już minęła północ?

- Znalazłem pańskiego gościa.

- Hej? - Tępe zaskoczenie na naturalnie tępej gębie daje zaskakujące efekty.

- Chciał pan tego bandytę? Tego faceta, który zabawiał się rozpruwaniem ładnych dziewczyn?

Jeśli go pan chciał, to proszę bardzo. Mam go.

- Uh... tak? - Jeszcze nie całkiem mi wierzył.

- Włóż pan płaszcz, kapitanie. Miałem długi, ciężki dzień i spieszę się do domu.

- Znalazłeś go, Garrett?

Ta- dam! Załapał, nim się obejrzałem.

- Tak. Ale lepiej, żeby pan się pospieszył, jeśli chce pan coś z tego mieć.

- Aha. Jasne. - Był oszołomiony. Nie wierzył własnym uszom. Przez moment zacząłem coś podejrzewać, ale nie zdążyłem się dobrze do tego przyłożyć. - Ale jak? Szukało go tysiąc ludzi i nawet smrodu nie złapali.

- Nie wiedzieli, gdzie wachać. Nos się sam wyrabia, jeśli trzeba z niego żyć..

- Wygląda na to, że po prostu miał pan szczęście.

- Szczęście się przydaje.

- Powinienem wziąć ze sobą ludzi?

- Nie będą potrzebni. Tamci już nie sprawią kłopotów. Musiało coś zabrzmieć w moim głosie, bo Block spojrzał na

mnie z ukosa, ale wciąż był jeszcze zbyt zszokowany, żeby cokolwiek powiedzieć. Chwycił pelerynę przeciwdeszczową i wcisnął na głowę wodoodporny kapelusz.

- Nawet nie wiesz, jacy ci jesteśmy wdzięczni, Garrett.

- Mam pewne podejrzenia. Okażcie mi wdzięczność, nie zapominając podrzucić wynagrodzenia do domu.

- Co? - Udało mu się przybrać oburzoną minę. Czy ktoś miał śmiałość kwestionować uczciwość Straży? - Myśli pan, że pana wykiwamy?

- Niech mnie bogowie bronią. Ja? Przecież to właśnie uczciwość kocham w naszych dzielnych Strażnikach. Z pewnością pan żartuje, kapitanie.

Usłyszał sarkazm i wcale mu się to nie spodobało, ale był zbyt podniecony, żeby się obrazić. Do licha, wyskoczył w noc i deszcz jak przysłowiowy Filip z konopi... dopóki nie zorientował się, że nie wie, dokąd iść.

- Idę tak szybko, jak mogę, kapitanie. - I rzeczywiście tak by- }o. Chciałem wrócić do domu. Miałem wielkie ambicje w rozwoju rzemiosła chrapania. - Przełaziłem dzisiaj chyba ze dwa tysiące mil, śledząc te potwory.

- Potwory? To jest ich więcej?

• Facet w ogóle nie słuchał. Pokręciłem głową. Zrównał się ze mną. Prawie podskakiwał jak pięciolatek.

- Jeszcze jedno, kapitanie. Naczelny bandzior był gościem w wieku około tysiąca lat, podejrzenie przypominającym czarownika. Drugi był zwyczajnym, dobrze wam znanym ulicznym bruno, kupa mięcha pod trzydziestkę.

- Był? - teraz mówił nerwowo, wręcz nieufnie. - Cały czas powtarza pan: był.

- Sam pan zobaczy.

Zobaczył. I wcale nie był zachwycony

- Musiał pan ich pozabijać? - zapytał. Gapił się na starego, jakby sądził, że świrowaty wypierdek wstanie z martwych.

- Nie. Mogłem pozwolić, żeby to oni zabili mnie. Ale wtedy wy dalej byście szukali, no nie? - Spojrzałem na starego i zadygotałem ze zgrozy. Block tego nie zauważył.

Po pierwsze, staruch dopełził do samych bram ogrodu, zanim się odmeldował. Potem rozebrał się do naga. To, co z niego zostało, było tak wysuszone, że wyglądało, jakby ktoś wyssał go od wewnątrz i zostawił samą skórę. Skórę białą jak u trupa. Zastanawiałem się, czy przypadkiem jednak nie zmartwychwstanie. Może już to zrobił, raz czy dwa. Potem otrząsałem się z zabobonów i skoncentrowałem na problemie, który był realny i namacalny.

Ktoś był w powozowni podczas mojej nieobecności. Ktoś, kto rozebrał nieboszczyka i pościągał ze ścian i półek dziwną mieszaninę uprząży i narzędzi. Wyglądało to na okazyjne przestępstwo popełnione przez jakiegoś zdołowanego amatora. Przez kogoś, kto zobaczył otwarte drzwi, wskoczył do środka na nerwowe oględziny, porwał wszystko, co nie było przybite do ściany i wyglądało

na możliwe do opylenia za cenę butelki taniego czerwonego wina. Gdybym miał szukać tego złodzieja, rozglądałbym się za niskim, chudym pijaczną puszącym się w nowych ciuchach i absurdalnym kapelusiku myśliwskim.

- Byłoby więcej hałasu, gdybym zdołał zawlec ich na proces - zalił się Block.

- Ani trochę w to nie wątpię, cyrk byłby jednorazowy. Przedstawienie roku. Z radością sam bym przyszedł go zobaczyć. Ale on rzygał motylami, w oczach miał zielony ogień i szykował się do rzucenia na mnie jakichś poważnych czarów. Nie mogłem mu tego wyperswadować. Chodź pan, tam są dowody rzeczowe.

Zaprowadziłem go do kuchni i pokazałem kubeł. Chciałem mu też pokazać noże, ale nie było ich tam, gdzie je widziałem po raz ostatni. Ten cholerny Morley znów zbierał pamiątki. Teraz, kiedy był ze mną oficer, czułem się w tym domu znacznie swobodniej, bo w razie czego mógłbym się

wytłumaczyć lokalnym Strażnikom.

- Zadowolony?

- Tak sędzę. - Podniósł wielki szklany słój, który przeoczyliśmy z Morleyem. Zawierał ludzkie serce w przezroczystej cieczy. - Moi ludzie zaraz rozbiorą tę rezydencję na części.

- Wie pan, kto jest jej właścicielem?

- Wiem. Ironiczny zbieg okoliczności. Ale nie będzie kłopotów. Księżę jest zdeterminowany. Będzie wkurzony podwójnie, bo ktoś się odważył. Będzie zionął ogniem.

Zachichotałem.

- Może pan wziąć na siebie wszystkie zaszczyty, kapitanie. Nie chciałbym, żeby tacy ludzie mnie zauważyli. Proszę tylko pamiętać o mojej zapłacie. Wtedy pan będzie zadowolony, ja też, TunFaire też. A teraz, jeśli pan już nie potrzebuje mojej pomocy, powlokę moje zmęczone dupsko do domu i wsadzę je w bety.

- Proszę bardzo - odparł z roztargnieniem. - Aha, Garrett? - Tak?

- Dzięki. Dostanie pan swoje pieniądze. I wciąż jestem pana dłużnikiem za ten cud.

Kiedy dotarłem do domu, Truposz wciąż prowadził przesłuchania. Jedni ludzie byli w jego pokoju, inni czekali w pokoiku

od frontu. Dean kierował ruchem przy drzwiach. Obdarzyłem go najzłośliwszym z moich uśmiechów i wyszczerzyłem zęby.

- Teraz i ty wiesz, co to znaczy być na nogach o absurdalnej porze. - Dałem szybkiego susa w stronę pokoiku frontowego, w poszukiwaniu kota, ale nie znalazłem ofiary. Dean popatrzył na mnie nerwowo i nabrał wody w gębę.

Doskonale, pomyślałem sobie i podreptałem na górę. Z samego rana pogadamy o tym kocie.

?Z samego rana w ogóle nie gadałem z Deanem. A w każdym razie nie o kotach. Obudził mnie o jakiejś nieprawdopodobnej porze koło południa i powiedział:

- Jego Kośćistość chce widzieć pana u siebie w pokoju. Śniadanie podam tam.

Jęknąłem i obróciłem się na drugi bok.

Dean nie zawracał sobie głowy zwyczajowymi przepychankami. Powinienem być poczuć się ostrzeżony. Ale to był poranek. Kto myśli o poranku? Wymamrotałem tylko jakąś nie na miejscu modlitwę dziękczynną w ogólnym kierunku niebios i zakopałem się w poduszkach.

I wtedy zaczęło mnie żreć robactwo.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy zacząłem machać, walić rękami, kłać i grzebać w pościeli, nie znalazłem nic. A kąsanie jak zostało, tak za nic nie chciało pójść.

Był ranek. Trochę potrwało, nim załapałem. To nie stary Dean przyprawił mi bety insektami. To Truposz mnie podszczypywał.

Wciąż klnąc, podskakując i trzepiąc się po tyłku, wyskoczyłem z piernatów. Ta część mojego umysłu, która sumiennie pracowała,

zauważyła pewien interesujący, dotychczas nie ujawniony aspekt charakteru mojego partnera. Kiedy miał jakiś cel na myśli, prześladował sprzymierzeńców na równi z wrogami.

Wprawdzie moje oczy tylko udawały otwarte, a nogi buntowały się przy każdym kroku, ale zdołałem dotrzeć na dół bez znaczniejszych obrażeń. Wturlałem się do pokoju Truposza, padłem w fotel i omdlewającym wzrokiem rozejrzałem się w poszukiwaniu podpałki, żebym mógł załatwić Truposza, kiedy tylko nabiorę ambicji.

Dzień dobry, Garrett.

Myślałby kto, że jego stylem porozumiewania się nie można wyrazić zbyt wielu uczuć, ale z pewnością udało mu się okazać szczęśliwy nastrój ostrygi, która nie wie, że tuczą ją na potrawkę.

Tak się cieszę, że mogłeś zaszczyścić mnie swą obecnością.

Uczucia, jakim ja dawałem wyraz, były znacznie mniej przyjemne.

- O czym ty bełkoczesz, do stu diabłów? Po jaką nieziemską cholere wywlokłeś mnie z łóżka o takiej porze? Przecież słońce jeszcze nie wstało! - To nie było do końca prawdą. Gdzieś tam, ponad warstwą deszczowych chmur, słońce wstało już wiele godzin temu. Ale nie dość wiele, jak dla mnie.

Już nie mogłem dłużej powstrzymać ciekawości. Panowie ze Straży Miejskiej przyszli rano złożyć uszanowanie i wynagrodzenie. Byli niewiarygodnie hojni.

- To nic nie znaczy. Jak się im pokaże klasę, staną się niewiarygodnie hojni. He?

Cały tysiąc marek. Poza tym..

- Tylko tysiąc? - burknąłem. Burczałem odruchowo, burczałbym nawet, gdyby przywieźli cały wagon forszy. - Mogłeś poczekać do jakiejś przyzwoitej godziny.

Poza tym, ciągnął, ignorując mnie kompletnie, przywieźli najnowsze wieści z Kantardu. Moje teorie nareszcie się potwierdziły. Oczekiwana zapaść rewolucji Glory'ego Mooncalleda, której spodziewano się na podstawie tych wszystkich ucieczek i dezercji, okazała się chimera. On tylko zwlekał, żeby wyczekać odpowiednią chwilę.

- O, kurde. - Teraz zrozumiałem, że ta rozpaczliwa pobudka nie miała nic wspólnego z forsą. Skorzystał z wielkiej szansy, żeby się puszyć zwycięstwem a ja nie mogłem się nawet bronić.

Wydawało mi się, że Mooncalled jest na ostatnich nogach. Wszystko na to wskazywało. Ucieczki i dezercje były wyraźnymi sygnałami, że rebelia zwija chorągiewkę. Cholera, nawet teraz w Karencie pętało się mnóstwo uciekinierów z Kantardu. Widziałem całą ich bandę nawet tu, w TunFaie.

Nie fatygowałem się, żeby zapytać, jak Mooncalled wywinął ten kolejny numer. Facet miał to we krwi. Zająłem się śniadaniem, które przyniósł Dean, i czekałem na Truposza. Będzie jeszcze chciał się popastwić. Uwielbia, kiedy ponoszę sromotną klęskę w dyskusji.

Wydzielał mi ciosy po jednym, w najbardziej nieekonomiczny z możliwych sposobów. Tak jak ja sam to robię, kiedy się chcę nad nim poznać.

Twierdził, że większość zdrad i ucieczek nie była prawdziwa. Poza tym Mooncalled przyczaił się na przyczółku armii, od czasu do czasu nاپuszczając na siebie siły Venagetich i Karenty, a sam czekał na jeden z rzadkich, lecz wyjątkowo gwałtownych sztormów, jakie atakowały Kantard od strony zatoki. Kiedy tam byłem, widziałem niejednego takiego sztorm. Możesz wtedy tylko wleźć w jakąś dziurę, mając nadzieję, że ta dziura wytrzyma napór wiatru i deszczu.

W tym czasie, kiedy wroga ogarnął paraliż, Mooncalled uderzył. Jeden oddział zaatakował Fuli Harbor, największy przyczółek Karenty w Kantardzie. Wcześniej też próbował, ale poniósł klęskę. Tym razem mu się udało. Zajął Fuli Harbor wraz z całym zapasem towarów i amunicji.

Drugi oddział zaatakował Quarache, logistyczny bastion Venagety w południowym Kantardzie. Quarache jest większe i ważniejsze od Fuli Harbor, bo otacza jedyną dużą, niezawodną oazę na całej pustyni. Działania wojenne Venagetich opierają się w dużej mierze na ciągłej kontroli nad Quarache. Bez niej nie są w stanie wyruszać dość daleko, aby zagrozić kopalniom srebra.

Strata Fuli Harbor utrudni, ale nie uniemożliwi działań wojennych Karenty, która posiada inne bazy wzdłuż całego wybrzeża. Yenageta nie ma nic.

- Twój chłopak siedzi teraz po uszy w gównie, Chichotku - odważyłem się na słaby docinek. - Wyślą Marines, żeby odbili Fuli Harbor, a on nigdy z nimi jeszcze nie zadarł.

Zignorował mnie, jeśli nie liczyć lekkiego dotyku rozbawienia, i dalej ciągnął swoją opowieść.

Z Quarache nie poszło mu tak łatwo, jak z Fuli Harbor. Mooncalled nie miał siły, żeby podbić je całkowicie. Walki jeszcze się toczyły, posiłki Venagetich nadciągały ze wszystkich stron, odbijając

Quarache w kosztownej, powolnej i desperackiej walce o każdy dom.

Podobnie jak większość normalnych Karentyńczyków czułem sympatię dla Glory'ego Mooncalleda. Nie chodzi o to, że chciałem, aby królestwo przegrało wojnę, ale kiedy przez całe życie jest się świadkiem korupcji, niekompetencji i zachłanności, jaka cechuje naszych władców, nie można się powstrzymać, aby nie podziwiać gościa; który wydaje brzydkie odgłosy wprost w ich twarze i bezczelnie wyzywa ich, aby pokazali się z najgorszej strony - a potem tańczy z radości, gdy potykają się o własne nogi. Uważam też, że wielu z nas ma nadzieję, iż wyskoki Mooncalleda położą koniec wieloletniej wojnie.

- I po to właśnie wyciągnąłeś mnie z betów?

Nie tylko po to. Chciałbym usłyszeć szczegóły tego, co stało się ostatniej nocy. Był chyba naprawdę zainteresowany. Przypomniałem sobie, że tak było od samego początku, jakby podejrzewał coś, czym nie chciał się dzielić.

Jak to się stało, że udało ci się tak szybko zamknąć sprawę?

- Ach! Czyżbym wyczuwał zazdrość? Nutę niedowierzania?

Prawo średnich sugeruje, że nawet ty powinieneś być od czasu do czasu zdolny do kuśtykania bez niczyjej pomocy. To prawda, że jestem zdumiony twoją zdolnością do podważania tego prawa z wielką częstotliwością.

Tak. Użarło go. Poświęcił kupę czasu na przesłuchania, których zresztą jeszcze nie przedyskutowaliśmy, mając nadzieję, że olśni wszystkich i każdego z osobna zaskakującym wyrokiem. A potem ja zepsułem mu zabawę, wpadając na ślad przeklętego powozu. Garrett Psuj Zabawy, oto cały ja

- Możesz mi powiedzieć, co sobie pomyślałeś, kiedy Block po raz pierwszy opowiedział nam o tych kobietach?

Ktoś zaczął walić w drzwi, i to w takim momencie, że wydawałoby się, iż przybył tu na wezwanie Truposza.

To pewnie pan Tharpe. Pozwoliłem mu wrócić do domu wczoraj wieczorem. Miał do załatwienia jakieś sprawy osobiste. Siedź. Dean zajmie się drzwiami.

- Dean!!! - wrzasnąłem. - Jak już będziesz wpuszczał Saucerheada, przy okazji wyrzuć tego kota!

Zaczekałem na Tharpe'a, nim zacząłem opowiadać moją historię.

- Miałeś szczęście - przyznał Saucerhead, kiedy skończyłem.

- Szczęście, tu mi jedzie wóz... Wyjątkowy pokaz dedukcji i inteligentnego myślenia.

Tharpe burknął coś pod nosem bez przekonania.

- Nie widziałem, żeby ktokolwiek inny zajął się tą sprawą, zaczynając od powozu.

- Wciąż twierdzę, że miałeś szczęście, Garrett. A co by było, gdyby stary łotr korzystał z normalnego powozu? A gdyby chodził pieszo?

- Ale nie chodził. I właśnie w tym sęk. Za to zapłacił. Postanowił włamać się do zamkniętego domu i zrobił z niego bazę, wynalazł sobie dziwaczny, wariacki powóz i po prostu nie mógł się powstrzymać, żeby nie zaszpanować. I za to też zapłacił.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem zionący motylami dziadek sam nie padł ofiarą kłątwy, ale w końcu, co mnie to obchodzi? W tej chwili już mi nawet nie przeszkadzało, że go załatwiłem. Nie spotkałem wielu innych, którzy aż tak by się prosili o zlikwidowanie. Nie mogę się źle czuć, wyświadczając światu przysługę.

- Ale miałeś szczęście - powtórzył Saucerhead. Nie dał się przekonać. Truposz też nie.

Panie Tharpe, mam dla pana zadanie, jeśli panu odpowiada dalsze zajęcie.

- Pan płaci, ja pracuję. - Saucerhead z jakiegoś powodu chyba lubił Truposza.

Ten budynek nagle stał się podejrzanie czysty od robactwa.

To dlatego, że wypaliłem tu z tuzin świec siarkowych, kiedy ucinął sobie kolejną sześciotygodniową drzemkę. Myślałem, że dobrze robię. Robactwo bardzo lubi się na nim posilać.

Jestem przyzwyczajony, żeby wykorzystywać znaczną liczbę insektów, badając różne kierunki działań, jakie mogą podejmować siły wojenne w Kantardzie. Bez nich nie mogę zaspokoić mojej ciekawości.

- Wiec już słyszałeś, co zrobił Glory Mooncalled?

Tak i jestem bardzo podniecony. Potrzebuję kilka tysięcy insektów, żeby rozpoznać możliwe opcje działań tych, którzy przetrwali.

Miał idiotyczny zwyczaj ustawiania robactwa na ścianach, jak wojska, i manewrowania nim. Ohydne zboczenie.

- Czekaj no chwile - zaprotestowałem. - Po prostu zrobiłem dezynsekcję.

Robactwo i myszy to najwięksi wrogowie Truposza. Jeśli się je zostawi bez kontroli, zeżrą go w jednej chwili.

A wiec to ty jesteś odpowiedzialnym za to łajdakiem.

Cholernie dobrze wiedział, że to ja, po prosta wcześniej o tym nie wspomniał.

- Tak, to ja - odparłem. - Jestem także gościem, do którego należy ten śmietnik. Jestem także gościem, który ma już cholernie powyżej uszu tego, że gospość wprowadza mu się do domu bez pytania, a przy tym sądzi, że do jego obowiązków należy sprowadzanie tu wszystkich bezdomnych kotów, na jakie się natknie. Jestem także gościem, który nie lubi, jak mu podłoga chrupie pod nogami, kiedy w ciemności szuka nocnika. Olej te robale, Saucerhead. Niech używa wyobraźni.

Truposz posłał mi przesadne myślowe westchnienie.

Niech będzie. Mam wrażenie, panie Tharpe, że nie będziemy potrzebować pana dalszych usług.

Obdarzyłem Truposza spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Zbyt łatwo się poddał.

- On ma rację. Ile ci jesteśmy winni?

- Nie tyle, żebym nie musiał wracać do rozwalania łbów dla tej glisty Licksa.

Smutna historia. Nikt nie lubi Licksa. Włącznie ze mną, a ja go ledwie znam.

- Facet musi zarabiać na życie, jak mi się zdaje. - Odliczyłem kilka monet, nie za wiele. Tharpe wyglądał na zadowolonego. Właściwie nie robił nic takiego, oprócz otwierania drzwi.

- Może dodałbyś mały napiwek za osobiste utrudnienia, Garrett.

- Osobiste utrudnienia?

- Musiałem być tutaj zamiast w domu. Choć z tego, co słyszę, ty już całkiem zapomniałeś o kobietach.

- Nie całkiem. Jeszcze nie. I dość szybko mi przechodzi.

- No to bądź cyniczny i samolubny. Pogódź się z Tinnie. - Lubi Tinnie. Do licha, ja też ją lubię. Ja tylko nie mogę wytrzymać z tym rudowłosym wcieleniem temperamentu. Na razie. Przeboje zmieniają się z roku na rok. Abstynencja nie zmiękczy ci serca.

Saucerhead zdaje się nie spieszył się do domu. Razem z Truposzem zastanawiali się, co mogło zrodzić się w głowie faceta od motyli, co kazało mu zarzynać ładne dziewczyny. Uznałem, że to dla mnie jedyna szansa. Zabrałem resztki śniadania do kuchni. Pozbyłem się dowodów rzeczowych, a teraz mogłem się przejść na górę i zmrużyć oko.

Ktoś zaczął walić w drzwi.

A to co takiego? Ciężko pracuję nad zniechęcaniem klientów i w ciągu tygodnia niewielu składa mi wizytę. Dean udał, że jest zbyt zajęty sprzątaniami, więc zająłem się nimi sam.

Pochłonięty marzeniami o jakiejś rozpalonej bogini seksu, ujrzałem Warczącego Psa Amato.

Całkowicie o nim zapomniałem.

- Całkowicie o mnie zapomnieliś, Garrett - poskarżył się i naparł na mnie swoją osobistą bronią chemiczną, zmuszając do wycofania się w głąb domu.

- Nie - skłamałem gładko. - Myślałem, że nie miałaś dość czasu, żeby coś przygotować.

- Padało. Nie miałem nic do roboty. Ile czasu można robić tablice i ulotki?

Myślałby kto, że ulewa spłucze co nieco smrodu. Nic z tych rzeczy. Woda jeszcze go odżywiła. Rozwazałem możliwość pozostawienia drzwi na oścież, otwarcia kilku okien i zrobienia przeciągu. Gdybym mieszkał na Górze, mógłbym tego spróbować, ale tu, w mojej okolicy, raczej bym się nie odważył. Nawet w czasie rozszalałego tajfunu znalazłoby się kilku śmiałków gotowych skorzystać z okazji. Poza tym na dole miałem tylko jedno okno.

Amato minął mnie, przystanął, zalał podłogę, zaśmierdział i rozejrzał się wokół.

- Ty, masz takie coś, to takie, no wiesz, co, tego, jak mu tam... Truposza. Chciałbym rzucić na niego okiem. Wiesz o co mi chodzi?

Próbowałem płytko oddychać. Nie wiem, po co się w ogóle tego próbuje, skoro i tak nigdy nie pomaga.

- Dlaczego nie? Jesteś facetem, którego powinien poznać.

Żałowałem, że kinol Truposza nie działa. Zamknąłbym ich razem, dopóki Amato nie sprzedałby mu całej świrowatej koncepcji totalnej konspiracji.

Otworzyłem drzwi do pokoju Truposza, wpuściłem Amato. Saucerhead, siedzący w moim fotelu, obejrzał się, zobaczył Warczącego Psa. Twarz zwinęła mu się w grymas światowej klasy. Ale nie zadawał pytań.

Zaciągnął się, dlatego milczał. Wreszcie wykrztusił:

- Widzę, że macie klienta, to się lepiej pożegnam... - powiedział na jednym długim wydechu. Wyprysnął przez drzwi niemal w tej samej chwili i rzucił mi wiele mówiące spojrzenie. Chyba chciałby poznać całą historię. Później. O. wiele później, kiedy miazmaty się ulotnią.

- Upewnij się, że drzwi frontowe są zamknięte - powiedziałem i mrugnąłem.

- Boże, ale paskudna frajerska mordą - szepnął Amato. - Ma ryło jak mamut, nie?

Jeszcze jeden misjonarz, Garrett?

- To Kropotkin Amato. Pamiętasz naszą umowę?

Wiesz, o czym mówię. Wciąż chcesz mi dokuczać? Może sobie przypomnisz, że ostatnim razem twój sukces był w znacznej mierze wątpliwy?

- Ja? Nie...

Nie wspomnieliś mi też o żadnej umowie, choć odkrywam w twoim umyśle pewne szczegóły. Nie podpisaliśmy kontraktu, żeby gość pilnował sam siebie.

- Nie podpisywaliśmy niczego, Śmieszku.

Warczący Pies wyglądał na zaskoczonego. Też bym był, słysząc tylko jedną stronę rozmowy. Zmieniłem temat

- Możesz pojąć, dlaczego to zrobiłem. - Nie chciałem zranić uczuć Amato. Truposz mógł mu zajrzeć do głowy i stwierdzić, dlaczego nie zmontowałem szeroko zakrojonej kampanii.

Masz rację, Garrett Tym razem. Choć to nieprawdopodobne on jednak wierzy w swoje teorie. Co sprawia, że stanowią one rzeczywistość, w której żyje. Proponuję, żebyś spotkał się ze zleceniodawcą i postarał dowiedzieć, dlaczego uważa za stosowne śledzić pana Amato.

Dzień dobry, panie Amato. Bardzo chciałem pana poznać od czasu, kiedy pan Gairrett po raz pierwszy podjął się śledzić pańskie poczynania.

Ten szcur zwali wszystko na mnie.

- Uh... cześć. - Warczący Pies zapomniał języka w gębie. Może powinienem sprawdzić, czy to rzeczywiście on?

Jeden oddech i już wiedziałem, że nie muszę sprawdzać.

- Słuchaj no, Chichotku, nie wyobrażaj sobie...

Pan Amato i ja mamy sobie wiele do powiedzenia, Gairrett. Proponuję, żebyś poszedł odwiedzić pana Hullara i sprawdził, czy nie uda ci się dotrzeć do źródła tego zainteresowania.

- Jasne, Garrett A co ty tu w ogóle robisz? Przecież miałeś... - Zwiąłem, pokonany. Ciekawe, czy Warczący Pies poczułby się zawiedziony, gdyby się dowiedział, że zaniedbałem go tylko po to, aby uratować TunFaire od seryjnego zabójcy? Byłby pewien, że to oni mnie podkupili, nawet, jeśli to on był obiektem, który miałem dla nich śledzić.

Posłałem tęskne spojrzenie w stronę schodów, po czym wdziałem na siebie zestaw przeciwdeszczowy. Przetrzęsnałem kieszenie, żeby sprawdzić, ile mam forsy. Może wynajmę pokój i złapię parę godzinek snu?

Jednym skokiem dopadłem frontowego pokoiku, w nadziei że przed wyjściem dorwę kota Deana i wyciągnę za ogon na dwór. Ale nigdzie nie było nawet śladu kota, jeśli nie liczyć śladów pazurów na meblach.

A potem stwierdziłem, że nie mam nic dla Hullara. Podreptałem z powrotem i wydarłem raport z rak Warczącego Psa. On i Truposz tkali już pijaną sieć obłądnej teorii konspiracji.

Polędwica to część miasta, która karmi ukrytą stronę charakteru całej ludzkości. Można tu znaleźć wszystkie zbrodnie, popełnić każdy grzech, zaspokoić prawie każdą potrzebę. Dziwki, handlarze narkotyków, meliny, nielegalne kasyna gry to tylko powierzchowna warstwa blichtru. Zakładając, że to co widziane z ulicy może się wydawać blichтром.

Ulica jest wielka i olśniewająca. Właściwie to kilka ulic. W każdym razie jej powierzchnia jest większa niż Zaulek Druciarzy. I znacznie wspanialsza. Nic się tak dobrze nie sprzedaje jak grzech. Po Górze jest to najbogatsza, najczystsza, najbezpieczniejsza i najporządniejsza część miasta. Kilku bardzo niemiłych facetów pilnuje, żeby zawsze taka była.

I w całości, pośrednio lub bezpośrednio, należy ona do Chodo Contague'a.

Tancbuda Bishoffa Hullara jest tak niewinną meliną, jaką tylko można znaleźć w tym miejscu. Dziewczyny rzeczywiście tylko tańczą - tańczą i rozmawiają z gośćmi, namawiając ich do kupowania drinków. Może wchodzą w prywatne układy, ale w samym budynku nie ma na to miejsca. Knajpa jest dość nędzna, urządzona w takim stopniu, aby nie odstawać od reszty. Szczerze mówiąc, nie wiem, co Hullar robi, żeby wyjść na swoje w otoczeniu innych, którzy oferują znacznie więcej.

Lokal nie kołysał się jak okręt, kiedy wszedłem, ale dopiero co minęło południe. Kilku smętnie wyglądających żeglarzy obsiadło stolik, gawędząc ze smętnie wyglądającą dziewczyną sączącą farbowaną wodę. Nawet nie udawała, że ją cokolwiek obchodzi, czy i co żeglarze do niej mówią. Kulawy człowiek- szczur sprzątał wkoło innych stolików. Na wszystkich stały odwrócone krzesła. Parkiet był pusty, choć dwie inne dziewczyny rozsiadły się pod podium dla orkiestry, gdzie trzech umordowanych muzyków nawet nie udawało, że nie śpi. Obie zmierzyły mnie wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy wart jestem podniesienia tyłka i przebycia tej odległości. Jedna, która wyglądała tak, jakby za kilka dni miała dorosnąć, leniwie napychała fajkę trawką.

Facet za barem musiał być najstarszym karłem na świecie. Ubrany był w pełny kostium, wraz z piórkiem bażanta na spiczastym kapelusiku. Brodę miał tak długą, że chyba zamiatał nią śmieci z podłogi.

- Co ma być, Asie? - Wytarł blat przed moim nosem tą samą szmatą, którą przedtem polerował kufle.

- Piwo. - Duże? - Aha.

- Jasne? Ciemne?

- Jasne.

- Lager? Pilsner?

- Nalej mi cokolwiek. Zaskocz mnie. Może Weidera, jeśli masz. - Uważałem, że jestem winien Staremu Weiderowi trochę handlowej lojalności, skoro tak długo mnie zatrudnia.

- Pośpiech. Zawsze pośpiech. - Nalał mi kufelek. - Dość wilgotno, jak na twoje wymagania?

O, nie. Gadatliwy barman.

- Dość mokro. Hullar jest w domu?

- A kto pyta? - Nagle stał się bardzo czujny.

- Niejaki Garrett. Robię coś dla niego.

- Tak? - Wytarł blat w okolicy mojego łokcia i zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Sprawdź - rzekł po chwili i podreptał do drugiego pomieszczenia. Wspiąłem się na palce, żeby sprawdzić, czy potknie się o własną brodę.

- Hej, jestem Brenda. - Dziewczyna z fajką nabrała energii na tyle, żeby do mnie podejść. Spojrzałem na nią, potem znowu zwróciłem wzrok na pustkowie za barem. Kobieta była mniej interesująca.

Z bliska widać było, że nie jest już dzieckiem, choć miało to stanowić jej główny atut. Dziewczątka przeminęło dawno temu, zanim jeszcze osiągnęła wiek, w którym mogłaby być dziewczątkiem.

- Przyszedłem zobaczyć się z Hullarem. Interesy - powiedziałem.

- Aha - jej głos już przed chwilą miał w sobie niewiele życia. Teraz był całkiem martwy.

Zerknąłem na muzyków.

- Chyba mógłbym się rozstać z paroma miedziakami, gdybyś mi wyjaśniła, po co ta banda siedzi tu o tej porze? - Nie znałem dobrze lokalu Hullara, ale nie przypuszczałem, aby w ciągu dnia była tu muzyka.

- Ktoś skopał im tyłki wczoraj po pracy. Czekają, żeby pogadać o tym z jednym facetem.

Licks? Czyżby próbował ich załatwić?

- Właż, Asie. Szef mówi, żebyś poszedł na zaplecze.

Wcisnąłem kobiecie w dłoń pół tuzina miedziaków. Próbowała zrewanżować mi się uśmiechem, ale chyba nie pamiętała, gdzie go ostatnio położyła. Chciałem coś powiedzieć, żeby ją podnieść na duchu, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Dzięki - powiedziałem i ruszyłem za karłem. Nie mogłem pozwolić, żeby się za bardzo oddalił, bo nie chciałem przegapić, kiedy sobie nadepnie na brodę.

Bishoff Hullar miał pięć stóp wzrostu, trzy stopy szerokości, głowę łysą jak jajo, około sześćdziesięciu lat i był brzydki jak uosobienie grzechu śmiertelnego. Szerokość jednak nie oznaczała tłuszczu. Słyszałem, że kiedyś był siłaczem, a i teraz trenował od czasu do czasu, żeby nie stracić formy na wypadek, gdyby ktoś potrzebował jego talentu.

- Siadaj, Garrett. - Wskazał mi rozchwiane, przedpotopowe krzesło. Miał głos przypominający dźwięk wydawany przez kamienie

krążące w dużym bębnie. Ktoś kiedyś w zamierzchłej przeszłości walnął go w gardło ołowianą rurką. - Masz coś dla mnie? Podałem mu raport Warczącego Psa. Wziął go i zaczął czytać.

- Mam parę pytań - zagałem. Rozejrzałem się po jego warsztacie, bo trudno byłoby go nazwać biurem. Siedział za biurkiem, na którym znajdowały się narzędzia do pisania, ale też i słoiki z kremami i płynami do makijażu, co sugerowało, że dziewczyny używają go jako toaletki. Ogólnie

było równie syfiaste jak cała reszta lokalu.

- He? - Spojrzał, mrużąc szare świńskie oczka.

- Pytania, których mój partner nie raczył zadać, ponieważ uważał, że to zadanie będzie dla mnie niezłym dowcipem.

- Dowcipem? - Oczy Hullara zmieniły się w szparki.

- Warczący Pies Amato. Nikt na świecie nie zapłaci za śledzenie lunatyka. A już na pewno nie gość, który prowadzi tak elegancki lokal. Nie wydaje mi się, żebyś w ogóle znał Warczącego Psa.

- Nie znam. Nie poznałbym go, nawet gdyby podszedł i zatopił mi kły w łydce. Co cię to obchodzi? Przecież ci płacę.

- To ja jestem facetem, który łązi po ulicy i naraża własny tyłek na proce i strzały, Hullar. Mam wrażenie, że chciałbym się dowiedzieć, po co to robię i dla kogo. Wtedy może będę wiedział, z której strony spodziewać się kłopotów, kiedy już nadejdą.

- Nie będziesz miał żadnych kłopotów.

- Wszyscy tak mówią. Ale gdyby nie było kłopotów, to w ogóle by do mnie nie przyszli. Nie gram w ciuciubabkę, Hullar.

Odłożył raport, spojrzał na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie wykopać mnie za drzwi. Wypadło, że jednak nie.

- Masz dobrą opinię, Garrett. Dlatego cię wziąłem. Czekałem. On myślał. Karzeł barman stał w drzwiach, może żeby sprawdzić, czy szef nie potrzebuje pomocy. W powietrzu nie czuło się jednak napięcia, a ja nie miałem poczucia zagrożenia.

- Nie mam tu wiele, Garrett. „My” nie mamy wiele, ale jesteśmy jak rodzina. Opiekujemy się sobą wzajemnie, bo jesteśmy dla siebie wszystkim. To jest jak ostatnia bariera, zanim stoczymy się w przepaść.

Nie mogłem się z tym sprzeczać. Zachowałem moje zdanie dla siebie. Staruszka mamuśka uparcie twierdziła zawsze, że pewnie dużo bym się nauczył, gdybym potrafił utrzymać gębę w stanie zamkniętym choć na tak długo, żeby usłyszeć, co mówią inni. Mama miała rację, ale przez wiele lat to do mnie nie docierało. Wciąż jeszcze zapominam o tym o wiele za często.

- Ktoś, kto pracuje dla mnie, przychodzi do mnie ze swoimi problemami. Wtedy staram się pomóc. Jeśli jestem w stanie, zawsze pomagam. Może i oni kiedyś mi pomogą, kiedy ja będę tego potrzebował. Zgoda?

- To ma sens. - Tyle tylko, że w prawdziwym świecie rzadko tak bywa. - I to jeden z twoich ludzi chce, abym śledził Warczącego Psa?

Zmierzył mnie wzrokiem, wciąż nie wiedząc, co o mnie sądzić.

- Jesteś cynikiem. Niewiele jest rzeczy, w które wierzysz. A zwłaszcza nie w ludzi. Może w twoim zawodzie to dobra cecha, biorąc pod uwagę, z kim musisz się zadawać.

- Aha. - Byłem z siebie dumny. Udało mi się zachować niewzruszoną powagę.

Spojrzał na karła, dostrzegł reakcję, której ja nie zauważyłem.

- W porządku. Powiem ci wszystko, Garrett. Dziewucha Amato pracuje dla mnie. Kiedy dał się wrzucić do Al- Khar, ona...

- Amato ma córkę? - Słyszeliście o tym, że można człowieka obalić końcem piórka? W tamtej chwili przyzwoite piórko rozgniotłoby mnie jak glistę.

- Tak. Ten Amato, on jest trochę nie tego... Ale nieszkodliwy. Ty to wiesz i ja to wiem. Ale ma głupi zwyczaj nazywania spraw i ludzi po imieniu. A ona się boi, że kiedyś wymieni niewłaściwe imię, jakiegoś dupka z Góry, który nie ma poczucia humoru. Może staruszek już siedzi w gównie po szyję. Dziewczyna sama też ma nie całkiem po kolei w głowie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale dla

mnie jest jak rodzina, a kiedy moi ludzie się martwią, ja robię, co mogę, żeby przestali. Dlatego chcę, żebyś miał na oku tego starego wariata i dał mi znać, gdyby miał ochotę wleźć gdzie nie trzeba, żebym zdążył go zabrać z drogi, zanim go rozdepczą. Zrozumiałe?

Tak. I nie. Warczący Pies z córką? Kiedy on ją zdążył zrobić?

- Nie do wiary.

- Tak? A co ci się w tym nie podoba? Nie chcesz, to powiedź.

Wezmę kogo innego. Wybrałem cię dlatego, bo podobno jesteś prawie uczciwy. Ale bez ciebie też dam sobie radę.

- Naprawdę, trudno to przełknąć. Nie znasz Warczącego Psa, Gdybyś znał, tobyś wiedział dlaczego. Nie wyobrażam go sobie jako tatuśka.

- Crunch, powiedz Sas, żeby przyniosła nam dwa piwa. Karzeł poszedł. Milczeliśmy. Po chwili pojawiła się kobieta z dwoma piwami, jasnym dla mnie i ciemnym dla Hullara. Widziałem ją z tamtą niby dziełką, jak szeptały z muzykami. Wtedy nic nie zauważyłem, ale teraz widać było podobieństwo rodzinne do Amato. Miała nawet to samo upiorne spojrzenie, jakby widziała rzeczy, których normalny człowiek nie widzi. Udawała, że się na mnie nie gapi, a ja udawałem, że się nie gapię na nią.

- Dzięki, Sas.

- Proszę, Bish. - Wyszła.

- Faktycznie, podobna do niego - przyznałem.

- No widzisz. Jeszcze jakieś problemy?

- Właściwie nie. - Zastanawiałem się, czy gapiła się na mnie dlatego, że karzeł powiedział jej, kim jestem. Prawdopodobnie. Może przysłał ją bardziej po to, żeby mi się przyjrzała, niż po to, żebym to ja przyjrzał się jej. - Czy to ma być tajemnica?

- Tajemnica?

- Powiem mojemu partnerowi, oczywiście. On nie rozpapla. Ale czy dla reszty świata ma to pozostać tajemnicą?

- Pewnie by nie zaszkodziło. Facet ma chyba niejednego wroga.

- A jeśli się zorientuje, że go obserwuję? Czy mogę mu powiedzieć, dlaczego?

- Nie wydaje mi się, żeby to mogło zaszkodzić Sas. Słuchaj, ja wiem, że to nie jest twoje normalne zajęcie. Jest bardzo spokojne, a ty zwykle mieszasz się w sprawy czarowników i gangsterów, i tych z Góry. Dla mnie jednak wiele znaczy. Nie musisz opierać na tym swojej kariery. Nie płacę aż tak wiele. Ale wszyscy docenimy, jeśli nam podpowiesz, gdyby wlaź w większe gównno, z którym nie umiałby sobie sam poradzić. Jasne?

Wstałem.

- Nie ma sprawy. - Uwierzyłem mu, ponieważ chciałem uwierzyć. Nie spotyka się wielu ludzi, którzy robią dobre rzeczy dla innych. - Jedna z twoich dziewczyn mówiła, że wasi muzycy mają kłopoty.

- Tym się nie musisz martwić. Już się zajęliśmy tą sprawą. - przez chwilę wyglądał jak ta krwiożercza bestia, za którą go wzięłem na początku. - A jeśli jeszcze nie, to wkrótce będzie po kłopotcie. Możesz zabrać mój kufel do Cruncha?

Zabrałem oba.

?Karzeł burknął, kiedy podstawiłem mu je pod nos. Jak na starego - zwłaszcza na starego karła - Crunch był wyjątkowo, zdumiewająco uprzejmy.

Wychodząc na ulicę, spojrzałem na podium. I omal nie potknąłem się o własne nogi.

Do muzyków dołączył jeszcze jeden gość. Facet, którego nie spodziewałem się zobaczyć już

nigdy w życiu. Wytrzeszczył na mnie oczy. A ja na niego.

Nie przewyższał mnie wzrostem, a wagą tylko trochę, ale nie wzrost czyni człowieka. Cuchnęło od niego śmiercią, tak jak od Warczącego Psa nieskrępowaną higieną osobistą. Siał postrach, pojawiając się w zasięgu wzroku, nawet jeśli się uśmiechał. Nazywał się Crask i był jednym z głównych zbirów Chodo Contague'a. Żył z tego, że rozwalał ludzi. I lubił swoją pracę.

Przylapałem się na tym, że przystanąłem, żeby się lepiej przyjrzeć. On też nie spuszczał ze mnie wzroku. Każdy z nas zastanawiał się, co ten drugi tu u wszystkich diabłów robi. Kiedy wreszcie mózg odtajał mi nieco, nie miałem kłopotu, żeby go rozszyfrować. Był tu z powodu pobitych muzyków.

Stary Licks nie miał zezwolenia na działanie na tym terenie.

Będzie się miał z pyszna, jeśli go przydybią. Tym bardziej że podniósł łapę na muzyków z Połudwicy. Połudwica należała do Chodo. Nawet król nie wtyka tu nosa nieproszony.

Prawie dotarłem do drzwi, kiedy znów zostałem wdeptany w ziemię.

Dziewczyna wpadła do środka, kiedy już miałem rękę na klamce. Z jej reakcji wywnioskowałem, że muszę wyglądać jak upiór.

Była to ta sama dziewczyna, którą banda zbirów próbowała wywlec z knajpy Morleya. Ta sama, ó której Morley twierdzi, że jest córką Chodo. Stałem, wywaliłem gały, chyba się trochę obśliniłem, a ona powędrowała w kierunku Cruncha.

Gęba Craska skamieniała w maskę śmierci. Serce podeszło mi do gardła, ale to nie na mnie patrzył.

Dziewczyna zobaczyła go, przystanęła, wydała cichy okrzyk zaskoczenia, okręciła się na pięcie i kłusem ruszyła w stronę ulicy. Zamruczałem. Niech mnie, co za ten tego...

Crask przegalopował obok mnie, gdy wyszedłem na deszcz, patrząc, jak dziewczyna ulatuje w dal. Przyhamował.

- Co to miało być? - zapytałem.

- Co tu robisz, Garrett? - zapytał podejrzliwie. Cholernie podejrzliwie. Podejrzliwie, jakby był gotów łamać ręce i nogi z tej podejrzliwości.

- A co ty tu robisz? Myślałem, że za wielki z ciebie pan na deptanie po ulicach?

- Przyszła tu spotkać się z tobą?

- Co? - A to ci niespodzianka. - Uh- uh, gałazki przy sobie, bo połamię.

Crask był groźny, ale nie obawiałem się go przy starciu wręcz. Gdybyśmy zaczęli skakać sobie do oczu i walić się po ryjach, szansę byłyby mniej więcej wyrównane. Był straszny, ponieważ był mordercą. Inteligentnym mordercą. Jeśli postanowi cię sprzątnąć, to równie dobrze możesz zacząć odmawiać różaniec.

- Odwal się, Garrett, albo cię złączą znajdywać po całym mieście w małych porcyjkach.

- Nie wiedziałem, że masz kobietę. Kto to taki? - Szczerze mówiąc, sądziłem raczej, że coś go łączy z jego partnerem, Saddlerem.

- Co?

- Powiem ci to tylko ten jeden raz, Crask, i nie będę powtarzał. Nie znam tej dziewczyny. Widziałem ją już wcześniej. Raz. Weszła do knajpy Morleya Dotesa przedwczoraj wieczorem. W dwie minuty później wparowała za nią banda łobuzów i próbowała ją porwać. Ja, Morley i Saucerhead pokazaliśmy im, co myślimy o facetach, którzy w tak brutalny sposób podrywają dziewczyny. Zniknęła, zanim skończyliśmy z tamtymi. Początek i koniec opowieści. A teraz twoja kolej. Kim ona jest? Co się tak nagle w tobie gnój zagotował?

- Nie musisz wiedzieć. - Dziewczyna już zniknęła nam z oczu. Crask zmarszczył brwi, patrząc za.

nią. Był równie wściekły, co zaskoczony. Kupił moją historię, pewnie dlatego że w przeszłości też go nie okłamywałem. - Co ona robiła w knajpie Dotesa?

- Tu mnie masz. Nie powiedziała ani słowa. Weszła i wyglądała na przerażoną, usiadła sama, a potem wparowali ci faceci i wy wlekli ją na zewnątrz.

Burknął coś pod nosem.

- Nie wiedziałem o tym. Dzięki, Garrett. Odwdzięczę ci się. Powiedz Tharpe'owi, że nie jest zdrowo kręcić się z facetami, którzy próbują zaszkodzić grajkom.

- I tak miałem mu to zaproponować, kiedy cię tu zobaczyłem. - Ruszyłem przed siebie, planując znaleźć się w większej odległości od niego, zanim przyjdzie mu do głowy powspominać stare dzieje.

- Garrett. Cholera. - Tak?

- Jeśli znowu zobaczysz dziewczynę, daj znać. Chcielibyśmy wiedzieć.

- Jasne. Ale dlaczego? Kto to taki?

- Po prostu daj znać. - Wszedł do środka, nie odwracając się do mnie plecami.

Odszedłem, ciężko dysząc. Tego spotkania bałem się chyba bardziej, niż trzeba było. Może? A może ulica przed domem Hullara nie spodobała mu się jako scena mojego zejścia?

Pokój i harmonia rozpanoszyły się po całym domu. Nie miałem nic do roboty, więc objąłem się, od czasu do czasu podrzucając raport Hullarowi, i miałem na oku gromadkę Deana, kiedy zbierał ją na imprezki rehabilitacyjne. Nie do wiary, jaki jurny jest ten staruszek.

Wokół nie kręciły się żadne koty. Jeśli nie liczyć nieskutecznych szpil na temat mojego lenistwa, Dean nie zwracał mi głowy. Truposz zasnął, z głową pełną snów o Glorym Moncalledzie. Saucerhead zrezygnował z akcji organizowania grajków tuż przed tym, nim Morley doniósł mu, że i on także nie musi już znosić wizyt tego kadzidla w ludzkiej skórze, Licksa. Wyszedłem, zacząłem odwiedzać znajomych, postawiłem przyjaciółom kilka kolejek, odnowiłem kontakty, spędziłem nawet parę dni w browarze Weidera, śledząc złodzieja wśród jego pracowników. Jak zawsze, chciał, żebym przyszedł do niego na pełny etat. I jak zawsze, nie mogłem pokonać mojej niechęci do podjęcia normalnej pracy.

Niczyje życie długo nie pozostaje takie przyjemne i pełne relaksu. A zwłaszcza moje życie. Bogowie mają specjalną eskadrę

dręczycieli Garretta, których jedynym zajęciem jest zatruwanie mojej egzystencji.

Powinienem był zatem wiedzieć, że dobre czasy się skończyły, kiedy pewnego ranka wyszedłem na przebieżkę i stwierdziłem, że deszcze wróciły.

Siedziałem w biurze i męczyłem czaszkę, usiłując wykombinować takie liczby, które przekonałyby tych od podatków, że jestem na samym dnie bankructwa. Ktoś zaczął walić w drzwi. Jęknąłem. Była już prawie pora kolacji i Dean szykował mi piękną pieczeń z wszelkimi dodatkami, krwistą i delikatną, która będzie rozplływać się w ustach. Od samych zapachów ślinka ciekła mi po brodzie.

- Nie otwierać? - uprzejmie zapytał Dean.

- Otwórz. To pewnie Saucerhead. - Tharpe ostatnio dość często się tu kręcił. Jego flama odeszła i od tamtego czasu jakoś nie miał szczęścia. - Wystarczy i dla niego?

- Ledwie ledwie. - Saucerhead nigdy nie odmawia. - Nic nie zostanie.

- Kiedyś to z nim wyrównam. - Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu nie chce pan zostawić tego, co właśnie robi. - Podreptał do drzwi przy akompaniamencie kolejnej serii stukania. Komuś było cholernie spieszno.

Dean miał rację. Nie chciałem się ruszać. Nienawidzę samego pomysłu podatków. Co ja w ogóle kiedykolwiek dostałem od Korony? Plecak i zestaw broni, i pięcioletnią przygodę w strefie

wojennej. Plecak i broń musiałem oddać. Chcą mnie ograbić, żeby kolejny dzieciak dostał szansę obejrzenia syfu na dupie świata.

Otrząsnąłem się z weny twórczej, choć prawdę mówiąc i wszystko biorąc pod uwagę, lepiej by mi było siedzieć nad podatkami.

To nie był Saucerhead. Był to gość, którego nie spodziewałem się ujrzeć. Kapitan Block. Dean wprowadził go do mojego gabinetu. Block wyglądał na mocno sfatygowanego.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie burknąć:

- Co znowu?

Block rozsiadł się na krześle, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

- To samo co przedtem. Musisz ją zobaczyć, Garrett.

?- Słuchaj pan, kapitanie, raz już wybawiłem was z kłopotów. Czy to nie wystarczy? Dean gotuje kolację. Będzie gotowa za pół godziny- Tak mi też powiedział. I mówił, że rozlicza pan podatki. - Właśnie.

- Chyba nie należy pan do facetów, którzy zapomnieliby wstawić do zeznania sowitą zapłatę od Straży, no nie?

Kurde, właśnie, że należę.

- Dlaczego?

- Jednym z naszych zadań jest badanie przypuszczalnych oszustw podatkowych. Nie mamy tego wiele, ale kiedy pojawi się raport, musimy działać tak, żeby chronić nasze tyłki.

- Idę po kapelusz. Jak daleko musimy iść?

- Nie tak daleko. - Uśmiechnął się blado. - Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. I jestem pewien, że tym razem pana kiesa też na tym nie ucierpi.

W uśmiechu nie było ani cienia radości. Wyglądał na znacznie bardziej zdenerwowanego niż ostatnim razem. Co go teraz trzymało za tłuste gardło?

Z pewnością coś raczej politycznie bolesnego. Wychodząc na ulicę i spotykając się z ludźmi, dowiedziałem się, że Block zmienił schwywanie wydechacza motylków w wielką imprezę. W cieniu świata nagle się zagotowało. Książę Rupert popiera Westmana Blocka. Block ma ukryte zasoby intelektualne. Wszyscy rycerze ulicy nagle poczuli się nieswojo.

Upewniłem się, że jestem stosownie wyposażony na duże kłopoty, choćby z powodu towarzystwa, w jakim się obracam. Kłopoty idą za Blockiem krok w krok.

Idąc, rozmawialiśmy o Kantardzie. Glory Mooncalled porzucił próby przejęcia Quarache, ale pozbawił Venagetich możliwości wypuszczania się daleko na pustynię. Wiedziałem też o Marines, którzy zajęli się odbiciem Fuli Harbor. Operacja już się zaczęła. Miałem mieszane uczucia. Powiadają, że kiedy robią z ciebie Marinę, pozostajesz nim na zawsze.

Im więcej rozmawialiśmy, tym bardziej docierało do mnie, że Block jest dokładnie i zupełnie przerażony. Niezależnie od natury jego problemu będzie to z pewnością coś, co mi się nie spodoba.

?Teraz i ja byłem przerażony.

- Identyczna - szepnąłem, wlepiając wzrok w wypatroszoną, nagą dziewczynę. Wisiała w alejce za rzędem opuszczonych kamienic na południowym krańcu miasta. Kamienice te jeszcze kilka godzin temu zajmowały bandy ludzi- szcurków. Teraz nie pozostał po nich nawet smród.

W deszczu i złym oświetleniu dziewczyna wyglądała na bliźniaczkę tamtej, którą Block pokazał mi w Bustee.

- To niemożliwe, Block, przecież ja ich załatwiłem. - Musiałem wierzyć w to, że ich dopadłem. Nie jestem stworzony do tego, żeby oswajać się z myślą o załatwieniu nie tego zbrodniarza.

Block tak śmiertelnie bał się o swój zadek, że nie zauważył, co mnie gnębi.

- Dopadłeś właściwego faceta, Garrett. Nie możesz w to wątpić ani przez chwilę. Po otrzymaniu zezwolenia od księcia rozłożyliśmy dom na cegły. Nie uwierzyłbyś, co znaleźliśmy. Zachowywali po kawałku każdej ofiary. W piwnicy były trupy, dziewczyny, ale nie w tym typie. Podejrzewam, że się na nich wprawiali, zanim ruszyli na serio.

Spoglądałem na nowe ciało, słuchałem brzęczenia much.

- Było coś jeszcze... - opowiedziałem mu o skradzionym ubraniu i nożach. Odkryłem, że to nie Morley wziął je sobie na pamiątkę. Nie wspominałem o Morleyu. Blockowi by się to nie 'spodobało.

- Nie mówiłeś o tym wcześniej, Garrett.

- Wcześniej myślałem, że sprawa jest zamknięta. Ale...

- No właśnie. Ale. Elvis! Podbiegł do nas Strażnik.

- Tak, kapitanie?

- Pokaż panu Garrettowi, co znaleźliśmy.

Elvis miał w kieszeni peleryny przeciwdeszczowej złożoną kartkę papieru. W środku znajdowały się trzy zielone motyle. Zadrżałem, jakby deszcz zmienił się w lód.

- Ile czasu upłynęło od poprzedniego morderstwa?

- Dwanaście dni. Ta pojawiła się dokładnie o czasie.

- Obawiałem się, że pan to powie. - Wiedziałem, że to powie. Nie wiem, po co w ogóle pytałem. Może miałem nadzieję, że nie będę miał racji.

- Morderca jest martwy, ale morderstwa następują. Jak to możliwe, Garrett? - Teraz zrozumiałem, dlaczego Block był tak wstrząśnięty. Nie chodziło tu tylko o wystawioną na szwank karierę.

- Nie wiem. Co się stało z ciałem starego?

- Zostało poddane kremacji. Widziałem, jak obaj poszli do pieca.

- A co się stało z tym starym z Bustee? Udało wam się coś z niego wyciągnąć?

Block spojrzał, nieco zakłopotany. .

- Umarł.

- Co?

- Za bardzo się staraliśmy. Daliśmy mu za dużo wszystkiego. Zażarł się na śmierć.

Pokręciłem głową. Takie rzeczy zdarzają się tylko mnie.

- Sprawdziliście dom Hamiltonów, kiedy znaleźliście tę tutaj?

- Dostałem raport, zanim jeszcze po pana poszedłem. Nic. Żadnego powiązania.

- A co z powozem? •

- Nie ruszony. Koła są skute łańcuchami, więc nie można go ruszyć. A konie sprzedano. Nie były z tego majątku. Też je ukradziono.

- Wiadomo, co to za dziewczyna?

- Nie. Ale niedługo się dowiemy. To na pewno ktoś.

Co znaczyło, że jest krewną kogoś ważnego. Żadna z tych dziewczyn nie była jeszcze ważną osobą sama z siebie, ale wszystkie pochodziły z Góry.

- Jeśli wzorzec się nie zmienił...

Byłem przestraszony i zmieszany. Powiedziałem Blockowi, że jestem przestraszony i zmieszany i nie wiem, co dalej robić.

- Lepiej porozmawiajmy z Truposzem, zanim coś postanowimy. Rozmawiał z tymi wszystkimi ludźmi.

Twarz Blocka rozpozodziła się.

- Jasne. Jeśli jest jakiś punkt zaczepienia, on powinien go znać. Przypomniałem sobie moją pieczeń. Te cudowną, kosztowną pieczeń, na którą ślinka ciekła mi od wielu godzin. Już nie byłem głodny.

- Pewnie teraz to nie ma żadnego znaczenia - mruknąłem - ale czy wiadomo, kim był ten facet, którego złapaliśmy?

- Ten stary?

Nie, dupku. Pierwszy koń w zaprzęgu...

- Tak.

Block rozejrzał się i szepnął.

- Idraca Matiston. •

- Au! Ale się wystraszyłem! Kto to jest... był... Idraca Matiston?

- Może pan wrzeszczeć ciszej?

- Z tego wnoszę, że to ktoś. I do tego taki duży ktoś, że nie chce pan, żeby się rozniosło.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

Po chwili wyszeptał:

- Idraca Matiston, wicehrabia Nettles. Kochanek lady Hamilton. Cieszył się nieco dziwną reputacją, dlatego zwinęliśmy sprawę po cichu i szybko, a do opinii publicznej podano, że zmarł z powodu komplikacji zdrowotnych. Cały czas kręcił się w domu Hamiltonów i nikt niczego nie podejrzewał, ponieważ robił to zawsze. Teraz, kiedy wiem to, co wiem, wrócę i dokładniej przyjrzę się wypadkowi lady Hamilton, jeśli książę Rupert mi pozwoli.

- Wciąż nie wiem, o czym pan mówi. Nie jestem na bieżąco w sprawach skandali klasy władców. Sądzę zresztą, że teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Nie, nie ma. Mamy rozkaz, aby zapomnieć o tym epizodzie.

Chętnie zapomniałbym o wszystkim, ale zmieniłem zdanie, kiedy spojrzałem na dziewczynę bez wewnętrznego. Zamknąłem się, nie ciągnąłem Blocka za język, ale zacząłem się zastanawiać, co to za kobieta, która bierze sobie za kochanka starucha czkającego zielonymi motylami.

?- Twój sen się spełnił - powiedziałem Deanowi, kiedy nas wpuścił. - Znów pracuje. Lepiej bądź ostrożniejszy ze swoimi życzeniami.

- Aż tak źle?

- Gorzej. Idź obudzić Truposza.

- A co z kolacją? Wszystko już jest przygotowane. - Prawie płakał. Taki był dumny ze swojego gotowania.

- Gdybyś oglądał to, co ja, też byś stracił apetyt

- Och. No to lepiej wszystko wyjmę z pieca i odstawię. - W ten sposób uniknął kontaktu z Truposzem. Ma prawdziwy talent do wywijania się z różnych sytuacji, bo zawsze musi zrobić coś, co jest w danej chwili ważniejsze.

- Może trzeba będzie rozpaść pod nim ogień - poinformowałem Blocka. - Śpi chyba dopiero od tygodnia. Nieraz te ataki trwają przez całe miesiące. Dean, skoro nie chcesz zająć się Jego Kościstością, ruszaj i zawołaj Morleya, to go zajmie. - W knajpie Morleya Dean czuł się jeszcze gorzej niż w pokoju Truposza.

Dzielny kapitan Block zniósł nasze młodzieńcze przepychanki bez komentarzy. Może jednak były w nim ślady ludzkiej istoty.

Może uda mi się nawet polubić tego faceta, razem z jego niekompetencją i całą resztą.

Poszedłem pierwszy, by przetrzeć szlak.

Nie byłem w pokoju Truposza od dawna. Na długo przed jego zaśnięciem. Sprawy uległy zmianie.

- Bogowie! - zaklął Block.

Wydałem nieartykułowany dźwięk, coś w rodzaju skrzeknięcia.

Pokój był pełen robactwa. Wielkie robale, małe robale, i to w takich ilościach, że gdyby się skrzyknęły, wyniosłyby Truposza razem z fotelem. A ja wiedziałem, kogo za to winić.

Thusty sztywniak dogadał się za moimi plecami z Saucerheadem. Główne pytanie brzmiało: jak to się stało, że ta cała gromada biegających i pełzających paskudztw nie przedostała się do reszty domu i nie zdradziła jego planu?

- Mam nadzieję, że śnisz przyjemne sny o Kantardzie - wymamrotałem. Pomimo wszelkich starań chityna aż chrupała mi pod butami.

- Co to jest? - zapytał Block.

- Zbiera robactwo. Wierz pan lub nie. Nie zawraca sobie głowy pozbywaniem się ich, kiedy już skończy zabawę. Teraz znowu będę musiał użyć świec siarkowych. Nienawidzę tego robić. - Ciekaw byłem, czy Dean też jest w to zamieszany. To by wyjaśniło nieobecność kota. Żaden kot nie przeżyje starannego okadzania świecami siarkowymi.

Zacząłem zastanawiać się, czy siebie też nie okadzić. Minęło już pół godziny.

- Umarł? - dopytywał się Block. - To znaczy na dobre? Jego Kościstość nie kiwnął nawet umysłowym palcem.

- Nie. Tylko śpi. Naprawdę. Wybiera sobie na drzemkę zawsze taki moment, kiedy jest to jak najbardziej niepożądane.

- Jakim cudem?

- Mnie się takie rzeczy ciągle zdarzają. - Wzruszyłem ramionami.

- Co pan wtedy robi?

- Hałasuję, wrzeszczę, grożę, że rozpalę pod nim ognisko. Krzyczę, klnę i biegam w kółko.

- A jeśli to nie pomoże?

- Wtedy radzę sobie sam. - Zacząłem rozgrzewkę przed krzykiem i biegiem w kółko. Wkrótce wyczerpałem cały zapas wrzasków, przekleństw i grózb.

- Block zaczął zwijać kulki ze śmieci z kosza, którego nikt nie opróżniał przez całe ostatnie stulecie. Kulki wrzucał pod fotel Truposza. Obserwowałem go.

- Co pan robi? - Tam była moja forsa. Miałem nadzieję, że tego nie zauważył.

- Rozpalę ogień, o którym pan wspominał.

- Hej, jednak masz pan jaja. - Często o tym mówiłem, ale nigdy nie wprowadzałem moich grózb w czyn. Oparłem się o framugę i obserwowałem. To się robiło całkiem ciekawe.

Robale zaczęły się denerwować - bardziej niż to się zwykle dzieje, kiedy ktoś po nich depcze. Zacząłem podejrzewać, że mój partner nie jest tak mocno pogrążony we śnie, jak mi się początkowo wydawało.

Block złapał lampę.

Kurde. Chyba naprawdę zamierza to zrobić. Do końca. Za żadne skarby świata nie przerwę mu zabawy.

- Mam nadzieję, że ogień zwróci jego uwagę, zanim stanie się na tyle duży, żeby zagrozić całemu domowi. Po czterystu latach wysechł dość dokładnie. Słyszał pan, że kiedy Dewife napadł na Polkę, nie mogli znaleźć dość drewna, żeby opalić swoje gorzelnie - w Polkcie nie ma drzew - wtedy wyciągnęli z dawnych grobów polktańskich stare mumie i użyli ich na podpałkę?

Block znieruchomiał.

- Naprawdę?

Na gębie miał wielkiego, głupiego marsa.

- Naprawdę. Ciało przez kilkaset lat wysycha i później dobrze się pali. Często było to doskonałym pretekstem, żeby napić się ukochanego trunku.

- Och. - Block nie interesował się kuriozami. Właściwie to się zastanawiał. Co to miało mieć wspólnego z pijanymi barbarzyńskimi złodziejami grobów w dalekiej krainie i do tego sto lat temu?

Musiałem się zdziwić. Jego zachowanie podważało trochę wszystkie moje ukochane opinie na temat Straży. Może jednak się myliłem - Może nie byli leniwi do szpiku kości i zachłanni jak hieny. Może kilku nawet miało dobre intencje - jak Block, w większości przypadków - ale byli zbyt głupi, żeby dać sobie radę z pracą.

Block kucnął, żeby wcisnąć lampę pod fotel Truposza.

Odwołaj go, Garrett.

- On żyje! Niech pan zaczeka, kapitanie. Zaczynam uzyskiwać pewne wyniki.

Garrett!

- Zajrzyj no w jedną lub dwie głowy, Kupo Gnatów. Mamy problem.

Block zamarł z płomieniem o stopę od kosza na śmieci. Patrzył o włos powyżej mojej forsy.

Nazwałem cię przekleństwem moich starych lat, Garrett. Byłem zbyt łagodny. Wiele razy miałem ochotę zakończyć naszą współpracę. Powinienem być się na to zdecydować. Jesteś cham, bezmyślny drań i niechluj. Chroni cię tylko pewien ordynarny urok

- Moja mama mnie kochała. Ale co ona wiedziała, no nie? Mógłbym spędzić całe godziny na wymienianiu twoich wad, ale teraz nie czas na wyrzuty.

- Słyszałem je już tyle razy, że właściwie znam je na pamięć.

Doskonale. Masz pewne cnoty, które kompensują niektóre wady.

Po raz pierwszy słyszałem to od niego. Tinnie, Maya i ze dwanaście innych pań wspominały o rzadkich cnotach i znacznie mniej rzadkich wadach, ale...

Włącznie z wszechogarniającym lenistwem. Jednakże, tym razem miałaś rację, że mi przeszkodziłeś.

- Bogowie, możecie mnie zabrać do nieba. Wszystko już widziałem.

Twoje maniery są żałosne. Mógłbyś znaleźć bardziej cywilizowane środki w celu ściągnięcia mojej uwagi. Ale twoja ocena była prawidłowa. Nie poradzisz sobie z tym bez mojej pomocy.

Uroczy typ, nie? Dałem znak Blockowi, żeby się wycofał.

- Już nie śpi. - Lżej mi się oddychało, kiedy Strażnik stał dalej od rodowej fortuny.

Obawiałem się, że do tego dojdzie. Znaki były tam przez cały czas. Ale ucieszyłem się z twojego sukcesu na Górze, który przyszedł tak szybko i pozornie był tak ostateczny, że pozwoliłem się zwieść. Chciałem, żeby to była prawda. Tak. Nawet mistrzowie

realizmu, tacy jak ja, czasem padają ofiarą pobożnych życzeń. Umysł i serce w naturalny sposób wzdragają się przed horrorem.

Krzycz o swych porażkach głośno, długo, pokornie i z pewnością zdołasz z nich uczynić cnotę. Niech wygląda, że jesteś całkiem normalnym facetem.

- Jak to się stało, że mam wrażenie, iż w ogóle nie spałeś, tylko sobie ćwiczyłeś? Daj sobie spokój z tą taną komedią, Chichotku. Dziewczyny umierają dokładnie zgodnie z planem. Nie powinny. Rozmawiałeś ze wszystkimi, którzy mieli jakąkolwiek styczność z tamtymi. Doszedłeś do czegoś? Daj nam choć trochę informacji. Powiedz, jak na dobre zakończyć tę sprawę.

To może się w ogóle nie udać. Nie w takim sensie, jak sadzisz. Jeśli jest tak, jak myślałem w pierwszej chwili, kapitanie Block, to muszę wiedzieć wszystko o tym człowieku, którego zabraliście z Bustee. Garrett, chcę też wiedzieć wszystko o tych rytualnych nożach.

Poczułem, jak grzebie mi w umyśle, głębiej niż zwykle. Prawdopodobnie jednocześnie robił to samo z Blockiem. Oczywiście Blocka zrobiły się ogromne. W moim przypadku wiedziałem, że szuka rzeczy, których sam nie spostrzegłem na miejscu ostatniego morderstwa.

Ani to wesołe, ani przyjemne, kiedy ktoś ci tak grzebie w mózgu. Ja tego nienawidzę. Wam też by się nie spodobało. Są tam rzeczy, których nikt nie powinien wiedzieć. Ale i tak nie odciąłem mu dostępu.

Mogę to zrobić - jeśli się bardzo postaram.

Zaskoczył mnie. - ...

Motyle?

Tak. No i co?

Już trzy razy natknęliśmy się na motyle... Całkiem nowy zwrot w sprawie. Choć do tej pory nikt

nie wspominał o motylach w związku z żadną ofiarą, której nie widziałeś. Czuję, że mamy do czynienia z jednym mordercą.

- Nie mów! - Nigdy sobie nie wyobrażałem, że cała grupa facetów nagle dostanie idealnie takiego samego świra. Hej, ale by było fajnie, gdybym sam sobie znalazł ładną, młodą brunetkę, powiesił ją za nogi, spuścił krew i wybebeszył.

Rzeczywiście, Garrett. Absolutnie. Jednym z bardziej interesujących faktów, jakie wyłoniły się po mojej serii przesłuchań, było to, że jasnowłosa młoda dama, Tania Fahkien, nie była naturalną blondynką. W istocie jej włosy stały się jasne dopiero na kilka godzin przed śmiercią.

A czy w ogóle istnieją naturalne blondynki? O ile wiem, jest ich raczej niewiele.

No właśnie. Wydaje mi się, że koloryt ofiar jest godzien szczególnej uwagi.

Nawet Block do tego doszedł. Powiedziałem mu to.

Oczywiście. Ale zapomniał o tym w naszym szaleństwie radości ze zniszczenia mordercy. Mam rację?

- Szczegóły wydają się niezbyt ważne, jeśli przyszpilisz zbrodniarza i wszystko sobie poukładasz jak należy. Mówisz, że tego się obawiałeś. Czy miałeś jakikolwiek pomysł na to, co się dzieje, zanim wszystko popsułem swoim hitem szczęścia, ale nie tak szczęśliwym, jak mi się zdawało.

Właśnie. Jak podejrzewałeś, ten typ morderstwa już się wcześniej zdarzał. Wiem o trzech poprzednich seriach, choć nie znam żadnych szczegółów na temat dwóch pierwszych. Miały one miejsce w czasach, kiedy znajdowałem się wśród wędrowców, ludzi o słabostkach i tęsknotach interesujących - w najlepszym przypadku - tylko z punktu widzenia akademickiego. Typy ofiar i metody zabójstw były podobne, ale, o ile pamiętam, nie było tam żadnych motyli.

- Może nikt nie zauważył? Nie widzisz tego, czego nie szukasz. - Jednak jeden z ludzi Blocka je zauważył.

Może. Nie było powodu szukać motyli. Chociaż, według mojego rozeznania, nie byłem zainteresowany tymi przypadkami inaczej, niż jako behawioralnymi ciekawostkami pośród niemytych, ignoranckich, opóźnionych w rozwoju barbarzyńców, istot gotowych opalać swe warzelnie szczątkami własnych zmarłych.

Nie lubi o tym wspominać.

- W porządku. Wiesz coś. Powiedziałeś, że się tego obawiasz. Może przejdiesz do sedna sprawy, zanim stracimy wszystkie brunetki w mieście? Przyznaję, że mam osobistą skłonność do rudy, ale brunetki są cennym zasobem same w sobie.

Horrory z dawnych czasów, Garrett

- To już się zdarzało. Prawda? Zaskocz mnie jakąś niespodzianką. Nakarm faktami.

Nigdy nie byłem zaangażowany w poprzednie cykle. Były jednak wystarczająco dramatyczne, żeby zapadły mi w pamięć, choć niewiele szczegółów okazało się pożytecznymi.

- Widzę to, niestety. - Poczulem rozpacz. A on się z tego cieszył. - A może byś tak sobie przypomniał wszystko, co pamiętasz?

Westchnął w myśli, ale dzielnie zapuścił się na nowe terytoria, ignorując moją niecierpliwość.

Wtedy, podobnie jak teraz, ofiary miały zbliżone cechy fizyczne. Kobiety, młode, atrakcyjne według ludzkich norm, o podobnych rysach twarzy. W istocie podobieństwo twarzy wydawało się nawet ważniejsze od wzrostu i wagi ciała.

Przez myśl przemknęły mi twarze wielu kobiet, których wygląd odtwarzał z wywiadów i dawniejszych wspomnień. Nie były spokrewnione, a jednak mogły ująć za siostry. Wszystkie twarze przypominały twarz córki Chodo - choć może nie były tak blade - a włosy dziewczyny miały ułożone tak jak ona wtedy, kiedy wpadłem na nią u Hullara...

Hej. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że wtedy miała inną fryzurę. Włosy, których pełno na całej głowie i zwisają aż na ramiona, a nie ciasny kask, który widziałem, gdy była u Morleya.

Fryzura może być kluczem, zgodził się Truposz i pokazał mi kilka różnych uczesań z dawnych czasów. Twarze i postaci pozostawały zamglone, ale fryzury były takie same jak w przypadku córki Chodo u Hullera. Wszystkie niedawno zmarłe miały ogromne czapy włosów.

- Może chodzi o jakiegoś nieszczęśliwego fryzjera - podsunął Block. - Wędruje przez korytarze historii, eliminując to co nieeleganckie i niemodne. - Ten gość miał jednak poczucie humoru. Dziwne, bo dziwne, ale zawsze.

- To mi się zaczyna wydawać trochę upiorne, Śmieszku - zauważyłem. Chyba nie byłem osamotniony w tej opinii. Pomimo prób rozładowania napięcia Block był całkiem zielony na stykach.

.Są w tym czary, Garrett. Ponure, ohydne, dawne i bardzo złe czary. Nekromancja w najmroczniejszej postaci. Martwi ludzie, którzy poszli do krematorium, nie wstają z popiołów, aby wrócić do popełniania okropności.

- Naprawdę? - Ale geniusz, niech go! - Do licha, mnie się też tak zdawało.

Nie jestem detektywem na darmo. Dedukcja, czysta dedukcja. A może indukcja? Nigdy nie umiałem ich odróżnić.

W grę wchodzi kłątwa. Jeśli ta seria rzeczywiście jest powiązana z poprzednimi, to bardzo potężna kłątwa. W tamtych przypadkach, kiedy winni zostali skazani, a wyroki wykonane, serie morderstw ustawały.

- Ale później rozpoczynały się od nowa.

W końcu tak. Chyba tak. Po wielu pokoleniach.

- I musieli zacząć znowu akurat teraz - wtrącił Block.

Po raz pierwszy winni zostali pojmani bardzo szybko. Po raz pierwszy zostali zabici bez procesu i egzekucji. Po raz pierwszy winny został spalony po śmierci.

- A co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytał Block. Siedział już we wszystkim po uszy. Właściwie znów zbliżył się z lampą tak, jakby miał zamiar podłożyć ogień pod Truposza tylko po to, żeby zmusić go do szybszego mówienia.

Nie był aż tak głupi, jak udawał.

O ile sobie przypominam, poprzedni mordercy zostali schwytani, osądzeni, skazani i powieszani. Dwóch powieszono. Pierwszemu chyba ścięli głowę. Obcinanie głowy było wówczas w modzie. W każdym przypadku szczątki składano do nie oznakowanego grobu.

Zbrodniarzy, na których wykonano wyrok, chowano w nie oznaczonych grobach. To stanowiło część kary.

- I co? - zapytałem.

- No i? - zapytał Block

Garrett, Garrett, czy naprawdę musisz tak uparcie być tępy? Dałem ci wszystko, czego potrzebujesz. Użyj mózgu do czegoś więcej niż jako wypełnienie, które nie pozwala, żeby uszy stuknęły ci jedno o drugie.

To samo stare wyzwanie. Użyć mojego danego mi przez bogów rozumu i talentu, żeby samemu na to wpaść. Nie, on się wcale nie wygłupia. Wydaje mu się, że mnie wychowuje.

Block chwycił lampę i ruszył w stronę fotela Truposza. Odgoniłem go machnięciem ręki.

- On ma racje. W pewnym sensie. Dał nam wszystko to, co jest potrzebne. Jeśli będzie go pan naciskał, zacznie się upierać. To przez jego dumę. Pozwoli się panu spalić razem z domem, a nic nie powie.

Block gapił się na mnie przez chwilę, po czym wpadł na to, że mówię poważnie.

- Pieprzona wyrocznia, co? - Odstawił lampę na miejsce. - No to o czym on mówił? Z której strony należy zaatakować?

Nie miałem zielonego, ani w żadnym innym kolorze... Wiedziałem tylko, że Truposz gdzieś coś zobaczył, a jeśli zobaczył, to znaczy, że to coś jest tuż przed moim nosem.

Oczywiście, gdy się nie siedzi w samym środku tego wszystkiego, będąc wstrząśniętym, mając w nozdrzach zapach śmierci, cierpienie i przerażenie dziewczyny, to wszystko wydaje się bardzo łatwe. Na pewno powtarzacie sobie teraz, że Garrett jest niewiarygodnie, tragicznie tępy.

?Już to prawie miałem. Właśnie zacząłem rozciągać usta w odkrywczym uśmiechu. Podświadomość podpowiadała mi, że byłem grzeczny i teraz mogę się spodziewać nagrody. Ale akurat w tej chwili ktoś zaczął walić w drzwi frontowe. Drzwi frontowe są przekleństwem mojego życia. Może je zamurować? Wymykać się i wracać drzwiami dla służby? Jeśli jakaś zaraza pocałuje zimną cegłę, czy będzie nalegała, żeby wleźć mi na głowę?

Straciłem to, cokolwiek miało zamiar pojawić się w moim umyśle. Spojrzałem na Blocka. Chyba miał problemy z przypomnieniem sobie, jak się pisze jego własne nazwisko. Nie pomoże mi. Podreptałem do drzwi, wyjrzałem przez judasza. Gapili się na mnie Morley i Dean. Miałem ochotę ich tak zostawić, ale Morley należał do ludzi, którzy przegryzą się przez drzwi, jeśli mają choć cień podejrzenia, że nie chce się im otworzyć. Poza tym akurat on nie zasługiwał na pozostawienie na deszczu. A z kolei nie wiem, jak mógłbym go wpuścić, nie wpuszczając Deana. Otworzyłem więc drzwi i pozwoliłem, żeby ten cały tłum wszedł z niewdzięcznymi komentarzami na ustach, ile też czasu może komuś zajmować otworzenie jednych drzwi.

Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że powinienem sprzedać mój dom za znacznie większą cenę niż ta, którą zapłaciłem za te ruderę. Mógłbym przenieść się gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, znaleźć sobie prawdziwą robotę, odwalić dziesięć czy dwanaście godzin dziennie i nie przejmować się niczym przez całą resztę czasu. A ten, kto kupi mój dom, mógłby się cieszyć tym, co po sobie zostawiłem. Mógłbym uczynić obiekt sprzedaży jeszcze bardziej atrakcyjnym, oferując za darmo zawartość domu. Caveat emptor. Żegnaj, Deanku. Żegnaj, Truposzku!

- Skoro mnie tu przywlokłeś, to lepiej, żebyś mnie czymś zainteresował - zauważył Morley. Ani mu się śniło zapytać o moje zdrowie. Ale od czegoż są przyjaciele, jeśli nie od tego, żebyśmy się czuli nędzni i niekochani? - Mam randkę...

- Doprawdy? - wypróbowałem na nim wyraz zapożyczony od Truposza. - Przypominasz sobie może pewnego trupa w pewnej powozowni na pewnej Górze, nie tak dawno temu? Związanego z pewną serią zdecydowanie nieprzyjemnych morderstw?

- Tak nieprzyjemnych, jak marnowanie talentu wysokiej klasy podrywacza?

- Pewnie dla osób mniej na to zasługujących niż ty czy ja, ale tak. Chodzi o gościa, z którym mieliśmy przyjemność pewnej dość istotnej nocy. - Po co my to robimy? Ja zacząłem i nie wiedziałem, a Dean był świadkiem każdego mojego słowa. Co mnie jednak obchodzi, co sobie myśli Dean? Facet lubi koty. Jest coś kompletnie zбочzonego w facecie, który lubi koty. Mam gdzieś jego opinie.

- Co z nim?

- A to z nim, że dżentelmen, który tej nocy raczył opuścić ten padół łez, trafił wprawdzie do miejskiego krematorium, ale nie porzucił swojego hobby.

- Co ty pieprzysz? - Morley, mimo szczerych chęci, nie mógł utrzymać fasonu..

- Było następne morderstwo. Takie samo jak poprzednie. Dokładnie o czasie. Jeszcze nie znamy tożsamości dziewczyny, ale wkrótce się dowiemy. - Głową wskazałem pokój Truposza. - Mamy

urzędowe towarzystwo. Truposz twierdzi, że tu chodzi o przekleństwo. O czary.

- Nie! Serio?

- Nie musisz przybierać tego tonu. Dean! Masz robotę. Chcesz się tu kręcić dwadzieścia sześć godzin na dobę, to lepiej...

Może i miał siedemdziesiątkę, ale lata nie spowolniły go ani o jotę. Wystawił jęzor, jakby był sześciolatkiem, i gładziutko jak po lodzie ruszył w stronę kuchni, aż mu się dymiło spod obcasów. Kiedy wiał, opowiadałem właśnie Morleyowi o moim zamiarze sprzedania domu z całym dobrodziejstwem inwentarza każdemu, kto będzie miał parę miedziaków do zainwestowania. Nie rzucił się na tę okazję, a na Deanie ta groźba także nie zrobiła wrażenia. Muszę spędzać więcej czasu na ulicy i znów nauczyć się, jak być wrednym.

Dean podczas biegu do kuchni przegonił siedmioletnie szarańcze. Uczciłem nową erę, wpychając Morleya do mojego gabinetu. Morley, jako półelf i gość zaznajomiony ze wszystkimi czarodziejskimi i magicznymi sprawami, przeszedł wprost do sedna sprawy i natychmiast wpadł na to, co mnie nękało od chwili, kiedy Truposz powiedział, że wiem już wszystko co trzeba.

- Facet, którego załatwiłeś, był nagi, gdy przyszedłeś tam z kapitanem Straży. Ludzie chowani w tamtych czasach wkładani byli do grobu ze wszystkim, co mieli na sobie w chwili egzekucji. To znaczy ze wszystkim, co mieli na sobie w chwili schwytania. Kluczem musi być ubranie albo coś innego, co stary miał na sobie. Amulet. Biżuteria. Coś, co zabrał ktoś, kto się zakradł do powozowni i rozebrał ciało.

- Daj spokój. - Doszedłem do tego, zanim jeszcze dotarł do tego miejsca, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nie sam gość był przeklęty, lecz coś, co miał przy sobie. Może jakieś noże?

Zadrzałem. Zadygotałem. Zrobiło mi się diabelnie zimno. Ponura sprawa.

Będę musiał znowu połaźić. Cholernie dużo tego łażenia. Będę musiał przekopać wszystkie rejestry, sięgające czasów imperialnych, żeby sprawdzić, co bandyci mieli ze sobą wspólnego. Jaka część ubrania, dekoracja, albo cokolwiek innego, może nieść ze sobą klątwę tak straszliwą, że każe mężczyźnie marnować damy, które można by przecież pozostawić innemu losowi, co prawda- nieraz gorszemu od śmierci.

Dziewczyny, czy to naprawdę jest gorsze od śmierci?

Sprawa nabrała, jeśli nie tempa, to przynajmniej rytmu. Powinienem był przewidzieć, co się stanie, kiedy spróbuje zobaczyć się z Blockiem i Truposzem. Gwarantowana sprawa.

Ktoś zaczął walić w drzwi.

- Trzech ludzi z nożami - mruknąłem, idąc w tamtą stronę. Dean oświadczył, że się nie może ruszyć, nim jeszcze przestali stukać.

Wyjrzałem przez judasza.

- Chcę, żeby to było trzech ludzi z nożami. - Miałem już zamiar udawać, że nikogo nie ma w domu, ale Warczący Pies nie dałby się nabrać. Bywał tu już dość często, żeby wiedzieć o naszej mrocznej tajemnicy: w tym domu zawsze ktoś jest.

- Uhm? - Otworzyłem drzwi.

- To już ponad tydzień, Garrett. Nie byłeś po mój raport. - Jak zwykle wszedł w ślad za aromatyczną forpocztą, ociekając wodą. Wygrzebał z kieszeni ostatni raport.

- Spisujesz historię świata?

- A co mam innego do roboty? Nie przestaje padać. Nie lubię być mokry.

- Zauważyłem. - Eh?

- Nic. Nic. To tylko klaustrofobia. Może powinieneś popracować nad przemówieniami? Nie będzie padać wiecznie.

- Nie, tylko codziennie przez cały dzień. Zauważyłeś? Przez cały dzień nic innego, tylko sobie leje. Jak ta pogoda mogła się aż tak zepsuć, co, Garrett?

Pomyślałem, że powinienem zrobić małą aluzję do Kantardu i strażników burzy, ale obawiałem się, że może zacząć opowiadać jakąś kolejną zwariowaną teorię.

- Myślałby kto, że sami bogowie nie chcą, żebym głosił prawdę.

- Pewnie nawet bardziej niż większość śmiertelników - odparłem i dałem spokój, ponieważ nie miałem i tak szansy powiedzieć ani słowa więcej.

Warczący Pies zmarł. Oczy zrobiły mu się ogromne, oddech urywany. Wyrzucił w górę jedną rękę, skręcając palce w znak przeciw złemu urokowi.

- Gah! Gah! Gah! - wrzasnął, cofając się do drzwi. - To on! - wyskrzecztał. - Garrett! To on!

On, to znaczy Kapitan Block, który stał w drzwiach pokoju Truposza z szeroko otwartą gębą. Kiedy się obejrzałem na Amato, zobaczyłem tylko zamykające się drzwi.

- Gah! Gah! - zawołałem, robiąc sobie z palcowi rogi. - A co to miało znaczyć?

- Co tu robi Amato? - zdziwił się Block.

- On i Truposz to starzy kumple. Spotykają się, żeby wymyślać opowieści o tajnych władcach świata. Ciekawe, jak oni się dogadują? A pan? Skąd pan zna Warczącego Psa?

Policzek Blocka zadrżał. Kapitan wyglądał tak, jakby sam nie wiedział, na czym stoi.

- W czasie mojej pracy jako pionek w rękach ukrytych manipulatorów, marionetkarzy, którzy pociągają za sznurki sędziów i funkcjonariuszy, zmuszony byłem ograniczyć wolność pana Amato.

- To pan go aresztował? - Roześmiałem się.

- Nie aresztowałem go, Garrett Cokolwiek on twierdzi na ten temat. Poprosiłem tylko, żeby przyszedł porozmawiać z facetem, który poczuł się urażony czymś, co Amato powiedział. Nic by mu nie było, gdyby potrafił utrzymać gębę na kłódkę przez pięć minut. Ale on po prostu nie potrafi się oprzeć, kiedy może mieć najlepszych słuchaczy, jakich widział w życiu. W efekcie musiałem zabrać go i postawić przed magistratem pod zarzutem zniesławienia. Tam też nie przestał kłapać jadaczką. Donner nie ma poczucia humoru. Nie uważa Warczącego Psa za zabawną postać z ulicy. Im bardziej go przyciskał, tym bardziej Amato odszczekiwał. Wreszcie się wkurzył i wsadził go na pięćdziesiąt pięć dni za obrazę sądu. I wszystko to wina tego durnia. Nigdy w życiu nie słyszałeś takiego steku bzdur, kiedy odprowadzaliśmy go do Al- Khar. Do licha, gdyby choć wtedy zamilkł, pewnie wypuściłbym go po drodze. Ale mnie też wkurzył.

- Różny pogląd na sprawy - stwierdziłem. - Choć wersje wiele się nie różnią. Powiedział, że to jego wina.

Block zachichotał, ale dość ponuro.

- Chciałbym, żeby wszyscy nasi rebelianci byli tacy nieszkodliwi.

- Co?

- Jest jeden powód, dla którego książę jest taki poważny. Uważa, że znajdujemy się na krawędzi chaosu. Przedstawia to w taki sposób, że jeśli Korona nie zechce wywiązać się ze swego społecznego kontraktu z ludem Karenty, w sposób oczywisty i popularny, wkroczymy w okres wzrastającej niestabilności. Pierwszym znakiem będzie pojawienie się sąsiedzkich straży obywatelskich.

- Już takie chodzą w niektórych miejscach.

- Wiem. Myśli, że staną się silniejsze i ukierunkowane politycznie. I to szybko, jeśli Glory Mooncalled dalej będzie miał szczęście. Za każdym razem, kiedy robi z nas idiotów, kolejna grupa mącicieli i podżegaczy idzie z nim walczyć. Im więcej idzie tam, tym mniej zostaje tutaj, żeby pilnować spokoju.

Uważa, że straż obywatelska może się zjednoczyć i tworzyć prywatną milicję. Potem różne grupy o odmiennych orientacjach politycznych wezmą się za łby.

- Jasne. Niektórzy mogą nawet wpaść na pomysł, żeby uwolnić się od obecnej władzy.

- Korona może skończyć jako jeszcze jeden gang uliczny.

Dobry ze mnie chłopczyk. Nie powiedziałem o tym ani słowa.

My, Karentyńczycy, ogólnie jesteśmy raczej apolityczni. Chcemy tylko, żeby nam wszyscy dali święty spokój. Unikamy wszelkich podatków, jakich możemy uniknąć, ale płacimy to i owo jako zabezpieczenie. Płacąc po trochu tu i tam, unikamy zagrabienia wszystkiego przez poborców. O ile mogę powiedzieć, takie są właśnie powiązania normalnego człowieka z państwem - chyba że sam jest państwowym bandytą.

- Może będę musiał przyjrzeć się temu księciu - mruknąłem. - Jeśli rzeczywiście uważa, że Korona jest czymś więcej niż mechanizmem do wyciskania pieniędzy z biedoty, aby ofiarować je klasom uprzywilejowanym. - Chyba za mocno ubarwiłem tę wypowiedź sarkastycznym uśmiechem. Block nie rozumiał, że jestem sarkastyczny i cyniczny, a nie wywrotowy. Zmierzył mnie wyjątkowo ponurym spojrzeniem.

- Może powinienem zwracać większą uwagę na bajkę o nieopanowanym ozorze Warczącego Psa.

- Może, Garrett.

- Co pan tam robił?

To pytanie rozumie każdy weteran. A weteranem jest każdy samiec rasy ludzkiej w TunFaire, który chodzi na dwóch nogach, plus paru takich, którzy nie chodzą. Korona ma jeden prawdziwy talent: potrafi znaleźć każdego mężczyznę zdolnego do służby wojskowej.

- Armia. Z początku piechota, potem zwiad długodystansowy. Kiedy zostałem ranny, skierowano mnie do policji militarnej. Raz uratowałem tyłek baroneta i dzięki temu dostałem to stanowisko.

Bohater. Ale to nic nie znaczy. Większość tych, którzy przeżyli dość długo, by wyjść z woja, popełniła jakiś bohaterski czyn. Nawet takie kompletnie zdemoralizowane męty jak Crask mają swoje medale. W Kantardzie świat jest całkiem inny. Inna rzeczywistość. Niezależnie od tego, kim są, bohaterami czy łotrami, mężczyźni pokazują swoje medale z dumą.

Sprzeczności. Samo ludzkie życie jest jedną wielką sprzecznością. Znałem morderców, którzy byli artystami, artystów, którzy byli mordercami. Człowiek, który namalował Eleanor był geniuszem w obu dziedzinach. Obie natury przysparzały mu cierpień.

Jego cierpienia skończyły się w chwili, kiedy natknął się na jeszcze większego świra.

- Chyba za bardzo odbiegliśmy od tematu - zauważyłem. - Zobaczmy, co się da zrobić z tym mordercą.

- Uważa pan, że on faktycznie wstał z martwych?

- Gzy to znaczy, że takie rzeczy zdarzały się wcześniej? Block skinął głową.

- Kiedy on to mówi, wierze. Lepiej sprawdźmy stare zapisy. Ma pan możliwości, ludzi i sposoby, żeby obejść sprawy formalne i urzędasów.

- Czego mam szukać?

- Nie wiem. Wspólnej cechy. Czegokolwiek. Jeśli ten sam duch ciągle tu wraca, bywał już wcześniej chwytywany i powstrzymywany. Zobaczmy, co wtedy robili, a potem, co teraz możemy zrobić. I może się zorientujemy, dlaczego środki, które podjęli, okazały się nieskuteczne.

- Jeśli pana kumpel nie ma czegoś, co dostał od Warczącego Psa.

- No. Właśnie.

- Co zrobimy?

- Widziałem tego faceta żywego i w ubraniu. Zajmę się ciuchami i zobaczę. Może znów będę

niał szczęście.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami. Sądził, że coś wiem. Wiedziałem, ale co mu to pomoże, jeśli powiem, że była jedna osoba, która przeżyła próbę morderstwa. I że jest córką Chodo Contague'a? Chybaby dostał ciężkiego ataku serca, i to skomplikowanego przez hemoroidy.

- Dobra. Powiedz mi tylko jedno, Garrett. Co tu do jasnej cholery robi Morley Dotes?

Nie był aż taki tępy, żeby nie wiedzieć, że z Morleyem znamy się i przyjaźnimy od dawna.

- Wiem, czym on jest, Block. I wiem, czym nie jest

Jak mu jednak wyjaśnić, że Morley nie załatwił nikogo, kto sam się o to nie prosił? Jak wyjaśnić, że standardy Morleya są znacznie mniej elastyczne niż większości ludzi po drugiej stronie prawa?

- To moje okno na drugą stronę TunFaire. Jeśli można tam coś znaleźć, on to robi.

Taką miałem nadzieję.

Nie miałem teraz pewności, dlaczego posłałem Deana po Morleya. Wtedy wydawało mi się to sprawą oczywistą. Może wyczaruje dla mnie spotkanie z małą od Chodo? Ona na pewno coś wie. Jej piękna główka może zawierać ten jeden, jedyny fakt, którego potrzebujemy, żeby przyszpilić owego zboczonego motylka.

Pewnie. Dziewczyna należy do osób, które widzą siebie i nikogo poza sobą. Pewnie zapomniała motylkowego dziadka, jak tylko zrobiło się po strachu.

Block skrzywił się. Chyba mu się nie podobało, że będzie musiał pracować z Morleyem. Bogowie niech mnie chronią od takich nawróconych - nawet jeśli nawrócenie polega jedynie na skutecznej ochronie własnego zadka.

- Proszę mi nie prawić kazań - warknąłem. - To i tak nie pomoże.

A skąd on w ogóle wie? Przecież Morley siedzi cicho.

Grymas Blocka pogłębił się znacznie.

- Uruchomię moich ludzi. Powiem panu, jak coś znajdą.

Pewnie, że tak. Kiedy już sam wyszłam ostatnie możliwości. Moja opinia o nim zyskała co nieco, ale nie na tyle, żeby go nie uważać za urodzonego funkcjonariusza. Musiał być całkiem zdesperowany, jeśli zjawił się u mnie.

- Proszę. - Wyprowadziłem go na mżawkę, a potem poszedłem sprawdzić, co o tym wszystkim sądzi Traposz.

?- Kolejne tysiąc marek, jeśli załatwię sprawę ostatecznie? Tak mi obiecał. Przedtem się wywiązał.

Truposz był bardzo z siebie zadowolony, że wymusił na Blocku kolejne zobowiązanie finansowe.

- Okazjonalnie skarżyłem się na sposób, w jaki...

Okazjonalnie? A czemu nie „często”. Albo „stale”. A może nawet „nieustannie “ lub „nieprzerwanie “?

- Od czasu do czasu. Za każdym razem, jak zaśpiewa siedmioletnia szarańcza. Ale chciałem powiedzieć coś całkiem odwrotnego. To był wyczyn, że go zmusiłeś, żeby znów zapłacił.

Jest zdesperowany.

- A czasy desperacji są najlepsze dla tych, którzy czekają na odpowiednią okazję. Rozumiem. Co sądzisz o pogawędce z córką Chodo?

Morley zaprosił się z mojego gabinetu do pokoju Truposza, Teraz wprosił się z komentarzem.

- To już się zdarzało. Moje występy nie zostały przyjęte entuzjastycznie.

- Pozostaw to mnie. Mam swój styl. Przekaż Craskowi, że chcę

pogadać o dziewczynie. Nie mów, o jakiej. On nie wie, że ja wiem, kim ona jest. Resztę załatwimy między sobą.

- Narobisz sobie kłopotów, Garrett. Powinieneś się namyśleć. Zawsze pakujesz się po uszy w gówno. Co z tobą? Nie wplątuj się w interesy z bachorem kacyka. Jak już ci to przyjdzie do głowy, podetnij sobie żyły i oszczędź nam nerwów.

- A co ty o tym myślisz? - zapytał Truposza. Rozmowa z dziewczyną może się okazać bezprzedmiotowa, ale jest potrzebna, żeby to udowodnić. Jeśli to możliwe, przyprowadź ją tutaj.

- To samo jądro mojego wielkiego planu.

Łzesz. Ale wierzę w twój instynkt samozachowawczy, który ochroni cię przed złymi skłonnościami.

- Jestem dorosłą ludzką istotą, sir. Nie spoglądam na wszystkie przedstawicielki płci przeciwnej, jak na potencjalny obiekt pożądania,

Morley wyszczerzył zęby.

- Tylko te między ósemką a osiemdziesiątką.

- Nie pomagasz mi. Pewnie, nie zamierzam być sam w łóżku, kiedy będę odchodził. Ale też nie zamierzam odchodzić przez najbliższe parę stuleci.

Ha Przekonał mnie. Całego, oprócz małej części, która zastanawiała się, co bym zrobił, gdyby córka Chodo. przeżyła cudowne ozdrowienie i nie tylko była w stanie mnie widzieć, lecz również szeptać mi do uszka słodkie bzdurki. Nieraz nawet najtwardsze serca, rycerzy w białych zbrojach, czują, że zaczyna nimi rządzić ta część ciała, która nie poddaje się dyktaturze umysłu. W każdym z nas drzemie socjopata, gotów przeoczyć związek pomiędzy czynem a jego konsekwencjami.

- Racja, - Morley mi nie wierzył.

Odniosłem wrażenie, że Truposz też mi nie wierzy.

Moje własne wątpliwości były mniej apokaliptyczne. Widziałem już dość kobiet, żeby nie dać się zwieść syrenim śpiewom marzeń. Może będę parskał i tupał, ale nie stracę kontroli. Ona nie jest w moim typie.

Rozmawialiśmy na różne tematy, aż wreszcie Morley stwierdził, że dość już się nasłuchał złych nowin.

- Jeśli nie będzie mnie jeszcze przez chwilę, Sierżant, Kałuża i mały zrujniają mnie doszczętnie - oznajmił.

- Pewnie. Idziemy razem popatrzeć, jak świny latają. - Odprowadziłem Morleya do drzwi, po czym wróciłem do Truposza.

I co teraz, Garrett?

- Bardzo poważnie myślę o drzemce.

Doprawdy? A z czym przyszedł pan Amato? Mam nadzieję, że pamiętasz, iż mamy w popiele jeszcze jedną gruszkę?

- Daj żyć. Chcesz, żebym teraz nosił Hullarowi te śmieci?

Przyszło mi do głowy, że to by się mogło okazać użyteczne nie tylko z oczywistego punktu widzenia. Kiedy zaniesiesz raport, poświęć kilka minut, żeby się dowiedzieć, po co ta kobieta od Contague'a się tam kręci.

- Myślałem i o tym.

Ale nie byłeś dość ambitny, żeby się tym zająć. Naprawdę musisz uczynić z DNJ swoje motto, Garrett.

- DNJ?

Dziś, nie jutro. Przyjmij tę radę od eksperta. Odkładać powinieneś wyłącznie ostateczne spotkanie ze Śmiercią.

Pokręć się trochę koło Truposza i poznasz go na tyle, żeby odczytywać z jego słów informacje,

których tam nie ma. Nie powiedział, ale miał na myśli to, że jeśli nie wyniosę się do Hullara, nie zaznam spokoju w domu.

Idziesz na kompromis. Takie jest życie. Codziennie robisz interesy, które kupują ci kilka godzin spokoju... lub możliwość spokojnego snu.

Postanowiłem, że droga najmniejszego oporu prowadzi przez tancbudę Bishoffa Hullara.

Crunch i ja wkrótce się zaprzyjaźnimy. Już po pięciu minutach mrugania i stękania przypomniał sobie, że wolę piwo. Zaoszczędziło mu to jednego pytania w codziennym rytuale. Pozostałych zaoszczędziłem mu sam, prosząc o kufel jasnego lagera Weidera.

- Powiedz Hullarowi, że Garrett tu jest - poleciłem.

- Garrett, Prawda. - Podreptał do szefa. Czekałem, kiedy jego stopy pokłóca się z brodą.

Niestety. Ten karzeł zaprzeczał prawom natury.

Chwilę to trwało. Sączyłem piwo i rozglądałem się. Nigdy nie widziałem tu takiego tłoku. Sala aż się trzęsła. Trzy pary tańczyły, zespół drzemał, grając coś, co pewnie bym rozpoznał, gdybym usłyszał to w wykonaniu prawdziwych muzyków. Trzy stoły zajęte były przez klientów. Nie została nawet jedna dziewczyna, żeby mnie zaczepić, choć pewnie i tak spisały mnie na straty. Pamiętały mnie lepiej, niż Crunch.

Jedna z dziewczyn przykuła mój wzrok. Była nowa. Miała w sobie odrobinę życia. I była świetną aktorką, chyba że naprawdę bawiła się jak nigdy w życiu. Młodsza od reszty, była atrakcyjną brunetką i wyglądem tak przypominała inną, znaną mi brunetkę, że całkiem ostudziła moje fantazje.

- Zaraz wyjdzie - oznajmił Crunch zza moich pleców. Oparłem się o bar, studiując lokalne życie towarzyskie. Obejrzałem się przez ramię. Crunch też się obejrzał, zaskoczony. Nie wiedział, co się dzieje. Myślał może, że jestem żebrakiem, tylko dostarczam rzeczy, zamiast je zbierać.

Już od pierwszego dnia rozszyfrowałem go bezbłędnie. On już taki był przez większość czasu. Zaskoczony. - Co to za brunetka, Crunch?

Zmrużył oczy, chyba nie potrafił jej zlokalizować. Wyciągnął parę szkiełek, posadził je sobie na nosie, dopchnął na miejsce palcem podobnym do wysuszonego kartofla. Zdziwiłem się. Okulary są drogie.

- To nasza nowa dziewczyna, panie.

Właśnie.

- Imię.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, ale nic nie wymyślił przed nadejściem Hullara, który usiadł na stołku obok mnie, również tyłem do baru. Przyjął kufel od Cruncha. - Nie bywa lepiej niż teraz, Garrett.

Spojrzałem na niego. Nie udało mi się wyczytać z jego wyrazu twarzy więcej niż z tonu głosu. Czy chciał przez to powiedzieć, że jest w niebie na ziemi? A może stwierdzał fakt na temat swojej działalności? A może był sarkastyczny? A może sam nie wiedział co.

Podąłem mu ostatnie wypociny Warczącego Psa. - Kurde. Nie masz nic więcej do roboty? Ja chcę tylko wiedzieć, czy ten pieprzony dupek nie wtyka nosa w gówno. Nie muszę wiedzieć, kiedy sobie dłubie w uchu.

Usiłowałem to wyjaśnić Warczącemu Psu od pewnego czasu.

- Za pierwszym razem, kiedy tu byłem, był tu również Crask.

- Crask? - Nagle stał się dziwnie czujny.

- Crask. Rozmawiał z muzykami.

- Skoro tak twierdzisz. Nie pamiętam.

Pamiętał, pamiętał. Inaczej nie miałyby takich kłopotów z pamięcią.

- Weszła tu dziewczyna, a ja właśnie wychodziłem. Podeszła do Cruncha, jakby chciała coś mu powiedzieć, ale zobaczyła Cra- ska, zadarła ogon i zwała.

- Skoro tak twierdzisz. Nic podobnego nie pamiętam.

- Co mi możesz o niej powiedzieć?

- Nic. - To była ostateczna odpowiedź. Tak ostateczna, że zawierała ostrzeżenie, iż prędzej osiągnę efekty, waląc głową w mur. Swojego czasu rozwaliłem łbem parę ścian. Walenie nauczyło mnie jednego: wiem już, jaka jest różnica, kiedy zamiast ściany zostaje rozwalona głowa.

Dałem spokój.

- Co to za nowa dziewczyna? Wzruszył ramionami.

- Przychodzą, odchodzą, zostają na trochę. Nigdy nie wiadomo. Nazywa się Candy, ale to nie jest prawdziwe imię. Dlaczego pytasz?

Teraz to ja wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, jest w niej coś odmiennego. Ona się naprawdę dobrze bawi.

- Są i takie. Robią to dla zabawy. Każdy ma prawo robić to, co chce i lubi, Garrett. - Postukał palcem w raport Warczącego Psa. - Co tam jest? Żyje?

- Ten sam stary Warczący Pies, tyle tylko że wariuje, bo deszcz nie pozwala mu nauczać na ulicy.

- Dobrze. Następnym razem możesz mi powiedzieć tylko to. Nie musisz zalewać mnie setkami stron papieru każdorazowo, kiedy idzie się wyszczać. Zgodziłem się na wydatki, ale nie na całe tony papieru.

Nie patrzyłem na Hullara. Nie był w najlepszym humorze, ale nie chciał być sam. Ludzie z Połudwicy są właśnie tacy. Chcą spędzać czas z kimś z zewnątrz, kto nie jest klientem i nie ostrzy sobie moralnego topora. Chcą tylko czasem poczuć się jak normalni ludzie.

Są normalnymi ludźmi. Może bardziej realnymi od innych. Mają lepszy kontakt z rzeczywistością niż ci, co kupują ich usługi, albo ci, którzy ich potępiają. Ich prawdziwym grzechem jest to, że pozbyli się złudzeń.

Hullar za nimi tęsknił. Chciał rozrywki w te wieczory, kiedy było tak dobrze jak nigdy.

- Masz ochotę na historie? - zapytałem. - Jaką?

- Dobrzy faceci, źli faceci i kupa ładnych dziewczyn. Sprawa, nad którą pracuję, kiedy nie śledzę Warczącego Psa.

- Gadaj. Ale nie myśl, że ci pomogę.

- Niech mnie bogowie bronią. Ale historia jest ciekawa. - Opowiedziałem mu co się dało, wycinając część tu i tam.

- To chore, Garrett. Naprawdę chore. Myślałem, że znam już wszystkie zboczenia, ale to dla mnie coś nowego. Biedne dziewczyny. I jeszcze motyle?

- Motyle. Nie wiem, czy one mają z tym coś wspólnego.

- Dziwne. Masz do czynienia z klątwą. Albo z czymś podobnym. Może powinieneś znaleźć sobie nekromantę. Hej! Znam jednego, jest dziwny, ale naprawdę dobry. Nazywa się Doktor Doom...

- Też go znam. Raczej mi nie pomoże.

Dziwny to on jest na pewno. Doom to bardziej oszust niż ekspert. Nie ma pojęcia o uspokajaniu duchów. Sprowadzę go, jeśli tylko o to będzie chodziło. . - Sam wiesz, jaką masz sytuację. - Hullar wzruszył ramionami.

- Pewnie. Desperacką. - Zmierzyłem okiem szczęśliwą brunetkę. - Na wiele różnych sposobów.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem jednak przeprosić się z Tinnie. Los nie rzuca w moją stronę nikogo innego. Hullar pochwycił moje spojrzenie.

- Ruszaj, Garrett - zadrwił. - Spróbuj sił, ale ostrzegam cię: Candy tylko gada i nic więcej. Jest typem dziewczyny, której wystarczy wiedzieć, że gdyby chciała, toby cię mogła mieć. A jak cię już doprowadzi do tego miejsca, zaczyna rozglądać się za innym.

- To historia mojego życia. - Podniosłem się ze stołka. - Pogadamy kiedy indziej. Mam randkę z przygotowaną pieczenia.

Dean potrafi działać cuda, jeśli się przyłoży. Zważywszy na warunki, pieczeń nie była zła. A dodatki wręcz smakowite. Nazarłem się do rozpuku. A potem, choć jeszcze było wczesnie, powędrowałem korytarzem na górę, czekając na przyływ ambicji. Była to długa wspinaczka do zimnego, pustego łóżka.

I tu powinny się odezwać smutne smyczki - choć przy moim szczęściu orkiestra huknie dziką uwerturę.

Właśnie. Nie była to nastrojowa muzyka, jakiej oczekiwałem. Było to: Garrett! Chodź, opowiadaj. Nie całkiem uwertura, ale blisko.

Nie ma się co sprzeczać. Im szybciej pójdę, tym szybciej będę to miał za sobą.

Jaki tam sen! Zaledwie skończyłem opowiadać o mojej wizycie u Hullara, usłyszałem: Chcę, żebyś tam wrócił. Siedź w Połudwicy przez następne dziewięć wieczorów. Spędź trochę czasu z tą Candy.

- Co?

Coś dziwnego chodzi mi po samym kącie tylnej części mózgu. To przez tę twoją uwagę, że Candy wygląda jak nie z tej bajki.

- Hę? - Co za odpowiedź. - A co z chodzeniem? Z poszukiwaniami w rejestrach?

Możesz się tym zajmować w ciągu dnia. Wieczorami bądź w Połudwicy. Obserwuj, szukaj młodych kobiet z Góry, które się bawią w odgrywanie ról kobiet z niższych klas.

Zaskoczyłem. Candy. Mała Chodo. Dziewczyny z wyższych klas, które kręcą się po podrzędnych lokalach. Dla zabawy? Nie sądzę.

- Jeśli to jakieś zboczenie...

Poproszę kapitana Blocka, żeby jeszcze raz odwiedził rodziny zabitych dziewczyn. Może rozmawiałem z niewłaściwymi ludźmi? Siostry i przyjaciółki mogą wiedzieć więcej. Rodzice są ostatnimi ludźmi, którzy wiedzą, co robią ich dzieci.

- Możesz na coś wpaść. - Tylko kilka z ofiar znało się ze sobą, i to ledwo ledwo. Ale jeśli do gry wprowadzimy siostry, przyjaciółki i upodobanie do tarzania się w syfie, może znajdziemy jakiś wzorzec.

Doprawdy, to jest możliwe.

- Więc czego szukamy?

Kobiet, które pasują do schematu ofiary. Może zidentyfikujemy kolejną dziewczynę, zanim ją dopadną. Mamy dziewięć dni, zanim morderca będzie chciał ugasić swoje pragnienie. Jeśli okaże się, że nasz schemat jest dobry, jeśli dziewczyny rzeczywiście tak się bawią, może dowiemy się, gdzie i jak morderca wybiera ofiary. Przy pomocy kapitana Blocka, który będzie obserwował potencjalne ofiary i dorwie drania, gdy ten uderzy.

- Teraz nawet cię wyprzedzam w rozumowaniu. Musimy zaczynać od dzisiaj?

DNJ, Garrett. Ostatnio nie miałeś braków w śnie.

Prawda. A w ogóle byłem zbyt napalony, żeby spać. Równie dobrze mogę służbowo chlać piwko i rwać dziewczyny.

Do licha. Nagle ten bałagan zaczął wyglądać choć odrobinę bardziej interesująco.

TunFaire nocą staje się innym miastem. Zwłaszcza jeśli nie pada. A teraz przestało. Na chwilę.

Przerzuciłem płaszcz przeciwdeszczowy przez ramię i ruszyłem spacerkiem, obserwując nocną stronę życia.

Hordy ludzi- szcurów krzątały się wokół swoich legalnych zadań sprzątnięcia i czyszczenia oraz mniej legalnej działalności polegającej na zwijaniu wszystkiego, co nie jest przyklejone. Koboldy i gnomy skakały tu i tam, załatwiając swoje interesy, nieraz się zastanawiam, jak tyle ludzi może mieszkać obok siebie, prawie się ze sobą nie stykając. Nieraz wydaje mi się, że TunFaire jest całą serią miast, które tylko przypadkiem zajmują tę samą pozycję geograficzną.

Ujrzałem rodzinę trolli - prawdziwe dynie - podziwiającą widoki. Dostałem propozycję od olbrzymki o niedobrej reputacji, która widocznie przeżywała dołek w interesach. Wpadłem na bandę goblinów jadących wierzchem na czerwonych psach, które wyglądały bardziej na wilki niż udomowione psiaki. Nigdy przedtem nie widywałem goblinów. Przespacerowałem się z nimi, wymieniając kawały.

Byli łowcami nagród. Specjalizowali się w śledzeniu zbiegłych żon. Gniewny, ponury gang, obstający przy starych obyczajach. Kobieta goblinów, której szukali, była jednak bardziej cwana niż cała ich banda razem wzięta.

Mieli plany, co zrobią, kiedy ją złapią. Nie wątpili, że byle babę dopadną w oka mgnieniu.

Zdaje się, że żony są najważniejszym towarem dla goblinów, gdzie na jedną samicę rodzi się pięć do sześciu samców. Gobliny nie tolerują poliandrii, ani równych praw, ani homoseksualizmu, ani żadnych innych naciągów. Jedna trzecia ginie przed ukończeniem dwudziestu trzech lat w walkach o samice.

Obserwowałem, jak łowcy odjeżdżają swoją drogą, i nie miałem za złe żonom goblinów, że wieją, kiedy tylko nadarzy im się okazja.

Spotkałem kilka rodzin centaurów, uciekinierów z Kantardu, pracujących wspólnie jako tragarze. Co za pomysł. Frajerzy z mózgiem i parą rąk, żeby sobie ładować i rozładowywać ciężary.

Nie cierpię centaurów prawie tak samo jak ludzi- szcurów. Jedyne centaur, jakiego kiedykolwiek znałem, był cholernym sukinsynem.

Wszędzie było pełno karłów. W TunFaire dzień i noc roi e od karłów. To małe, pracowite gnojki. Potrafią wyłącznie pracować. Gdyby wiedzieli jak, pracowaliby na okrągło, bez snu.

Nocą tylko jednego gatunku prawie się nie widuje. Ludzi Zobaczysz człowieka, uważaj. Istnieje szansa, że jego intencje nie są ani uczciwe, ani honorowe.

I to właściwie wystarczy, żeby się ochronić. Oczywiście, jeśli jesteś młody i silny i nie wyglądasz na łatwy cel. Większość ludzi trzyma się z daleka. Tylko najbardziej wredni, najgorsi zbóje napadają tu na innych zbójów.

Cholera. I znowu gadam od rzeczy. Chodzi mi oczywiście o późną noc, po godzinach pracy lokali. O wiele później, niż to było wtedy. Wtedy było pełno ludzi. Nie widziałem ich, bo nie chodziłem po ulicach, których ludzie zwykle trzymają się dla własnego bezpieczeństwa.

Nieraz lubię kusić los.

W pewnej chwili razem z grupą ludzi- szcurów rzuciłem się w ciemną alejkę. Obserwowaliśmy, jak obok nas przegalopowała banda warczących, przeklinających ogrów. Pędziły w stronę pomocnej bramy, żeby tam polować na gromojaszczury. Najlepiej na nie polować nocą. Wielkie bestie stają się wtedy leniwe. Za ich skóry można dostać niezłą forszę. Wyprawiona, jest naprawdę mocna.

Ogrów też raczej nie lubię, ale życzyłem im szczęścia. Migracja gromojaszczurów na południe dała farmerom w kość. Zaczęli tracić bydło i pola. A poza tym to zawsze miło popatrzeć na ogra zajętego uczciwą pracą. Nie jest to częsty widok.

Crunch rozpoznał mnie od razu. Postawił kufel na blacie. - Znowu ty?

- Nie, to mój złośliwy brat bliźniak. Przemyślał to sobie i nie doszukał się sensu.

- Chcesz się zobaczyć z Hullarem? - zapytał.

- Nie zaszkodzi. Jeśli nie jest zajęty.

- On nigdy nie jest zajęty. Nie ma nic do roboty - odparł i poszedł. Tym razem też nie nadepnął sobie na brodę. Ten Crunch naprawdę jest czarodziejem.

Obserwowałem salę. Interesy szły źle, ale dziewczyny wciąż były zajęte. Doszły dwie nowe, których wcześniej nie widziałem. Dwie z dziennej zmiany już sobie poszły. Jedna nowa była blondynką, a druga brunetką, ale nie z grupy ryzyka. Obie wydawały się nie na miejscu.

Może Truposz miał rację? Może dziewczyny lubiły się szwendać?

Ulice nie są miejscem zabawy, jeśli ich nie znasz. Możesz popełnić znacznie ponad normę śmiertelnych pomyłek, jeśli pochodzisz z Góry i wkraczasz tu z całym bagażem swoich przekonań i przypuszczeń. Tubylcy i tak nie będą pod wrażeniem.

Oczywiście, jeśli to zabawa, może w jej trakcie zapomnisz o swojej wyższości. Chyba że trafisz w ciasny zaułek.

Hullar wyszedł, wciągnął się na stołek, wyssał piwo, które podał mu Crunch, zmierzył wzrokiem plac boju i wzruszył ramionami. Bishoffa Hullara nie można rozczarować. Był facetem podobnym do mnie. Spodziewał się najgorszego.

- Wałęsasz się, Garrett?

- Nie całkiem.

- Nie uwierzę, że polubiłeś to miejsce. Facet z twoją reputacją...

- Nie. To chodzi o tę drugą sprawę, nad którą pracuję.

- Morderstwa. Nie powiesz mi, że popełniono następne.

- Musiałem pomyśleć przy kolacji. O Candy i tej dziewczynie, której tu nie było tamtego dnia, której ty i Crunch nie widzieliście i nie znacie. Przyszło mi do głowy, że bogate dziewczyny mogą udawać dziwki, tak dla zabawy. Jak te dwie, blondynka i brunetka. Nie należą do typu tych, które spodziewałbym się tu spotkać.

- No i?

- Znasz Połudwicę, Hullar. Wiesz, co tu się dzieje. To nowa moda wśród bogatych smarkul, znudzonych, bo ich faceci poszli na wojnę?

- A po co ci to wiedzieć?

- Może mój morderca właśnie tu sobie wybiera ofiarę? Może spotkam go, kiedy będzie szukał kolejnego celu?

- Siedzisz w biznesie anioła stróża? Burknąłem coś.

- Dawno cię tu nie było, Garrett. Tak, przychodzili tu bogacze. Nie tylko dziewczyny. One chcą pracować wyłącznie w takich spelunach jak moja. Te najgorsze, zazwyczaj starsze, idą handlować tyłkami w Namiętnej Wiedźmie lub Czarnym Gromie, albo gdzie indziej. Mafia je dopuszcza, bo łatwo z nimi ubić interes. Jak miałeś już setki wywłok, nabierasz ochoty, żeby czasem przelecieć szynkę jakiejś wysoko urodzonej damy.

- Rozumiem tę psychologię.

- Jak wszyscy. Jak wszyscy. I to jest cały problem. - Hmmm?

- Dla interesów to dobrze, jeśli ta cała śliczna młodzież się tu schodzi. Idzie sporo forsy, nawet przy złej pogodzie. Ale co będzie, jak się zorientują ich ojcowie i mężowie? Co będzie wtedy? He?

- Racja. - Rodzice nie byliby zadowoleni. A biorąc pod uwagę pokrętną ludzką naturę, nie na dziewczyny spadnie cała wina. Im bogatsi są ludzie, tym mniej chętnie obarczają dzieciaki odpowiedzialnością za ich własne czyny. - Jak ci się zdaje, ile ich tu jest?

Nie mogło być dużo, bo już zaczęłyby rozrabiać.

- Nie chodzę wiele, Garrett, nie liczę, kto dla kogo pracuje w Połudwicy i po co. Wiesz, o co mi idzie?

- Wiem.

- Ale widać je wyraźnie. Ludzie mówią. Jeśli mnie spytasz, będzie ich z górą setka. Teraz największa masa już przeszła. Zostały tylko te, które późno przyszły, i takie, które lubią te rzeczy na ostro. Dzisiaj może ich być najwyżej trzydzieści. Takie jak moja Candy są już wyjątkiem. Wszystko przejdzie za dwa miesiące.

- Znajdą inną zabawę. Hullar wzruszył ramionami.

- Może. Nie obchodzą mnie bogate dzieciaki.

- To wyrównujesz rachunki, bo ty ich też nie obchodzisz. - Obserwowałem Candy. Nie wyglądało na to, żebym miał okazję dziś sobie z nią pogadać. Miała kilku żeglarzy, a następni czekali w kolejce. Hullar i Crunch będą musieli rozwalić parę gęb, jeśli zaczną sobie wyobrażać nie wiadomo co.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

- Idziesz gdzieś? - Sokolooki Hullar spostrzegł, że wstaje.

- Chyba rozejrzę się za innymi dziewczynami. Ciekawe, czy je zauważę. Masz pomysł, gdzie ich szukać?

- Chcesz tylko brunetki? W typie Candy?

- W zasadzie tak.

Zamyślił się. Nie nad moim problemem, o nie. Jednym okiem obserwował żeglarzy Candy. Właśnie zaczął się wkurzać.

- Kryształowy Kandelabr, Gość w Masce, Namiętna Wiedźma, U Mamy Sama. Widziałem twój typ w każdym z tych miejsc, tym czy innym razem. Nie wiem, czy są tam jeszcze. Te dziewczyny przychodzą i odchodzą jak chcą. I nie mają stałych godzin.

- Dzięki, Hullar, jesteś księciem.

- Co? Co takiego? - warknął nagle Crunch. Wyszedł zza baru z paskudnie wielką pałą w łapie. - Może zaczniesz uważać na słowa, gówniarzu.

Hullar potrząsnął głową.

- Książę! - wrzasnął do ucha Cruncha. - Nazwał mnie księciem. Musisz mu wybaczyć, Garrett. Czyta z ruchu warg. Czasem się myli?.

Crunch odłożył pałę, ale nie przestał się krzywić. Nie wiedział, czy ma ufać szefowi, czy własnej wyobraźni. Wszędzie, gdzie pójdę, natykam się na świrów.

Kryształowy Kandelabr, jak wynikało z samej nazwy, pretendował do pewnego poziomu. Dziewczyny z Góry jedynie spełniałyby zamówienie zarządu. Tam się udałem na początek. Wszedłem i wyszedłem po czasie, jaki był potrzebny, żeby wychłęptać piwo. Nie dowiedziałem się niczego, poza tym że ktoś tam znał moją gębę i nie podobał mu się sposób, w jaki zarabiam na życie.

Lepiej poszło mi w Gościu w Masce. Tam miałem znajomych.

I tu także nazwa była bardzo odpowiednia. Ludzie wkładali maski, zanim weszli do środka. Podobnie było z pracownikami lokalu. Gość w Masce żywił jedynie wybranych gości.

Facet, którego znałem, był wykidajłą, mieszańcem wysokim na dziewięć stóp, z muskularni na muskułach i masą między uszami twardszą niż gdziekolwiek indziej. Wypiłem trzy piwa, zanim zrozumiał, co chcę od niego. Nawet wtedy nic by nie powiedział, gdyby nie był mi czegoś winien. A to, co miał do powiedzenia, nie było warte słuchania. Jedyna dziewczyna typu Góry, jaka pracowała tu ostatnio, była blondynką, i to tak napaloną, że właściciele się wystraszyli. Od wielu tygodni nie widzieli brunetki. Ostatnia odeszła po drugim wieczorze. Pamiętał jeszcze jej imię, Dixie.

- Dixie. Dobrze, to się przyda. Dzięki, Bugs. Masz, napij się za moje zdrowie.

- Hej, dzięki, Garrett, fajny z ciebie gość. - Bugs był jednym z tych ludzi, których zawsze zadziwia, jeśli zrobisz dla nich coś miłego, choćby drobiazg. Po jakimś czasie uważasz, że cały świat byłby dla niego miły tylko po to, żeby patrzeć na jego zdziwienie.

Pożegłowałem w stronę Namiętnej Wiedźmy. Wiedźma była dziwna, nawet jak na Połudwice. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tego miejsca. Pracowało tu dużo dziewczyn, w większości tancerek i w większości skąpo odzianych. Były bardzo przyjacielskie. Oblazłyby cię jak wszy, gdyby wierzyły, że Wsadzisz im w majtki bodaj markę. Były dostępne, ale nie dla każdego. Odbywało się tu coś w rodzaju licytacji. Dziewczyny pracowały nad tłumem, spijając i rozpijając facetów, podbijając stawki aż do zamknięcia. Zręczna dziewczyna była w stanie wyciągnąć tam więcej jednym numerkiem niż normalna, ciężko harująca przez całą noc.

Wszystko, co sprawia, że gość rozstaje się z forszą, znajdziecie właśnie tu, w Połudwicy.

- Widziałeś kiedy tyle cycków do kupy, co, Garrett? Podskoczyłem. Nie spodziewałem się spotkać przyjaciół w takim miejscu.

To nie był przyjaciel

- Mieszczuch? Kupa czasu. Nie. Nigdy. A w ogóle teraz też nie powinienem ich oglądać.

Mieszczuch Billy Byrd był facetem, którego ma się na myśli, mówiąc, że ktoś wygląda jak fretka. Chodzący stereotyp. Wyglądał na ślisko- wrednego i taki też był. Szpiegował ludzi, sprzedawał informację temu, kto więcej zapłacił. Sam korzystałem z jego usług, stąd mnie znał.

Mieszczuch nosił kupę taniej biżuterii i jaskrawe ciuchy. W zębach trzymał długą faję z kości słoniowej. Postukał się ustnikiem po zębach, wskazał nim na jedną z kobiet

- To masz na myśli?

- Właśnie. Większe nie zawsze znaczy lepsze.

- Musiała być niezła, zanim wdała się grawitacja. - Mieszczuch Billy Byrd należał do tych ludzi, którzy sądzą, że grawitacja się wdaje. - Pracujesz, Garrett?

Nie potrzebowałem gościa typu Mieszczucha, ale pozostałem uprzejmy. Nie wydawałem dużo. Przydałoby się docześcić do kogoś, u kogo skąpstwo było akceptowane. Inaczej będę musiał zadawać swoje pytania na ulicy.

- A byłbym tutaj, gdybym nie pracował?

- Połowa facetów nie tak odpowiedziałaby na to pytanie. Wtedy zrozumiałem, co Mieszczuch robi w Namiętnej Wiedźmie. Pracuje. Szuka twarzy, które później będzie mógł sprzedać.

- A ja pracuję - podkreśliłem.

- Może potrzebujesz pomocy?

- Może. Szukam dziewczyny. Konkretny typ. Brunetka, siedemnaście do dwudziestu dwóch lat, pięć stóp i dwa do dziesięciu cali wzrostu, długie włosy, dość atrakcyjna, duża klasa.

- Nie jesteś wybredny, co nie? Ma jakieś imię?

- Nie, chodzi o typ. Interesuje mnie każda taka kobieta pracująca w Połudwicy.

- Tak? A dlaczego?

- Ponieważ jakiś sukinsyn je wylapuje i wybebeszą. Chciałbym go dorwać, żeby mu wyjaśnić, dlaczego takiego zachowania nie uważamy za ogólnie przyjęte normy.

Mieszczuch gapił się na mnie przez chwilę z otwartym łasiczym pyszczkiem.

- Chodź no tu, Garrett. Mam stolik z paroma kumplami.

Poszedłem, ale obawiałem się, że popełniłem błąd. Byrd równomiernie kłapał paszczką. Ile czasu upłynie, zanim to się rozniesie? Nikogo nie złapię, jeśli dziewczyny uciekną, a brzydcy faceci się przyczają.

Mieszczuch poprowadził mnie do najgorszego stolika w lokalu. Do baru trzeba było wysyłać gołębie pocztowe. Kelnerzy gubili drogę, zanim do niego doszli.

Dwaj kumple Mieszczucha wyglądali jeszcze bardziej podejrzanie. Tanie błyskotki i gęste wąsy chyba właśnie weszły w modę.

Jeszcze przed zmrokiem kupili zapasy na całą noc.

- Siadaj, Garrett. - Było jeszcze jedno wolne krzesło. - Shaker, daj mu piwa.

- Pieprz się, Byrd. - Shaker miał paraliż i szcurzą gębę. Obskurny od pierwszego wejrzenia. -

Co ty, rozdajesz nasze piwo?

- Nie bądź dupek, Shaker. Biznes. Facet może będzie w nastroju do stawiania. Mamy coś, czego on chce.

Shaker i Mieszczuch popatrzyli po sobie, podczas gdy trzeci kontemlował sekrety na dnie

butelki. Wreszcie Shaker pchnął butelkę w moją stronę. Była staroświecka, gliniana, nie stosowana w normalnych przemysłowych browarach. To znaczy, że to, co w środku, było tanim sikaczem, pochodziło z jednoosobowej warzelnicy w piwnicy i nadawało się wyłącznie dla najbiedniejszych. Mój żołądek zaczął miauczeć, zanim jeszcze pierwszy łyk ruszył na południe.

Nie dałem się zawstydzić. My, detektywi, nie boimy się byle piwa. Poza tym wlałem w siebie już tyle, że przestało mnie obchodzić, co spłynie jako następne.

Mieszczuch nikogo nie przedstawiał. Normalna praktyka uliczna. Nikt nie chce wiedzieć, jak się kto nazywa. Ale Mieszczuch nie krepował się z nazwiskami.

- Garrett szuka gościa, który porywa dziewczyny. - Spojrzał na mnie. - Rozcina je z góry na dół, nie? To on odstawia te robotę, o której wszędzie słychać?

Skinałem głowę, pociągnąłem łyk z butelki i dałem się sympatycznie zaskoczyć. Jak na piwo piwniczne, było wyjątkowo, cholernie dobre. Poszukałem znaku handlowego. Nie był taki sam, jak na innych butelkach, co znaczyło, że facet leje trunka w co popadnie. Szkoda.

Mieszczuch zezem spojrzał na Shakera.

- Co teraz powiesz, dupku?

- Czy jest coś, czego nie rozumiem, Mieszczuch? - zapytałem uprzejmie.

- Minuta, Garrett - Wciąż gapił się na Shakera.

- No i co? - Minuta minęła.

- Myślę, że stoi za tobą ktoś ważny, Garrett. Ojciec którejś z dziewczuch. Może nawet kilku... Ktoś, kto ma więcej forsy niż rozumu i chce kupić sobie zemstę. Mam rację?

- Coś w tym stylu. - Banda Mieszczucha rozpląnęłaby się jak posolone ślimaki, gdybym im powiedział, kto płaci.

- Ktoś, kto może cholernie dużo zapłacić za to, że ktoś poda im całość na tacy.

- Nie sądzę, żebyś sobie z tym poradził, Mieszczuch. Kiwasz mnie. Kręcisz. Słyszałeś, że się rozpytuje, i myślisz, że mnie wydudkasz.

Zraniłem gościa w samo serce. Mieszczuch Billy cierpiał.

- Garrett! Mój stary! Przecież to ja! Twój stary kumpel, Mieszczuch Billy Byrd. Nigdy nic złego ci nie zrobiłem.

- Nigdy nic z tego nie miałeś.

- Jesteś po prostu wredny. Wiesz, że to nie w moim stylu. Nigdy go nie złapali na gorącym uczynku. Wszystko było w jego stylu, jeśli uważał, że mu ujdzie na sucho.

- No dobra, pozwolę sobie na dobrodziejstwo wątpliwości. Co masz?

- Powiedziałem ci, że nie mam nic do sprzedania.

- Nie kupuję kota w worku, Mieszczuch. Mam dość kotów w domu.

Gęba zmarszczyła mu się w grymas, który musiał boleć. W dawnych czasach nieszczęśliwie skrupulatni wieśniacy sprzedawali naiwnym mieszczuchom prosiaki w workach. Dopiero po otwarciu worka ze środka wyskakiwał bardzo nieszczęśliwy kot.

- W porządku, Garrett. Wiem, co cię gryzie. Słuchaj zatem. Dziewczyna, taka jak ta, której szukasz, imieniem Barbie, pracowała tu do zeszłej nocy. Jak widzisz, dzisiaj jej tu nie ma.

- No i?

- No i zakłady były niebotyczne. Wielkie jak cholera. A kiedy przyszło do tego, żeby się rozliczyła, wpadło tu dwóch facetów i zabrało ją na zewnątrz, a nie na górę.

Może to był jakiś trop. Ale nie byłem szczególnie podniecony. Już kiedyś pracowałem z Mieszczuchem. Próbuje zrobić z igły widły i sprzedawać je za fortunę.

- Na razie nie robisz na mnie wrażenia. Nie jest niczym nadzwyczajnym, kiedy najwyższy oferent

zabiera nagrodę do domu. Nie jest niczym nadzwyczajnym, jeśli nawet nie pokaże twarzy.

- Ale pokazał, kiedy licytował. Zmięty, mały kurdupel. Jak margines, którego ktoś uprał, ale niedokładnie. Na pewno nie żaden nadzieany gość.

- To był margines - wtrącił ten trzeci. Mieszczuch wyszczerzył zęby.

- Ptaszyna twierdzi, że widział go kiedyś w mieście, w rynsztoku. Wszystko razem wyglądało dziwnie. Postanowiliśmy iść za nim. Nigdy nie wiadomo, co się kiedy może przydać. No i patrz jesteś tutaj i chcesz wiedzieć, co się dzieje.

- Może i chcę. Co widzieliście?

- Chcesz wszystko za darmo, nie? Nic z tego, Garrett. My też musimy z czegoś żyć. Nie usłyszałeś dość, żeby wiedzieć, czy chcesz więcej, to musisz sobie poradzić bez.

Udawałem, że się namyślam. A potem wygrzebałem kilka drobnych monet.

- Jestem zainteresowany. Ale musicie powiedzieć dużo więcej niż do tej pory.

Mieszczuch wymienił spojrzenia z kolesiami. Musieli ufać jego osądowi, co spowodowało, że znaleźli się w pozycji, w jakiej wolałbym się nie znaleźć. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak Mieszczuch odwalił swoją piątkę w Kantardzie.

- Zaryzykuję Garrett. Powiem ci więcej, niż powiedziałbym komukolwiek innemu. Ale tylko dlatego że cię znam. Dlatego że ufam twojej reputacji uczciwego faceta.

- Włosy zaczynają mi siwieć.

- Raczej chyba wypadać, z tego co widzę. Auć! Dotarło!

- Gadaj, Mieszczuch.

- Dobra, Spieszysz się, jak zawsze. Słuchaj. Dwaj faceci, którzy przyszli tu po Barbie, wsadzili ją do powozu z kurduplem, który licytował. Ale on się jakoś zmienił. Zrobił się straszny. Nie chciała iść, ale ją wciągnął. Myślałem, że może jej pomogę, ale oczy tego gościa stały się takie jakies dziwne.

- Zielone?

- No. Jak zielony ogień.

- Zaczynasz mnie interesować, Mieszczuch. Ale jeśli to wszystko...

- Shaker wie, że jeden z facetów pomagał wepchnąć ją do powozu.

- Ach!

- Ty, ale ja go nie znam - wtrącił Shaker. - Chyba gdzieś go widziałem. To nie ktoś, z kim bym się kumpłował, jak Mieszczuch. Tylko facet, którego widywałem.

- A teraz pytanie, od którego zależy wasza przyszłość, panowie. Wiecie, gdzie go znaleźć?

- Wiem, gdzie mieszka - powiedział Shaker. Rzuciłem monety na stół.

- Za chwilę wracam. Przyprawdzą tu faceta, z którym porozmawiacie. Jeśli skontaktujecie nas z gościem, którego szukam, ten facet napełni wam kieszenie.

Wyszedłem, zanim którykolwiek z nich zdążył odpowiedzieć.

?Morley miał towarzystwo. Musiałem czekać. A potem czekać. A potem jeszcze trochę czekać. W czasie, kiedy czekałem, pojawił się Saucerhead. Machnąłem mu ręką. Podszedł z ponurą miną.

- Uśmiechnij się. Potrzebuję trochę mięśni - powiedziałem.

- Niby teraz?

- Za chwilę. Chyba że twoje inwestycje... - Nie może poczekać?

- Czyżby to...? Co się dzieje?

- Nie mam wielkiej ochoty, Garrett Nie jestem w nastroju.

- Odkąd to musisz być w nastroju, żeby zarobić parę marek?

- Hej, rozwalanie łbów nie jest takie zabawne, jak się wydaje, Garrett.

- Wiem, wiem.
- Skąd? Przecież ty nigdy na nikogo, chyba że...
- A czujesz się na tyle dobrze, żeby zarobić parę miedziaków, zanosząc komuś wiadomość?
- Chyba. Taak, sądzę, że dam sobie radę.

Wysłałem go po kapitana Blocka. Jeśli będę musiał czekać, aż

Morley skończy swoje igraszki, mogę równie dobrze w tym czasie ściągnąć gościa od forsy.

Czekałem. I jeszcze czekałem. A potem jeszcze czekałem. Czekałem tak długo, że aż wytrzeźwiałem. Morleya nie było. Pojawili się Block i Tharpe, obaj ociekający wodą. Znowu lało. Zacząłem na poważnie zastanawiać się, czy nie wejść w przemysł stoczniowy. Kiedy Morley wciąż nie wykazywał tendencji do znudzenia się swoim gościem, powiedziałem:

- Do diabła z nim. Poradzimy sobie sami. Idziemy.

Block spojrział z wyraźną ulgą. Nie uważał, żeby to było polityczne pokazywać się na mieście z zawodowym mordercą.

- Chyba przejdę się z wami - mruknął Saucerhead.
- Myślałem, że nie jesteś w nastroju.
- Może zmieniam nastroje.
- Wiesz, tam pada.
- Zawsze pada. Idziemy.

Block niewiele mówił, dopóki cieszyliśmy się intymną atmosferą ulicy.

- Mam nadzieję, że to coś dobrego, Garrett. Muszę go mieć. - Tak?

- Znowu naciski. Tu na dole się tego nie czuje. Górę ogarnęła panika. Niektórzy tale się zachowują, jakby u bram stali Venageti. Muszę szybko coś mieć. Cokolwiek.

- Wiesz pan co? Jak to wypali, proszę im przekazać ode mnie, żeby pilnowali swoich córek i nie puszczali ich do Połudwicy.

- Zejdź ze mnie, Garrett

- Mówię serio. Pojawił się nowy szpan wśród młodych. Iść do Połudwicy i rznąć tanią dziwkę. Pewnie to nie uszczęśliwi ich papciów, ale to fakt. Zdaje się, że nasz morderca wybiera sobie ofiary wśród bogatych dziewczyn pracujących w dzielnicy.

- To nikogo nie ucieszy.

- Nie, zwłaszcza gdy się rozniesie. Pamięta pan, żadna z rozmów na temat ofiar nie wspominała o niczym podobnym. Chyba rozmawialiśmy nie z tymi ludźmi. Z ludźmi, którzy nic nie wiedzą i niczego się nie domyślają, bo ciało nie znaleziono w pobliżu tej dzielnicy.

- Może niektórzy coś podejrzewali. Przypominam sobie chyba

teraz historie, w których jedni próbowali wybielać innych. - Block pociągnął nosem, czknął, chrząknął. Chyba zbierało mu się na katar.

- Jeśli dopisze nam trochę szczęścia, nie będziemy się tym musieli zajmować.

- A jeśli nie będziemy mieć szczęścia, puścimy w obieg plotkę, tak żeby się nie wydawało, że wyszła od pana. Będzie wyglądało, że krąży już od dawna.

Block chrząknął znowu.

Obejrzałem się przez ramię. Miałem rację. Ktoś za nami szedł.

- Wziął pan może paru chłopców? - zapytałem Blocka. Block też się obejrzał.

- Tak. To moi. Widać, no nie?

- Nie mają dużo praktyki.

- Pomyślałem, że dobrze by było mieć paru aniołów stróżów pod ręką.

- Au. Złe się pan czuje w Połudwicy?

- Śmieję się, póki możesz, Garrett. Wszystko się wkrótce zmieni. Miła gadka, ale nie postawiłbym na to nawet miedziaka. Dobre intencje nie pokonają inercji dziesięcioleci.

' Dotarliśmy do Namiętnej Wiedźmy. Sprawdziłem moich towarzyszy, zanim weszliśmy. Tharpe był w porządku. A Block nie wyglądał jak uosobienie prawa.

- Będziemy rozmawiać z prawdziwymi mętami. Pozwólcie, że to ja będę gadał. Niezależnie od okoliczności, jasne?

- On myśli o panu, kapitanie - wyjaśnił Saucerhead. - Chcesz pan stracić tych facetów, daj im do zrozumienia, kim jesteś.

Zgromiłem wzrokiem Tharpe'a.

- Garrett, znam Mieszczucha Billy'ego Byrda - odparł. - Dno den.

- Postaram się ich tu zwabić. Przyniósł pan forszę? - zapytałem Blocka.

- Trochę. Nie pozwolę im się obrabować.

- Nie mają aż tak dużej wyobraźni. To, co oni nazywają rabunkiem, my nazwiemy napiwkami. -

Wepchnąłem się do lokalu.

Wieczór dobiegał końca, ale Mieszczuch i jego kolesie twardo siedzieli na posterunku, tuląc gliniane butelki i czekając na okazję do zabawy. Zastukałem.

- Myślałem, że o nas zapomniawsz - burknął Mieszczuch.

- Miałem problemy ze znalezieniem faceta.

- Hę?

- Tego, dla którego pracuję. Tego, który chce się dowiedzieć tego, co wy wiecie. Czeka na zewnątrz. Chce posłuchać. Ma forszę. Gotowi do ubicia interesu?

- Teraz?

- Chcecie czekać na urodziny króla? Nie mamy czasu do stracenia.

- Dlaczego nie wejdzie? Tam pada.

- Nie chce się pokazywać. I tak musicie zmoknąć. Pokażecie nam przecież drogę, no nie?

- Chyba. Shaker, zajmij się butelkami. - Oczywiście, żeby odzyskać depozyt. - Ptaszyna, chodź.

Poszedłem przodem. Mieszczuch i Ptaszyna szli za mną, tak jakby liczyli się z problemami. Każdy miał rękę za pazuchą. Noże. Shaker nie odzyskiwał depozytu przy barze. Zniknął.

- Pomyśl o tym, Garrett. Mamy kilka morderstw. Dziewczyny z Góry mają na pewno bogatych tatusiów, którzy takich go-łodupców jak ty czy ja pożerają na śniadanie. Może być kiepsko.

Przeszliśmy może z milę, aż dotarliśmy do obszaru gęstych zabudowań, zajmowanych głównie przez nowo przybyłych do TunFaire. Facet, którego szukaliśmy, nie mógł przebywać w mieście od dawna. Tylko ignorant wlaźby w coś takiego, jak on.

Mieszczuch i Ptaszyna podprowadzili nas do czteropiętrowego szeregowca pośrodku długiego rzędu domów. Zwyczajny magazyn ludzi, choć może nieco przyzwoitszy od innych. Przygnębiające.

Chmury się rozproszyły, pozwoliły przedrzeć się pojedynczemu promykowi księżyca. Stanowił jedyne oświetlenie, ale nie narzekałem. Miło, że przestało lać, choćby na chwilę.

- Górne piętro, ostatnie drzwi - oznajmił Mieszczuch. - Wynajął sypialnię tylko dla siebie.

- Dobrze się napracowaliście, Mieszczuch.

Jego łasiczy pyszczek rozciągnął się w paskudnym uśmiechu.

- Wiedziałem, że ktoś będzie miał na niego ochotę, prędzej czy później.

Block warknął, ale zachował opinię dla siebie. Nawet gwiazdziściocy idealisci wiedzieli, że nikt nie sprzeda obywatelom TunFaire idei odpowiedzialności cywilnej. Nie po tym, jak ci sami obywatele obserwowali lepszych od siebie, którzy od setek lat pilnowali wyłącznie własnych interesów.

- Najwyższe piętro, ostatnie drzwi - burknąłem, już się ciesząc na wspinaczkę. - Nieuprzejmy gnojek.

- Właśnie. Wy go wyciągacie, my przyszpilamy i wszyscy idą do domu. Tak?

- Tak. Saucerhead?

Tharpe właśnie się zmaterializował. Przez ramię miał przewieszzonego bezwładnego Shakera.

- Słucham?

- Upewniam się tylko, że tu jesteś. - Za co stuknął Shakerą? Może dla czystej radochy?

- Ripley, przeczesz budynek - polecił Block.

Od cieni oderwały się cienie. Mieszczuch rozdziawił paszczę, gdy dwóch facetów weszło do szeregowca. Ukłąkł obok Shakera, mamrocząc coś na temat złego traktowania i braku zaufania.

- A na naszym miejscu zaufałybyś sobie? - zapytałem. Jeden z chłopców Blocka wrócił, zdyszany.

- Ktoś tam rzeczywiście jest. Chrapie. Są tylko jedne drzwi. Nie ma innego wyjścia, chyba że przez okno.

- Jest okno - odparł Mieszczuch. - Jeśli ma sprężyny zamiast nóg, może próbować przeskoczyć na dach drugiego domu na tyłach tego.

- Jeśli śpi, nie powinien mieć czasu na dojście do okna, otwarcie go i skok - zauważyłem.

- Pozwólcie, że się upewnię - zasugerował łagodnie Saucerhead, delikatnie dając do zrozumienia, że to on jest tu specjalistą.

- Dobra.

Saucerhead, Block i ja weszliśmy na górę, podczas gdy Ripley na wszelki wypadek okrążył budynek i zaszedł go od tyłu. Próbowaliśmy iść cicho, ale coś się dzieje z odgłosem kroków, kiedy człowiek stara się iść cicho i spodziewa się kłopotów. Zza każdych mijanych drzwi, gdzie ludzie jeszcze nie spali, wyczuwałem strach i nagłą czujność.

Drugi człowiek Blocka czekał na górze.

§:

- Wciąż chrapie? - szeptem upewnił się Block.

Musiał pytać? Do diabła, pewnie, że chrapał. Nigdy w życiu nie słyszałem takiego dźwięku. To skrzypienie i ryk musiały być jednym z cudów świata.

- Ostrożnie - szepnąłem do Saucerheada. Kiwnął głową. Wszyscy zeszli mu z drogi. Wydawało się, że nagle spuchł, po

czym ruszył przed siebie. Drzwi eksplodowały. Skoczyłem tuż za Saucerheadem, ale nim zdołałem podnieść rękę, już było po wszystkim. Mięso uderzyło o mięso, chrapanie przerodziło się w stłumione jęki.

- Mam go pod kontrolą - oznajmił Saucerhead.

- Daj go na dół - poleciłem.

Tharpe stęknął. Block wyminął go i otworzył okno.

- Mamy go, Ripley. Wracaj od frontu.

Zeszliśmy na dół. Zza drzwi, których nie zniszczyliśmy, wyczuwałem strach. Im dłużej myślałem, jak się czują tamci ludzie, tym mniej mi się podobało to, co robię.

Nasz więzień był lekko oszołomiony. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Block zapytał:

- Czy to ten gość?

Mieszczuch i Ptaszyna schowali się w cieniu z dala od światła księżyca.

- Tak, to on - rzekł wreszcie Ptaszyna.

- Widzieliście, jak ten gość pomagał wepchnąć dziewczynę do powozu? - zapytałem. Odgrywałem teraz pewną rolę i Saucerhead był dość dobry, żeby w nią wejść. Wierzyłem Ptaszynie.

Ten facet był jednym z chłopców, którzy próbowali zwinąć córkę Chodo. Chyba mieliśmy innego mordercę, ale tę samą ekipę.

- To ten gość, Garrett - zapewniał Mieszczuch. - Czego jeszcze chcesz? Daj spokój, płac i cześć.

Block nakazał pomocnikom, aby odprowadzili więźnia, a sam uścił zapłatę.

- Znasz tych ludzi, Garrett? Na wypadek gdyby to była zмова i gdybym chciał ich znaleźć?

- Znam ich. - Wciąż nie wspominałem o wypadku w knajpie Morleya i nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego im ufam.

- Hej, Garrett? Wykręciłem ci kiedyś numer?

- Jeszcze nie, Mieszczuch. Ruszaj. Dobrej zabawy. - Za dziesięć marek człowiek może w tej okolicy szaleć długo, bardzo długo.

Mieszczuch i jego kolesie ulotnili się jak sen. Z forszą w garści ciężko ich będzie namierzyć. Przez jakiś czas.

- Chcesz pan pomóc przy przesłuchaniu? - zapytał Block.

- Niespecjalnie. Tylko jeśli będę musiał. Przede wszystkim chcę iść spać. Długo się męczyłem, nim go znalazłem. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy zdejmiecie całą bandę.

- Jasne. - Uścił mi dłoń. - Dzięki jeszcze raz, Garrett. Winchell, zabierz go.

Nie powiedziałem „Do usług, kapitanie”, bo jeszcze złapałby mnie za słowo.

Truposz nie był wstrząśnięty. Nie pozwoli, aby cokolwiek zrobiło na nim wrażenie, jeśli nie on sam tego dokonał. Obawia się, że wpadnę w samozachwył.

Ale zmiękł, kiedy wróciłem z przedstawienia, jakie Block i jego oddziały, z wielkim hukiem i na oczach wielu oficjalnych świadków, urządzili w opuszczonej warzelni, zgarniając ponurego małego człowieczka, który bez wątpienia był autorem ostatniego morderstwa. Odzyskano ubranie i części ciała ofiar. Te potwory przywiązują się do pamiątek. Nie wspomnę już o tym, jak staruszek rzygnął chmurą motyli, z których niektóre były jadowite. Ledwie go opanowali.

Opanować to znaczy zabić. Znowu. Tej części spektaklu nie widziałem, ale tuzin Strażników, których wyniesiono na noszach, świadczył, że Block miał rację - naprawdę nie mieli wyboru.

Mam nadzieję, że kapitan Block podejmie odpowiednie środki ostrożności, zauważył Truposz.

- Myślę, że tak.

Doskonale. Mogłoby się więc wydawać, że sprawa jest zamknięta.

- Zostaje tylko skasować forszę.

Rzeczywiście. Resztę wieczoru masz wolną. Wyśpij się do rana.

- Ależ jesteśmy hojni w szafowaniu czasem, który do nas nie należy, czyż nie?

Jutro musisz podjąć śledztwo tak, jakby nic się nie stało. Szukaj dalej panny Contague. Staraj się zidentyfikować potencjalne ofiary. I przyjrzyj się uważniej gościowi, którego dziś zgarnęliście. Może miał więcej niż jednego współlnika.

- Miał. Ale ten drugi facet ulotnił się z miasta, zanim skończyliśmy aresztować pierwszego. Mieszkał w tym samym śmietniku. Więc co się dzieje? Wreszcie ci odbiło? Myślisz, że dorwaliśmy nie tego mordercę?

Ufam, że twoje sławetne szczęście cię nie opuściło i że zwinęliście właściwego łotra. Ale przedtem też mieliście właściwego, a mimo to Śmierć nie opuściła kolejki

- Nie wydaje ci się, że to już koniec?

Mam szczerą nadzieję. Ale sądzę, że mądry człowiek powinien wcześniej przygotować się na wybiegi zła i niezaradność Straży. Byłoby doskonale, gdyby wszystko się powiodło. Ale jeśli nie, przynajmniej nie zmarnujemy czasu, czyż nie?

- Wszystko jest kwestią punktu widzenia. Nie jestem tym facetem, który spędza czas z głową w

obłokach na własnym tyłku. To ja biegam wte i wewte, zdzierając sobie nogi do kolan. Idę do łóżka. Obudź mnie, kiedy wojna się skończy.

Jeśli zdarzy się najgorsze, pożałujesz, że nie podjąłeś nawet najdrobniejszych środków ostrożności.

Pewnie. Dobra. Może jeszcze się z nim trochę pobawię. Na wszelki wypadek. A co to szkodzi? Czy ja mam co innego do roboty? A poza tym wokół sprawy kręci się jeszcze parę ślicznych ślicznotek. Może trafię na taką, która będzie jednocześnie i miła, i normalna.

Pozostawanie w domu oznaczałoby jedynie spotkanie z kolesiami Deana. Gdyby zliczyć, jakie ilości piwa wlewają w siebie te dziadki, to chyba taniej byłoby zatrudnić profesjonalnych pomocników.

Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Truposz aż pienił się z ambicji. Dopadł tej sprawy jak wygłodniały pies kości. I nie popuszczał.

Łatwiej było wyjść z domu na mżawkę i odwalić łożenie, niż siedzieć w domu i się sprzeczać. Zwłaszcza że Dean ostatnio zaczął brać stronę Truposza.

Może już czas pomyśleć o oddzielnym mieszkaniu?

Truposz wciąż zmuszał Blocka do kopania się w rejestrach. Block był teraz jego najlepszym kumplem. Stał się jasnowłosym paziem Księcia. Bohaterem Góry. Jego nazwisko widniało na szczycie krótkiej listy do nowej, ulepszonej, poważnej i - miejmy nadzieję - użytecznej Straży. Jednego nam się tylko nie udało osiągnąć - wypłaty należności. Miał zamiar nas wydudkać.

Powiedział, że zapłaci, jak tylko się upewni, że udało nam się wypracować ostateczne rozwiązanie, które chce kupić. Dobra. Zamierza nas wydudkać.

Nie obchodziło mnie, czy jest kolesiem Truposza, czy nie. Nie obchodziło mnie, czy jest w łaskach u księcia, czy nie. Umieściłem go na mojej liście, którą zamierzałem przekazać do agencji windykacji należności Saucerheada Tharpe'a.

Tymczasem, w przerwach pomiędzy innymi czynnościami, prowadziłem również moje emocjonujące badania przerażającego zagrożenia dla świata i pokoju, Warczącego Psa Amato, głównie poprzez odbieranie od niego raportów, pobieżne ich przeglądanie i przekazywanie odpowiednich komentarzy Hullarowi, by ten z kolei informował córkę Amato. Ambicje autobiograficzne Warczącego Psa kurczyły się w miarę, jak poprawiała się pogoda. Byłem za to wdzięczny, zwłaszcza kiedy zajął się próbami nowego, jeszcze bardziej imponującego przedstawienia, wymyślnego z pomocą Truposza.

Dni mijały błyskawicznie. Kręciłem się po mieście, próbując wpaść na ślad wcześniejszych zabójstw. Do niczego nie doszedłem. Jeśli można było w ogóle mówić o sławie, Block postarał się, żeby to jego chłopcy wszystko zgarnęli. Nie uzyskałem dostępu do żadnych zapisów.

Wieczory też mijały. Zyskiwałem i traciłem przyjaciół w Połudwicy. Ludzie byli wstrząśnięci tym, co przytrafiło się tym dziewczętom - ale jeszcze bardziej tym, jak taka wiadomość wpłynie na ich interesy.

Ogólne podejście było takie: złapcie faceta i odwalcie się od nas.

W sześć dni po moim zdumiewającym wyczynie z Mieszczuchem Billym Byrdem powiedziałem do Truposza:

- Znalazłem dziewczynę. Właściwie nawet dwie. Jedna z nich to na pewno ta.

Candy, u Hullara, oczywiście. A ta druga?

- Dixie Starr. Pracuje w kasynie u Mamy Sama. Dixie Starr?

- Naprawdę. Nazwij to pseudonimem artystycznym. Barbie była jedyną ofiarą, która używała w przybliżeniu własnego nazwiska. - Ostatnia ofiara nazywała się Barbra Tennys i była córką

wicehrabiego mającego mroczne powiązania z rodziną królewską, której członkiem był również książę Rupert. Matka Barbry była strażniczką burz i przebywała w Kantardzie. Żaden dowód nie był w stanie przekonać ojca, że jego córeczka dla rozrywki handluje swymi wdziękami na aukcji, dopóki rzeczywistość upiornymi mackami nie rozdarła urojeń. - Imię Dixie słyszałem już kiedyś w Zamaskowanym Gościu. To dziewczyna z problemami. Z drugiej strony, Candy to czyste niewiniątko na ulicy. Nie sądzę, żeby trudno było się dowiedzieć, kim jest naprawdę. Wątpię, żeby zauważyła, jeśli nawet poszedłbym za nią aż do domu. A tożsamość tej kobiety, Dude?

- Też już ją mam. Niejaka Emma Setlow. Jej ojciec i dziadek są pakowaczami mięsa, którzy znaleźli lepszy sposób na konserwowanie kielbas. Zbili fortunę na zamówieniach dla armii.

Nie uzyskałeś niczego użytecznego, poszukując informacji z przeszłości?

- Block się postarał, żebym nie znalazł się bodaj w pobliżu oficjalnych zapisów. Ale z tego, co wiem, sam też specjalnie niczego nie szuka. Cokolwiek twierdzi. Zbyt jest pochłonięty produkcją politycznej sieczki i rozprzestrzenianiem wpływów na całą Straż.

Sądzę, że zmieni tę postawę.

Niech mnie szlag, jeśli nie doznałem wrażenia, że on coś wie, a nie chce powiedzieć.

Wreszcie przyszedł dzień, kiedy deszcze rzeczywiście się skończyły. Dean tak się podniecił, że obudził mnie o świcie. Kłąłem i sypałem pogrózkami, ale wygrał. Zainteresował mnie. Ciekawe, jak wygląda światło dzienne bez deszczu? Moje ciało skrzypiało i pojękiwało, ale wywlokłem tyłek i ruszyłem na śniadanie.

Dean odstłonił firanki i pootwierał okna.

- Dom trzeba wywietrzyć.

Pewnie tak. Wzruszyłem ramionami, siorbiąc herbatę.

- Na ulicach będzie szaleństwo. Dean kiwnął głową.

- Muszę zrobić zakupy. Ja też kiwnąłem głową.

- Warczący Pies urządzi nowe przedstawienie, jeśli deszcz nie zacznie padać. Nie mogę tego przepuścić. Każdy w mieście znalazł jakąś wymówkę, żeby wyjść na ulicę, nawet jeśli wiedział, że inni też tam będą.

- Przynajmniej miasto jest czyste - zauważył Dean.

- Pewnie. Padało dość długo.

- Teraz dobrze by było, gdyby ludzie zachowali ten stan rzeczy.

- Podał mi talerz biskwitów, wprost z piekarnika, jeszcze parujących. Śliniłem się tak, że mówienie musiałem pozostawić jemu.

Nie słyszałem nic, a to znaczy, że stałem się roztargniony. To mi się zdarza coraz częściej i częściej i częściej, w miarę jak kobiety mojego życia stają się kobietami moich marzeń. W każdym razie podniosłem wzrok i stwierdziłem, że staruszek zniknął. Zaskoczony, podniosłem się z miejsca i wtedy usłyszałem jego głos. Poszedł otworzyć drzwi. I wpuścił kogoś do środka.

A ja będę z nim musiał gadać.

Tym kimś okazał się kapitan Block.

- Tylko nie znowu to - mruknąłem, ale na tyle głośno, żeby być usłyszonym.

Dean położył jeszcze jedno nakrycie, nalał herbaty. Block usadowił się i zajął oblepianiem biskwitu miodem. Udawałem, że go nie widzę.

- Jeszcze nie jestem pewien, Garrett - powiedział z pełnymi ustami - ale mogą być znowu kłopoty.

- To nie mój problem. I nie będzie moim problemem. Jedynym problemem w moim życiu jest próżnowanie.

Block poczerwieniał, zniecka i całkowicie. Sądził, że próbujemy razem rozwiązać pechową dla niego zagadkę. I miał rację. Ale to on ustalał warunki. A biorąc pod uwagę alternatywę, ja uważałem, że wykręcił się tanim kosztem.

Ochłonął znacznie, zanim odważył się odezwać.

- Garrett, czy może pamiętasz noże z domu Hamiltona?

- Narzędzia rytualne? Co z nimi?

- Zniknęły. Dostaliśmy je z powrotem, kiedy dorwaliśmy Spendera.

Spender to był ten przeklęty świr w opuszczonym browarze. - I co?

- Były zamknięte w barakach, w zbrojowni. Mam tam półkę na przechowywanie dowodów rzeczowych. Jeszcze przedwczoraj tam były. Wczoraj już nie.

- No i?

- Jutro przypada kolejna noc ataku mordercy.

- Oho, rzeczywiście - stwierdziłem jak najbardziej sarkastycznym tonem, jakbym był zdumiony, że Strażnik sam może na to wpaść.

- Kapral Elvis Winchell, który był członkiem grupy operacyjnej tamtej nocy, zniknął wczoraj o niewiadomej porze. Miał dostęp do zbrojowni. Zdaje się, że on i niejaki Price Ripley byli izolowani z trupem mordercy przez około siedmiu minut w czasie podróży ciała do pieca.

- I obawia się pan, że Winchell...

- Tak. Znowu potrzebuję twojej pomocy, Garrett.

- Cudownie jest być docenionym. Naprawdę cudownie. Ale rozmawia pan nie z tym facetem.

Musi się pan zobaczyć z moim księgowym.

- Co?

Pogubił się. Nie nadażał.

- Z Truposzem. Ale on też jest na pana zły. Ja o forszę, on o informacje.

- Och, znowu do tego wracasz, Garrett.

- Znowu do tego wracam. To podstawa. Mam wrażenie, że jeśli go pan do czegoś namówi, będzie nalegał na płatność z góry.

Block ani zipnął. Nie miał odwagi. Wkrótce sprawdzimy, czy naprawdę jest aż tak zdesperowany. Zaprowadziłem go do Truposza.

Wyszedłem po cichutku za ich plecami, kiedy nie patrzyli. Kłótnia będzie długa i nudna, bo Block jeszcze nie spanikował.

Negocjacje to dla Truposza prawdziwa rozrywka. Moje upodobania są bardziej przyziemne, bardziej podstawowe. Może nie całkiem prymitywne, ale daleko im do wzniosłości. Zawsze pomaga, jeśli w okolicy znajdzie się dama. Zwłaszcza jeśli nie jest damą.

Warczący Pies zdystansował drugiego głosiciela zwariowanych religii, pokazując się jako pierwszy. Kiedy przyszedłem, tamten wariat też już tam był. Miał zły humor. Burczał i kwękał. Amato podsuwał przechodniom pod nos transparenty i ulotki, i udawał, że go nie widzi. Warczący Pies był pewny siebie. Był gotowy.

Jego powrót został odnotowany we właściwy sposób. Normalna widownia składała się z funkcjonariuszy, którzy pracowali w tej okolicy. Mieli go na oku, zastanawiając się, kiedy zaczną bredzić. Pojawiły się spekulacje. Wydawało się, że w czasie nieobecności zdrowo podkarmił swoje szaleństwo. Powrót stał się happeningiem, któremu przeciwna była tylko jedna biedna dusza.

Wreszcie święty wariatuńcio zszedł z pola bitwy z wielkim rozgoryczeniem.

Sceną Warczącego Psa są schody Sądu. W pewnym sensie to całkiem właściwe. W dawnych czasach Sąd był dworem sprawiedliwości, ale czasy się zmieniły. Dziś jest to miejsce, gdzie

przechowuje się stare oficjalne zapisy księstwa, głównie cywilne, oraz cześć kronik królewskich. Pół głównego pietra zajmują urzędnicy, którzy prowadzą nabór wojskowy w tej części Karenty. Wyemigrowali wiele lat temu z wojskowej części Sądu, kiedy to zostali stamtąd wypchnięci przez biura zaopatrzenia, które rozrastają się szybciej i szybciej, w miarę jak wygasa wojna.

Struktura Sądu jest reliktem Imperium, zbudowanym dość późno, z wyraźną tendencją do przepychu. Aby dotrzeć do ogromnych mosiężnych bram wejściowych, należy pokonać osiemdziesiąt schodów z czarnego granitu, które biegną wzdłuż całej frontowej ściany budynku. Co każde dwadzieścia stopni znajduje się podest, szerokości dziesięciu stóp. Korzystają z tego handlarze i mówcy, tacy jak Warczący Pies. Jeśli coś można sprzedać z tacy zawieszanej na szyi, na pewno można to kupić na stopniach Sądu.

Stanowisko Amato znajdowało się z lewej strony pierwszego podestu. Większość ruchu z i do budynku w sposób naturalny skupiała się w tym miejscu, poza tym Warczący Pies znajdował się na takiej wysokości, że łatwo go było usłyszeć i zobaczyć z ulicy.

Ustawiłem się przy kamiennej barierce wzdłuż pierwszego podestu. Skinąłem głową Warczącemu Psu. Powitał mnie uśmiechem. Poprawił transparenty. Było ich cztery, wszystkie na kijach z podstawami, dzięki którym trzymały się prosto.

Ludzie wchodzący do Sądu czy przechodzący ulicą zatrzymywali się, przystawali, w nadziei że impreza wkrótce się zacznie. Kilku typowych urzędników zbiło się w grupkę. Mieli nieszczęśliwe miny. Zwierzchnicy przysłali ich, aby pilnowali interesu i wezwali, kogo trzeba, jeśli zrobi się gorąco.

Warczący Pies był szalony jak stado pijanych oposów, ale miał swoich fanów.

Sądząc z tablic, kazanie na dziś będzie typowym tekstem pod publikę, opisującym międzynarodowy spisek odmawiający Warczącemu Psu Amato praw i majątku.

Pozwolił, żeby informacja się rozeszła, nim zacznie mówić.

Czekał, aż dzień roboczy rozpocznie się na dobre. A potem zaczął mówić, cicho i powoli, bez mosiężnego megafonu. Odczekał, aż się rozejdzie, że zaczął mówić.

Zauważyłem coś, co mi uciekło wcześniej, podczas bardziej przypadkowych wizyt. Warczący Pies postawił na schodach garnek oznakowany jako pojemnik na datki. Przechodnie zaskoczyli mnie swoją hojnością.

Może Amato był mniejszym głupkiem, niż sądziłem? Może w ten sposób płacił za swoje zakupy? Może w ogóle tylko o to chodziło...? Nie. To niemożliwe. Żyłby wtedy lepiej.

Zaczął mówić, łagodnie, powoli i całkiem do rzeczy, tonem niemal konwersacyjnym. To skutek jego rozmów z Truposzem. Cichy głos przyciągał przechodniów, zmuszał do słuchania. Ja sam ledwie słyszałem, co mówi.

- Znaki i zwiastuny - powiedział, lekko podnosząc głos. - Tak! Znaki i zwiastuny! Godzina nadchodzi! Jest tuż tuż. Zbrodniarze zostaną ujawnieni w całej swej ohydzie. Zostaną obnażeni, wykorzeni, a my, którzy przetrwaliliśmy, którzy nosiliśmy ich ciężar na swych barkach, aż staliśmy się garbusami, wreszcie ujrzymy zapłatę za nasze cierpienia.

Rozejrzałem się. Czy ktoś tutaj mógłby mnie rozpoznać? Te słowa brzmiały na tyle podejrzanie, że można by mnie posądzić o tendencje wywrotowe. Dla mnie nie byłby to zdrowy zwrot w karierze. Buntownicze przemówienia to coś, co może was zaprowadzić do prawdziwego więzienia - zwłaszcza gdybyście byli dość głupi, aby mówić o tym na stopniach Sądu zamiast przy barze w najbliższej tawernie. Na zewnątrz, w pełnym świetle, może to nabrać całkowicie innego wydźwięku niż zwykłe narzekania.

Ha! Nabrałem cię, Garrett!

Wszyscy, którzy usłyszeli o garbusach, nagle doszli do tego samego wniosku. Tłum uspokoił się, czekając, aż Warczący Pies wlezie w gówna po kolana, a potem wsadzi sobie nogę do gęby.

Skąd ludzie mają takie skłonności do obserwowania rozgrywającej się właśnie katastrofy?

Warczący Pies nagle zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni.

- Ukradli moje domy. Ukradli moje ziemie. Ukradli moje rodzinne tytuły. A teraz próbują skraść moje dobre imię, tak aby

tif :>

mogli zamknąć mi usta, gdy zacznę głosić ich niegodziwość. Uwięzili mnie w Al- Khar, próbując uciszyć mój krzyk. Ale okradając mnie ze wszystkiego, pozostawili mnie również bez lęku. Nie mam już nic do stracenia, nic mi nie zostawili. Kradnąc mi wszystko, zabrali także i te znaki, które przypominają im, kim jestem. Zapomną, kogo skazali na tak okrutny los.

Kropotkin F. Amato nie podda się. Kropotkin F. Amato będzie walczył tak długo, jak długo w jego sponiewieranym ciele zostanie choć jeden oddech.

Wszystko to były stare śpiewki, jeśli nie liczyć nawiązania do pobytu w więzieniu. Zaczął tracić publikę. Ale wtedy zrobił coś, czego nie robił nigdy przedtem. Zaczął wymieniać nazwiska. I chodzić to w jedną, to w drugą stronę, wymachując rękami jak wiatrak, wykrzykując wściekle. Znowu myślałem, że kopie sobie grób, kiedy zdałem sobie sprawę, że wymienił tylko te nazwiska, które i tak były na publicznym indeksie. I do tego nie powiedział na ich temat niczego niewłaściwego. Otoczył jedynie nazwiska takim hałasem, że ich właściciele można by pozamykać za współudział w zakłócaniu porządku publicznego.

Facet był nieziemsko cwany.

?- Ten facet jest nieziemsko cwany.

Podskoczyłem dość wysoko, żeby posiniaczyć sobie głowę o co niższe chmury.

- Mówię o tym, że umie używać prawdy do opowiadania kłamstw, v- Za moimi plecami znikąd pojawił się niejaki Crask.

- Dlaczego ciągle musisz to robić? - warknąłem. Wyszczrzył zęby.

- Bo lubię patrzeć, jak skaczesz. - I rzeczywiście tak uważał. Będzie próbował zmuszać mnie do skakania aż do dnia, w którym całkiem serio przywita mnie nożem.

- Czego chcesz? - Mój nastrój nie był już taki jak przed chwilą.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę, Garrett. Nigdy o to nie chodzi. Chodzi o to, czego chce Chodo. Wiesz o rym. Ja jestem tylko chłopcem na posyłki.

Aha. A tygrys szablozęby jest domowym kiciusiem.

- Pogramy. To czego chce dziś pan kacyk? - Próbowałem jednym okiem obserwować Warczącego Psa. Amato był właśnie na etapie toczenia piany z ust, wyklinając i denuncjując wszystko i wszystkich, gromadząc wokół siebie jeden z większych tłumów

w swojej karierze. Ale jakoś nie mogłem się na nim skupić w tak bezpośredniej bliskości Craska.

- Chodo chce porozmawiać o dziewczynie - rzekł. - Dziewczynie?

- Nie rznij głupa. To jego dzieciak. Nie w porządku, żeby siedziała w Połudwicy, cokolwiek tam robi. To nie wygląda dobrze. Nie może się roznieść.

- Nie podoba ci się, to powiedz, żeby przestała.

- I znowu to robisz. Głupol. Wiesz, że to nie takie proste, Garrett.

- Wiem. To nie byle jaka gówniara z ulicy, której można zerznąć tyłek, a nawet skopać żebra, jeśli się źle sprawuje.

- Masz kłopoty ze swoją gębą, Garrett. Już nie raz mówiłem Chodo, że ty masz problem z gębą. Przez jakiś czas tego nie widział. Ale ostatnio ma jakieś wyraźniejsze zapatrywania na życie. Byłoby

dobrze, gdybyś łaskawie trzymał ten parszywy ozór za zębami, kiedy się z nim zobaczysz.

Zawsze miałem.. Widzicie go? Nie planowałem oglądać tego starego zgreda przez najbliższe tysiąclecie. Poinformowałem o tym Craska.

- Wszyscy mamy prawo do swoich opinii, a nawet małych marzeń. Przyznaję. Ale czasami trzeba je zmieniać, Garrett.

Rozejrzałem się. Crask nie był sam. Naturalnie. Sprowadził dość ludzi, żeby przetransportować czterech takich niechętnych do współpracy typów jak ja.

- Chyba coś w tym jest - przyznałem. Wstałem, dając znak, aby poszedł przodem.

Rozważałem możliwość wzięcia nóg za pas. Tłumek wokół Warczącego Psa mógłby mi to umożliwić. Ale miałem przecucie, że nie grozi mi niebezpieczeństwo. Jeszcze nie. Gdybym znalazł się na szczycie listy kacyka, już by mnie nie było wśród żywych. Dla Chodo i jego głównych zbirów zabijanie było całkowicie rzeczowym interesem. Nie tracili czasu na igraszki z ofiarami - chyba że, zabijając faceta z prędkością cała na godzinę, mogliby zyskać widoki na dużą reklamę.

- Szkoda, że nie wysłucham do końca. - Pokazałem na Warczącego Psa.

- Aha. Stary wpadł w trans. Ale biznes to biznes. Idziemy.

Nasz bezpośredni cel stał przy krawężniku po drugiej stronie Sądu. Był to wielki, czarny powóz, podobny do powozu faceta od motyli. Osobisty powóz Chodo Contague'al

- Ileż on ich ma? - Nie tak dawno wyskoczyłem z całkiem podobnej landary, zanim stała się pudełkiem na lunch gromojaszczura większego niż trzypiętrowa kamienica.

- To nowy.

- Tak myślę. - Wyglądał i pachniał jak nowy. Nas, przeszkolonych detektywów, nie można zwieść.

Tamta przejażdżka, zresztą bardzo dla mnie irytująca w owym czasie, wynikała z pewnego nieporozumienia. Do tego stopnia, że postanowiłem załatwić Chodo, zanim znowu dobierze mi się do pióra. Połączyłem siły z tymże samym Craskiem, żeby tego dokonać.

Ale Chodo wciąż żył i wciąż panował.

Nie mieściło mi się to w głowie.

Crask jest cwany, ale niezbyt rozmowny. Od podnóża Góry do posiadłości Chodo jest dość długa droga. Człowiek ma kupę czasu, żeby sobie przemyśleć całe swoje życie. Jeśh" podróżuje z Craskiem i kilku innymi sztywniakami, którzy nie mogą się poszczycić nawet taką okolicznością łagodzącą, jaką jest posiadanie mózgu, łatwo ucieka w filozofię. Trudno się wiecznie bawić, obserwując zawody w puszczaniu bąków i przysłuchując się groteskowej dezinformacji na temat kobiecej anatomii.

Pomimo wysiłków nie zdołałem osiągnąć nic więcej. Udało mi się z Craska wyciągnąć tylko tyle, że odniosłem nieokreślone wrażenie, jakby działa się więcej, niż chce mi powiedzieć.

Było to całkowicie sensowne, jeśli zamierzał skrócić mi kark. Nie mówi się świni, że przyszedł dzień na robienie bekonu. Jedyłą pociechę, jaką mogłem czerpać z tej sytuacji, stanowił fakt, że Crask nie zadawałby sobie tyle trudu, żeby mnie zwyczajnie ukatrupić.

Nie widziałem domu Chodo od dnia, kiedy razem z Winger zakradliśmy się tam, aby przyspieszyć podróż Contague'a do krainy cieni. Pozornie nic się nie zmieniło, jeśli nie liczyć faktu, że szkody naprawiono, a na teren sprowadzono nowe stadko gromojaszczurów, żeby pilnowały domostwa i pasły się na intruzach.

- Jak w dawnych czasach - zauważyłem.

- Dodaliśmy jeden czy dwa numerki - poinformował mnie Crask z jadowitym uśmiechem. Chyba miał nadzieję, że posądzę go o błąd i spróbuje się pożegnać w szybkim tempie. To by się zgadzało z

jego wybiórczym poczuciem humoru.

Jak za dawnych czasów. Chodo powitał nas w sali z basenem.

Mówią tak o niej dlatego, że jest tam wielki, kryty basen - widziałem mniejsze oceany. Z podgrzewaną wodą. Zazwyczaj - choć tym razem wyjątkowo nie - brzegi basenu były udekorowane niewielkim stadkiem rozebranych ślicznotek - oczywiście tylko po to, aby stanowiły ostateczny akcent dekadencji.

Nie wytrzymałem i podczas krótkiej chwili oczekiwania spytałem:

- A gdzie ślicznoty? Tęsknie za nimi.

- Możesz sobie potęsknić. Chodo nie chciał, żeby tu były w czasie pobytu jego córki, i jakoś tak już zostało

Co miałem przez to rozumieć? Że córki już tu nie ma?

Cierpliwości, Garrett, Wszystko się wyjaśni.

Wkrótce pojawił się sam gospodarz. Niewiele się zmienił. Siedział w fotelu na kołach, z ciężkim kocem na kolanach i wokół nóg. Dłonie, jak szpony sępa, spoczywały na kocu. Twarzy nie mogłem widzieć. Głowa zwisała mu w przód i kołysała się z boku na bok.

Sadler zatrzymał go po drugiej stronie basenu, pomanipulował przy fotelu i odchylił go w tył tak, żeby głowa Chodo nie opadała.

Nigdy w życiu nie widziałem go w stanie, który bodaj w przybliżeniu można by nazwać dobrym zdrowiem, ale teraz wyglądał jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Wyglądał jak ktoś otruty arsenikiem, po ciężkiej anemii i spotkaniu z wampirami. Jego skóra właściwie stała się przezroczyta.

Był ubrany i odpicowany jak na audiencję u króla, co sprawiało, że stanowił doprawdy przykry widok.

Ruszyłem w przód. Crask chwycił mnie za ramię.

- Stąd, Garrett.

Sadler pochylił się do prawego ucha Chodo.

- Pan Garrett jest tutaj, sir. - Powiedział przyciszonym głosem. Ledwie go słyszałem.

W oczach Chodo nic nie uległo zmianie. Nie ujrzałem błysku przypomnienia. W ogóle nie miałem podstaw, żeby sądzić, że widzi. Jego oczy nie poruszały się i nie ogniskowały.

Sadler pochylił się, jakby słuchając, co Chodo mówi mu do ucha.

- Chce się czegoś dowiedzieć o swojej córce. - Już przestali udawać, że to nie ona. - Wszystko, co wiesz. Wszystkie domysły.

- Już wam powiedziałem, że...

- On to chce usłyszeć. Wraz ze wszystkim, co pominąłeś. Gówna prawda. Może miałem tego nie zauważyć. Może im na

tym nie zależało, czy zauważę, czy nie, ale wargi Chodo się nie poruszały. Tylko ociekały śliną, nic więcej.

Wróciłem pamięcią do nocy, kiedy próbowaliśmy załatwić zakończenie tej historii. My - to znaczy Crask, Sadler, Winger i ja - przyparliśmy go do muru tete- a- tete z wiedźmą, którą ścigał. Wiedźma przeniosła się w lepsze, mniej zatłoczone światy, zanim wpadliśmy tam z Winger, ale na pożegnanie, w charakterze czułego gestu przyłożyła Chodo pięścią w twarz. Na palcu miała pierścień z jadem żmii.

No i to wszystko. Jad, zamiast zabić Chodo, spowodował paraliż.

Jakże to miłe i wygodne dla Craska i Sadlera. Musieli się uznać za ulubieńców bogów, kiedy to się stało. Ich oryginalny plan polegał na tym, aby wykończyć Chodo i przejąć kontrolę nad organizacją, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje. Był to

historycznie najczęściej stosowany sposób przekazywania władzy w świecie podziemia przestępczego. Oznaczał on jednak długi okres przejściowy, w czasie którego należało wyeliminować potencjalnych wicherzycieli.

W ten sposób nie było żadnych problemów z sukcesją. Chodo żył. Mogli udawać, że wciąż jest przy władzy, powoli przejmując prowadzenie.

Groteskowe.

Ale udałem, że się dałem nabrać.

Podejrzewam, że odmowa udziału w grze byłaby zbrodnią.

W większości przypadków dość dobrze znoszę trudne sytuacje. Nie zdradziłem moich myśli, lecz jak gdyby nigdy nic prowadziłem konwersację z Chodo za pośrednictwem Sadlera.

Przekazałem im dokładny raport na temat seryjnego mordercy i młodych kobiet odwiedzających Połudwice. Nieraz lepiej jest nie chronić ludzi przed gorzką prawdą.

- Widziałeś ją ostatnio? - zapytał Sadler.

- Nie, od dnia, kiedy była u Hullara.

- Nie próbowałeś jej śledzić?

- Dlaczego? Nie, straciłem zainteresowanie, kiedy się dowiedziałem, kun jest.

- Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz - zauważył Crask.

- Podobnie jak ty. Kamuflaż. Sadler zgromił mnie wzrokiem.

- Powinieneś wiedzieć, kun ona jest, kiedy ją zobaczyłeś w knajpie Morleya.

- A mówiąc o Morleyu, poprosiłem go o kontakt z wami, ponieważ dziewczyna może wiedzieć coś, co pomogłoby powstrzymać mordercę. Nie sądzę, aby śledzenie jej w jakikolwiek sposób mogło...

- Powiedziałaś, że morderca nie żyje - wtrącił się Sadler. Najwyraźniej miał ochotę mnie ubić.

- Może. Mamy taką nadzieję. Przedtem też był martwy, a pomimo to morderstwa nie ustały.

- Sądzisz, że tym razem też tak będzie?

- Zniknęły noże rytualne. Zniknął Strażnik, który był przy ciele, a potem miał dostęp do noży.

Może to nic nie znaczy, ale po

co ryzykować? Zidentyfikowałem dwie kobiety, które pasują do profilu ofiary. Mam zamiar ich pilnować jak oka w głowie. - Czy to, co mówiłem, brzmiało sensownie?

Sadler schylił się, pozostał w tej pozycji przez dłuższy czas, choć wargi Chodo w dalszym ciągu się nie poruszały.

- Tak, sir. Powiem mu, sir. Wyprostował się wreszcie.

- Chodo mówi, że ma dla ciebie zadanie, Garrett. Chce, żebyś znalazł jego córkę. Sprowadź ją do domu.

- Nie może jej sam znaleźć, z takimi możliwościami?

- Nie, bo wszyscy się dowiedzą, że jej szuka.

- Sam nie może jej poszukać - wyjaśnił Crask. - Wyglądałoby to na przyznanie się, że nie potrafi zapanować nad własną rodziną.

Aha. I do tego ludzie mogliby się zacząć zastanawiać, dlaczego uciekała.

- Rozumiem. - Odwróciłem się i udałem, że się przechadzam, wreszcie przystanąłem. - Mogę się tym zająć. Ale przydałoby mi się coś, od czego mógłbym zacząć. To znaczy, że na przykład nie znam nawet jej imienia, nie mówiąc już o innych szczegółach.

- Belinda - powiedział Crask. - Ale na pewno nie będzie go używać.

Chłopie, nie ucz ojca dzieci robić.

- Belinda? Chyba żartujesz. Nikt teraz tak nie nazywa dzieci! - Po babci Chodo. - Sukinsyn, nawet

się nie uśmiechnął. - Wychowywała go, dopóki nie urósł na tyle, żeby zwiać na ulicę.

Crask miał dziwnie zamyśloną minę. Chyba nie odczuwał tęsknoty za dawnymi czasami? Chodo był od niego starszy co najmniej o dekadę, w związku z czym nie mogli razem ganiać po ulicy, za to Crask i Sadler, jak większość chłopców od Chodo, weszli w biznes właśnie i dosłownie wprost z ulicy, z krótką przerwą na specjalną edukację na koszt Korony na Uniwersytecie Kantardzkim.

- Mogę się tym zająć - powtórzyłem. Rzadko odmawiam, jeśli mam osobiście do czynienia z kacykiem. To taka moja słabostka, że lubię oddychać.

Sadler pochylił się, jakby zaskoczony. Słuchał przez chwilę.

- Tak, sir. Zajmę się tym, sir.

Wyprostował się.

- Polecono mi, aby ci wypłacić zaliczkę w wysokości stu marek na bieżące wydatki.

Może to jakaś taka pora roku, że wszyscy rzucają we mnie forszą.

- No to mam robotę - oznajmiłem. - Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał wracać tych dziesięciu mil do domu na piechotę.

Sugestia- sugestyjka. Ale nie naciskałem. Bardzo chciałem stamtąd wyjść. I to szybko. Zanim urodzi się coś jeszcze.

Po drodze do domu dużo myślałem, aż stwierdziłem, że odnalezienie pięknej Belindy Contague może okazać się niezdrowe.

Crask i Sadler mogą uznać mnie za element jednorazowego użytku, kiedy już ją będą mieli w ręku i pod kontrolą.

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

Prawdopodobnie moja jednorazowość była właśnie tym elementem, który zdecydował o wyborze właśnie tego, a nie innego detektywa do tej sprawy. Istniała spora możliwość, że ich zdaniem wiem o wiele za dużo. W każdym razie muszę na to liczyć, choćby dla zachowania optymizmu

A zatem pierwszą rzeczą, jaka- działa na moją korzyść, jest fakt, że jeszcze nie znalazłem dziewczyny. Dopóki status quo się utrzyma, wszystko będzie szło po prostu cudownie.

Im dłużej myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że muszę sobie uprościć życie. Nie mam aż tylu oczu, żeby patrzeć we wszystkich kierunkach, gdzie jest to konieczne.

Zanim wróciłem do domu, zapadła już noc. Wraz z ciemnością przyszedł również deszcz, co mnie - nie wiedzieć czemu - trochę zaskoczyło. Przecież to chyba nic nowego.

Ruszyłem w stronę drzwi frontowych, zastanawiając się, jak mógłbym znaleźć Belinę Contague, żeby się nie wydało, że ją znalazłem, zanim uda mi się wywinąć z bliskiego kontaktu z Craskiem i Sadlerem.

- Gdzie byłeś? - zapytał Dean, nim jeszcze otworzył drzwi na tyle szeroko, żebym mógł się w nich zmieścić.

- A ty co, moja mama? Uważasz, że to twój interes, to wpadnij, kiedy będę się tłumaczył przed Jego Kościścią.

Mógłbym wprawdzie rzucić mu kilka aluzji na temat sprzątnia, które można by przy okazji załatwić. Wszystko, byle tam trochę posprzątać, a nie zrobić tego własnymi rękami.

Dean czytał ze mnie jak z otwartej książki. Był stary i powolny, nie stetryczały. Chrząknął donośnie i ruszył w stronę kuchni, po czym przystanął na wysokości drzwi do mojego gabinetu.

- Aha, omal nie zapomniałem. Masz gościa. W pokoiku od frontu.

- O? - Jakiś nowy kot, tak wielki, że połamię mi nogi? Albo Warczący Pies z misją o pomocy? Nie. Amato siedziałby po drugiej stronie korytarza i żonglował głupotami z Truposzem. Ewangelistki?

Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Otworzyłem drzwi.

Czas mijał. Przeszedłem do siebie dopiero wtedy, gdy kobieta zadrwiła.

- Podoba ci się to, co widzisz? A może potrafisz oddychać tylko przez usta?

- Przepraszam. Nie spodziewałem się ciebie tu zobaczyć.

- Wsadź sobie gałki oczne z powrotem pod powieki, błźnie. Skąd to zaskoczenie?

- Twój ojciec właśnie mnie zatrudnił, żeby cię odnaleźć, Be- lindo. Na swój niewinny sposób zaproponował mi pracę, nie dając mi najmniejszej możliwości odmowy.

To ją przymknęło. Wytrzeszczyła oczy.

- Wasz woźnica właśnie mnie wysadził. - Ja również wytrzeszczyłem oczy.

Podobało mi się to, co widziałem. Wcale miło było na nią patrzeć. Wciąż wołała czarny kolor. Wciąż wyglądała w nim świetnie.

Niewiele kobiet tak potrafi nosić czerń. Wyglądałaby świetnie we wszystkim - lub bez niczego. Miała wszystko co należy, choć odniosłem wrażenie, że jest raczej przyzwyczajona to ukrywać.

Na razie wyglądało, że kot odgryzł jej język.

Ciekawe, gdzie Dean trzyma te bestie.

Dziś Belinda nie pasowała do profilu ofiary. Włosy miała krótkie, czarne jak skrzydło kruka, jeszcze bardziej uwydatniające bladość jej skóry i czerwień szminki. Zacząłem się zastanawiać, czy

bladość to ich cecha rodzinna i czy za kilka lat będzie przypominała tatusia. Wyglądała bardzo podobnie, jak tamtego wieczoru u Morleya, i zupełnie inaczej, niż wtedy u Hullara. U Hullara pewnie nosiła perukę i dlatego doskonale pasowała do profilu ofiary.

Kobiety to kameleony.

Ale i tak je kocham. Kocham. Kocham. Nieważne, za co się przebiorą.

Belinda zerwała się, jakby chciała wybiec z pokoju.

- Mój ojciec? Mój ojciec...

- Twój ojciec nie posiada najmniejszej kontroli nad swoimi czynnościami. Jego porucznicy - którzy porwali mnie i zawlekli do jego posiadłości - urządzili całe przedstawienie, żeby mi wmówić, iż to jego pomysł. Och, przepraszam. Nazywam się Garrett. Dean mówił, że chciałaś ze mną rozmawiać. Bardzo się cieszę. Chciałem z tobą pogadać od tamtego wieczoru w Domu Radości.

- Domu Radości? - Spojrzała na mnie z lekkim zdumieniem. Zaczęła wycofywać się bokiem. Zdaje się, że zmieniła zdanie i nie chciała już ze mną gadać.

- Kilka tygodni temu. W Strefie Bezpieczeństwa. Wbiegłaś i skradłaś moje serce. A potem dwóch brunos wpadło i próbowało cię porwać. Pamiętasz? Wielki czarny powóz. Starach z zielonymi ślepiami i dyszący motylkami? I zwykłe, codzienne porwanie poszło na marne, kiedy wytworny rycerz z ulicy uratował dziewczę z opałów?

^ Musiałeś być na diecie. Miałaś wtedy ze cztery cale wzrostu i sześćdziesiąt funtów wagi więcej.

- Ha, ha. To był Saucerhead. Kiedyś był moim kumplem i trochę mi pomagał. Serce mi pękło, kiedy stwierdziłem, że nie zabawiłaś nawet na tyle długo, żeby powiedzieć „dziękuję”.

- Dziękuję, Garrett. Zasłaniasz mi wyjście.

- Bez jaj? Szybka jesteś. Mówiłem Saucerheadowi, że jesteś szybka. I jeszcze innym mówiłem, że jesteś ostra. W czym problem? Że się nie ruszam? Podobno chciałaś się ze mną widzieć.

- To było przedtem, zanim mi powiedziałaś, że pracujesz dla tych wrednych bliźniaków.

- A powiedziałem coś takiego? Nic podobnego nie mówiłem. Nie mogłem czegoś takiego powiedzieć. Mam długoletnią reputację odmawiania pracy dla twojego taty i jego błaznów - choć nie ukrywam, że i on, i oni, mogli mieć co do tego całkiem mylne mniemanie. - Wypróbowałem mój słynny chłopięcy uśmieszek, gwarantujący, że serce każdej młodej damy zacznie tańczyć klepaka.

- Wsadź sobie te pierdoły, Garrett. Wypuścisz mnie stąd?

- Nie sądzę.

- Nie wywleczesz mnie do tych brzydali.

- Ani myślę. Dlaczego miałbym to robić? Gdybym to zrobił, moje życie nie byłoby warte nawet dwóch miedziaków.

- Moje też nie. Zwłaszcza moje. O twoim właściwie nic nie wiem. Wypuść mnie.

- Za nic w świecie, dopóki się nie dowiem, po co przyszłaś.

- To już nie ma znaczenia. Nie jesteś facetem, jakiego potrzebuję.

- Bo znam Craska i Sadlera? - Wzruszyłem ramionami, jakbym chciał zrzucić z siebie ciężar złamanego serca. - Nie wygram z nimi wszystkimi. Za to ty jesteś dziewczyną, jakiej potrzebuję. Szukałem cię przez wiele tygodni.

- Po co?

- Chodzi o ludzi, którzy próbowali cię porwać. Jesteś jedyną ofiarą, której udało się uciec.

Teraz dopiero naprawdę pobladała. Nie takiej reakcji oczekiwałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

- Słyszałaś plotki o mordercy, który wiąże dziewczyny, wiesz je i wypruwa im flaki?

- Słyszałam coś... Nie zwracałam na to uwagi.

- Ciekawe... Ja bym zwrócił bardzo baczną uwagę, gdyby to mnie ktoś próbował porwać.

- Czy to byli oni? - zapytała ponuro. Nagle zaczęła przypominać ojca.

- Tak.

- Och - szepnęła cichutkim głosem. Głosem, który mówił „ale jestem głupia!”.

- Ty i ja jesteśmy jedynymi osobami, które stanęły z nim twarzą w twarz i dalej żyją. - Przecież nie musi tak naprawdę pamiętać o Saucerheadzie? A musi? - A ja widziałem go tylko przez sekundę.

Z pewnością musiałaś mieć więcej do czynienia z nim i jego chłopcami. Kiedy się pojawiłaś u Morleya, właśnie przed nimi uciekałaś.

- Pracowałam na pół etatu w Salonie Tańca Bishoffa Hullara. Nie wiem po co. Z głupoty, dla jaj. Tylko tańczyłam, nic więcej. Niektóre dziewczyny umawiały się na randki.

- Znam scenariusz.

- Pewnego wieczoru... właśnie wtedy, dwóch facetów próbowało mnie poderwać. Podobno ich szef mnie zobaczył, tak mówili. Mówili, że chce się ze mną spotkać. I że dobrze zapłaci za mój czas. Powiedziałam „nie”. Nalegali. Powiedziałam, żeby zeżarli swoje gówno i zdechli. Nie uznali tego za odpowiedź. Hullar musiał ich wyrzucić. Ale nie odeszli. Próbowali mnie porwać, kiedy wyszłam z pracy.

Niektórym facetom się wydaje, że kiedy kobieta mówi „nie”, to znaczy tylko, że się kryguje. Może dlatego, że tyle kobiet się krygowało, mówiąc „nie”. Z tego, co widziałem ostatniej nocy u Morleya, ci faceci dawno nie praktykowali życia towarzyskiego.

- Dlaczego Dom Radości? Dziwne miejsce na ucieczkę.

- Morley Dotes. Miałam nadzieję, że jego reputacja przerazi ich na tyle, żebym miała czas pomyśleć. Miałam nadzieję, że Dotes się wścieknie, jeśli zaczną mu rozrabiać w knajpie.

- I tak było.

- Nie mogłam uciekać do ludzi mojego ojca. Musiałabym wyjaśniać, co robiłam w Połudwicy.

- A co z facetem, który tak bardzo chciał się z tobą spotkać?

- Sądzę, że to on był w powozie. Wtedy widziałam go jeden, jedyny raz.

Co u diabła?! Cudownie. Nic nam nie pomoże, jeśli Truposz nie znajdzie czegoś, o czym nie wie, że wie.

- Świetnie. Z powrotem do punktu wyjścia. No dobrze. Wprawdzie zmieniłaś zdanie, ale po coś tu jednak przyszłaś. Co się dzieje?

Przyjrzała mi się uważnie.

- Sądzę, że chyba znów mnie szuka. W każdym razie jest to ktoś o tym samym śliskim stylu bycia i wysyła chłopców, żeby za niego gadali. Wystraszyłam się. Słyszałam, że jesteś w porządku. Miałam nadzieję, że pomożesz mi się go pozbyć.

Facet od motyli miał złe intencje, ale świetny smak. Belinda nie była odpowiednio ubrana, ale nie mogła ukryć faktu, że jest świetnie zbudowana. Jej matka to dopiero musiała być laska. Dziewczyna na pewno nie wyglądała tak po ojcu.

- Mogę go zniechęcić. Dlaczego zmieniłaś zdanie? Dlatego że wspomniałem o twoim ojcu?

- Z powodu Craska i Sadlera. Nie pozwolę im skorzystać na tym, co przytrafiło się mojemu ojcu. I oni dobrze p tym wiedzą.

Czy powinienem przyznać się do roli, jaką wtedy odegrałem? Opowiedzieć, że Crask i Sadler tylko skorzystali z sytuacji, która sama im wpadła w ręce? Chyba nie najlepsza strategia.

- Nigdy się specjalnie nie kochaliśmy z tymi brzydalami. Kiedy byli pierwszymi zbirami twojego tatusia, szarpali smycz, próbując obgryźć mi pięty. Teraz sami mogą wybierać, kiedy chcą

zaatakować. Żałuję, że nie miałem czasu, żeby się tym martwić. Ale muszę skupić się na mordercy. Chyba już dojrzał do kolejnego ataku.

Znów była w rozpaczy.

- A zatem Strażnicy go nie schwytali? Kapitan Jakiśtam strasznie się darł na ten temat, i to całkiem niedawno.

- Kapitan Block. Jego optymizm był przedwczesny. - Opowiedziałem o dotychczasowych dwóch zabójcach i poprosiłem, żeby opowiedziała mi o dandysach, których słodkie słówka tak ją wzruszyły, że biegiem przyszyła do mnie.

Nauczyłem się jednego: Belinda wcale nie słuchała uważniej niż jej tatuś.

- Nie rozumiem. Jak morderstwa mogą się nadal zdarzać? Wzruszyłem ramionami.

- Dzieją się różne dziwne rzeczy.

- Zwłaszcza w czyjejs głowie. Złapaliście nie tego, kogo trzeba.

Dziwne. Belinda była po części ulicznicą, czego należy się spodziewać po córce zbója. Coś jednak z niej wyłaziło, coś podejrzanie przypominającego elegancję. Przez większość życia pozostawała z dala od domu, była ukrywana, ponieważ Chodo nie chciał, aby stała się zakładniczką fortuny. Miałem wrażenie, że tam, gdzie była, nauczyła się być damą.

- Schwytaliśmy tego, kogo trzeba, Belindo. Iza jednym, i za drugim razem. Bez cienia wątpliwości. Mordercy lubili zachowywać pamiątki, ludzie, których złapaliśmy, mieli je. Tym razem mamy niejaki pojęcie, kto mógł przejąć klątwę - jeśli w ogóle na kogoś przeszła - ale nie możemy go znaleźć. Możemy przypuszczać, kiedy przymus zmusi go znów do zabijania. Zidentyfikowaliśmy trzy najbardziej prawdopodobne ofiary. Jesteś jedną z nich. Ktoś cię napastował.

- Właściwie, myślałam... - Dostrzegłem kwaśny uśmiezek. i- Myślałaś, że to wysłannicy Craska i Sadlera i że szybciotko się ulotnisz, pozostawiając mnie pośrodku. Skinęła głową.

- Nie jesteś taki tępy, jak sądziłam.

- Zawsze to robię. Władzę w środek. Łatwiej mi, kiedy to piękna kobieta mnie tam wysyła.

- Wsadź sobie taką gadkę, Garrett. Jestem uodporniona. Słyszałam wszystko na twój temat.

Sprawdzała mnie? Przywdziałem na twarz najlepszy z moich grymasów wyrażających zranienie.

- Co? Ja? Biały rycerz?

- Dom, w którym mieszkam... pod nazwiskiem, które zachowam dla siebie, przyjmuje samotne kobiety.

Brzmi jak przedsionek do nieba. Zachowałem neutralny wyraz twarzy.

- I?

- I słyszałam o tobie. Pamiętasz może Różyczkę Tatę?

Jęknąłem. Zakrzusiłem się. Powinienem się obrazić czy roześmiać?

- Dobra stara Róża. Pewnie, znam Różę. Sprzątnąłem jej spadek

sprzed nosa, bo załatwiłem, że dama, której brat pozostawił całą fortunę, dostała, co jej się należało. Nie pozwoliłem, żeby mnie wodziła za nos, nie merdałem ogonem. Tak, znam Różę. Ma do mnie prawdziwą urazę. Nie wiedziałem, że wypuścili ją spod opieki. Róża Tatę biegająca luzem może być znacznie gorszą katastrofą niż pluton seryjnych morderców. Kobieta jest po prostu paskudna. Śliczna, jak mało która, ale paskudna.

- Myślisz, że to żart?

- Raczej nie. Nie z Różą. Róża jest żartem tak samo jak wygłodniały tygrys szablozęby. Dorzuć do tego tygrysa jeszcze ból zęba. - Zaśmiałem się nieszczerze. - Więc jeszcze się gniewa?

- Ta kobieta chce twojej głowy. Nie mówiła nic o żadnych pieniądzech.

- Róża nie należy do osób, które pozwalają, aby takie drobiazgi, jak prawda czy szczerłość,

wchodziły im w drogę. Zwłaszcza kiedy tworzy nastrój u słuchaczy.

- Opowiedz mi o tym. Nie trzeba było nawet dwóch tygodni, żeby wszystkie dziewczyny w hotelu chciały.; ją udusić.

- To długa historia. W moim fachu ciężko być bożyszczem tłumów. Co z tym Craskiem i Sadlerem?

- Garrett, naprawdę nie wiem. Przypominam sobie czasy, kiedy każdy z nich gotów był zginąć, żeby chronić mnie i dobre imię rodziny. Zrobiliby wszystko, żeby osłonić mnie przed bodaj cieniem skandalu. Tak załatwiają swoje sprawy. Mają bardzo skomplikowany kodeks honorowy.

- Wiem. Należy do niego wyłączenie kobiet i dzieci. Ale ostatnie słowa, jakie twój ojciec kiedykolwiek do mnie powiedział, brzmiały: chroń moje dziecko. - Nie wiem, po co jej to powiedziałem. Nie był to mądry gest. Nie musiała wiedzieć. A ja nie musiałem dawać jej wyraźnej recepty, jak wodzić mnie za nos. - Powiedziałem, że to zrobię. Nie sądziłem, że będę musiał. Crask i Sadler powiedzieli, że jesteś pod dobrą opieką. Może skrzyżowali palce, kiedy to mówili?

- To do nich podobne. I do niego, i do nich. Ojciec miał fioła na twoim punkcie, Garrett. Ciągłe opowiadał o uczciwych ludziach. Jak to nie został ani jeden, z wyjątkiem ciebie, a ty dasz się zabić za swoje poświęcenie.

- Nie znał mnie tak dobrze, jak sądził. Mam złe chwile, jak każdy.

- W niektórych sprawach był dość dziwny. Poza tym, że miał fioła na twoim punkcie, był zawsze uczciwy wobec własnej córki.

- To znaczy?

- To znaczy, że nigdy nie wątpiłam w to, co robi. W przeciwieństwie do kobiet, którymi się otaczał. Jak dawno sięgam pamięcią, opowiadał mi, co, gdzie i dlaczego, i wszystkie te brudy, które nakręcają interesy. Nie widziałam w tym niczego dziwnego, dopóki nie poszłam do szkoły. Wtedy byłam zakłopotana. Leżałam po nocach, nie mogąc spać. Wymodliłam swoje małe serduszko na wylot. Wtedy dowiedziałam się, że inne dziewczynki też wstydzą się swoich ojców, a przynajmniej połowa z nich wymyślała niestworzone historie, żeby wyjaśnić dlaczego... Zorientowałam się, że to nie ma znaczenia, co zrobił mój ojciec, ponieważ mnie kocha. A to więcej, niż mogą powiedzieć moje koleżanki z klasy.

Słuchaj tych skrzypiec, Bunky. Kacyk kochającym tatusiem. Kiedy podsumują go u bram piekieł, będzie mógł powiedzieć: „Wszystko dla mojej dziewczynki”.

Chodo był prawie martwy* a wciąż jeszcze mnie zaskakiwał.

- Belindo, muszę przyznać, że podziwiałem twego ojca... nawet kiedy go nienawidziłem za to, czym był i co robił z ludźmi. Ale wszystko to możemy omówić sobie później. Teraz jednak każda minuta przybliża mnie do chwili, kiedy morderca dziewczyn będzie musiał zrobić to, co trzeba, żeby się uszczęśliwić.

- Co?

- Samo dno. Niektórzy ludzie potrzebują silniejszej stymulacji od innych. Po to właśnie jest Połudwica. Dostarcza pożywienia wszystkim dziwakom.

Słodka Belinda zaskoczyła mnie, odpowiadając z akcentem, który nie pochodził ani z ulicy, ani z Góry.

- Mój ojciec byłby z ciebie dumny, Garrett. Niektórzy ludzie... niektórzy ludzie są po prostu chorzy i nie potrafią się tego pozbyć.

- Właśnie o to chodzi, prawda? Gdzie przebiega granica pomiędzy niezwykłym a niedopuszczalnym? Kiedy dziwaczne staje się niebezpiecznym zboczeniem?

Spojrzała mi prosto w oczy. - Powiem ci. - Hej... Garrett..

I oczywiście, właśnie w tej chwili Truposz musiał pociągnąć za mój łańcuch.

- Chce się z tobą zobaczyć. Belinda spojrzała ze zdumieniem.

- Kto taki?

- Mój pomocnik. Uważaj na niego. Nie jest zbyt szybki, ale bardzo sprytny.

- Truposz?

• - Słyszałaś o nim. Ależ się nadmie. Gairrett, do roboty!

- Myślałem, że pracuje najlepiej, jak potrafię w danych okolicznościach.

Belinda obdarzyła mnie dziwnym spojrzeniem. Truposz przekazał:

Twoja miłość mnie nie obchodzi. Przyrowadź ją do mnie.

- Spiesz nam się trochę, co?

- Co ty u licha wyprawiasz, Garrett? Wyjdź z mojej głowy! - To nie ja, skarbie. Myślałem, że skoro wiesz o Truposzu... Nie ruszyła w stronę drzwi, przyciskała się do mnie i był to rozwój wydarzeń, któremu nie chciałem przeszkadzać. Poprowadziłem ją na drugą stronę korytarza.

- Wiem, wiem. Nie sądziłaś, że będziesz miała z nim do czynienia. Myślałaś, że przesadzają z tymi opowieściami. Zwykle tak jest. Z wyjątkiem jego- brzydoty.

Garrett!

- I jest wkurzający. Naprawdę wkurzający. Jak borsuk o popsutych zębach.

- Boże! Patrzcie na ten nos! - Chwyciła mnie za ramię. Zmiękłem. Próbowałem opiekuńczo otoczyć ją ramieniem, żeby ją bronić, ale nie puściła mojego rękawa. Rano będę miał sińce.

Garrett, zabierz swoją złośliwą, nie do końca uroczą osobę do kuchni. Dopuszcz do głosu swoją prawdziwą naturę, żłopiać piwo, a ja i ta dama wymieramy się wspomnieniami.

- Hej, bez osobistych wycieczek!

Poszedłem do kuchni i dąsałem się, spożywając moją ulubioną potrawę, lager Weidera.

Garrett!

Do licha. Zaledwie napocząłem czwarty kufel, on już ciągnie za łańcuch. Co człowiek musi zrobić, żeby odpocząć? Poczłapałem do niego, mijając Belinę.

- Gdzie mogę znaleźć Deana? - zapytała radośnie Belinda.

- Kuchnia. Czego ode mnie chcesz, Chichotku?

Dziewczyna jest dokładnie tym, czym się wydaje. Był tym wyraźnie zdziwiony. Jestem zaskoczony, że okazała się taka uczciwa i bezpośrednia.

- Czyżby to nie było dziedziczne? Nie o to mi chodziło.

- Chodziło ci naprawdę o to, że nie wie dokładnie niczego, co by nam się mogło przydać. A ty się z tego cholernie cieszysz.

W pewnym sensie. Przekonałem ją, że w jej najlepszym interesie powinna tutaj zostać, z dala od zgiełku, w naszym pokoju gościnnym, dopóki nie zrobimy czegoś z mordercą.

- Co takiego? - Przecież on nie lubi kobiet, i to żadnego gatunku. Nie chce, żeby mnie odwiedzały w domu, a co dopiero ukrywać którąś przez czas bliżej nieokreślony.

- Przechodzisz jakąś przemianę? Rzeczywiście zalecasz mi, żeby w tym domu zamieszkała kobieta? - Z pewnością nie chodziło tu o żadną uprzejmość wobec mnie.

To Nie będzie pierwszy raz.

- Zależy, jak na to patrzeć.

Z przyjemnością zmierzyłbym się z tobą na inteligencję, ale ta gra straciła dla mnie swój smak. Chcę, żebyś poszedł i sprawdził, czy nie zdołasz namówić niejakiej pani Candy lub pani Dixie do spędzenia tutaj nocy.

- Po co? - Miał większą wiarę ode mnie.

Z rozpaczą patrzę na wyniki moich prób wpojenia ci nawyku korzystania z rozumu. Dlatego, że jeśli zwabisz tu potencjalną ofiarę, mogę zapewnić, że nie będzie jej tam, na zewnątrz, kiedy morderca wyjdzie na łowy. Ponieważ wówczas będę miał dwa z trzech najbardziej prawdopodobnych celów pod moją ochroną, pozwalając, abyś ty i kapitan Block skoncentrowali się na pozostałych kobietach.

- Jasne. Widziałem te dwie panie w akcji, Śmieszku. Candy nie gra w te klocki, a Dixie jest poza moim zakresem cen. Zabawa w śnieżki w piekle, stary.

Wierzę w ciebie. Znajdziesz sposób.

- Pewnie.

Zdumiewa mnie taki defetyzm u człowieka, który regularnie przerywa mi sen seriami jęków i westchnień ze swojego pokoju.

Regularnie? Mogę policzyć na palcach jednego palca ile razy...

Garrett, jestem martwy, ale nie głupi.

- No dobrze. W porządku. Może trochę przemilczałem. Ale naprawdę chciałbym, żeby mi szło w połowie tak dobrze, jak twierdzisz.

Ja też bym chciał. Jesteś o wiele łatwiejszy do zniesienia, jeśli...

- Wsadź sobie te gadki... Jakim sposobem przeniesiemy tu grupę bab? Nie mamy...

Dean zajmie się ich potrzebami. Ja się zajmę ich bezpieczeństwem. Ty idź tylko do Połudwicy i wróć przynajmniej z jedną.

- Jeśli w ogóle pracują. Musisz pamiętać, że nie robią tego zawodowo. To taki póletat, dla zabawy. A w ogóle, dlaczego mielibyśmy się przejmować? Czy Block spłacił należności?

Doszliśmy do porozumienia. Nie ma przeszkód finansowych.

- Naprawdę? Miło, że mi o tym powiedziałeś. Mam nadzieję, że potraktowałeś go tak podle, że już nigdy więcej się tu nie pojawi.

Sugeruję, abyś udał się do Połudwicy i zajął krecią robotą. Tak to się teraz nazywa?

- Ale ja muszę...

Zostaw wszystko inne na później. Pan Hullarnie wyzionie ducha, jeśli nie dostanie swego raportu na temat przygód Warczącego Psa Amato. Chcę dopaść tego mordercę, jeśli w ogóle przeżył.

Chętnie bym się zajął zaaranżowaniem takiego spotkania, ale nie wiedziałem, jak go stamtąd wyciągnąć... no, chyba że wynajmę wóz i ze dwunastu krzepkich speców od przewodzących. Już sobie wyobrażam, jak wytwornie hopsa po mieście, wprowadzając swój własny styl i wdzięk, ku przerażeniu złych i wielkiej radości uciśnionych.

Twój mózg jest kłębowiskiem węży.

- Zgoda, ale mam tylko jedno kłębowisko węży. - Wycofałem się, w podskokach pobiegłem na górę po schodach, żeby sprawdzić, jak się ma mój niespodziewany gość. Udało mi się zobaczyć Deana, który przygotowywał jej pokój. Postawił się w drzwiach na warcie jak dziewicza ciotka.

Dean od kilku tygodni miał swoich kumpli. Moja sypialnia, która znajduje się po drugiej stronie frontowej ściany, i sypialnia dla gości były właściwie gotowe, ale dopóki Dean i jego kumple nie zabrali się do pracy, pozostałe dwa pokoje zostały nietknięte, pełne śmieci, które już od lat powinny znajdować się w piwnicy lub na śmietniku. Dzięki imprezkom pokój na tyłach został praktycznie przystosowany dla Deana. Nie był wykończony, ale stary nie musiał już spać na sofie na dole, kiedy miał gości. Pomimo to pokój ten wymagał jeszcze dużo roboty, żeby można w nim było naprawdę zamieszkać. Im więcej szmelcu wstawiał pomiędzy mnie a Belindę, tym poważniej myślałem, żeby zainstalować go w niszach na frontowej ścianie. Niech sobie radzi w zimie.

- Słuchaj, teraz muszę się tylko dowiedzieć tego, co właściwie wiesz o dziewczynie imieniem

Candy. U Hullara. Muszę coś wymyślić, żeby nie pracowała jutro wieczorem.

- Nie znam jej. Mówimy sobie „cześć” i to wszystko.

- Do licha. Ubzdurało mi się, że wy, dziewczyny, musicie się wszystkie znać. Naprawdę męczy mnie już ta cała historia. Nic mi nie dasz?

Dean skrzywił się, choć nawet on domyślał się, że nie chodzi o nic dwuznacznego. Belinda zauważyła wyraz jego gęby, uniosła brew - znów się zakochałem po uszy, ponieważ jest to jeden z moich wielkich talentów - i mrugnęła, ale tak, żeby Dean jej nie widział.

- Nie:

Poszedłem sobie, zdumiony...

- Słuchaj - rzuciłem, kiedy Dean wszedł na mnie w czasie mojego raportu. - Zrobiłem, co mogłem. Pozwoliłem, żeby Warczący Pies doprowadził mnie do szału, opowiadając mi swoje dzieje, żebym ja z kolei mógł coś opowiedzieć Hullarowi. Potem spędziłem dwie godziny, próbując dojść do czegoś z damą tak nawaloną, że uważała moje próby ratowania jej życia za nowy sposób podrywania. Wreszcie kazała mi się pieprzyć i zdechnąć. Nieszczególny balsam fia moje ego. Ale dowiedziałem się, że jutro nie będzie pracować. Ma zobowiązania rodzinne,

Doskonale. Jeśli jutro nam się nie uda, następnym razem wystawimy ją na wabia.

- Jakim cudem jesteś taki pewien, że będziemy mieć więcej problemów z tym mordercą?

Nie jestem pewien, ale korzystam z twojej filozofii życiowej i patrzę zawsze na ciemne strony, oczekując najgorszego. Jeśli nic się nie zdarzy, będę miał cudownie miłą niespodziankę.

- Taak? Mam nadzieję, że będziesz miał swoją cudownie miłą niespodziankę. Ja idę do łóżka. To był kurewski dzień.

Całe to piwo i wszystko służbowo...

- Są pewne granice. Bądź czujny. Jeśli ta pani stwierdzi, że nie może zapanować nad chucią...

Ha. Śpi jak zabita, bez cienia myśli o kimkolwiek imieniem Garrett; nawet w najdalszym zakątku umysłu.

- Kimże ona jest? Zakonnica? Nieważne. Nie chce wiedzieć. Chce spać. Dobranoc. Wszy na noc, karaluchy do poduchy. I tak dalej.

Zdażyłem dojść na górę, kiedy przyszło wezwanie.

Garrett! Chodź tutaj!

Poszedłem, żeby nie przedłużać cierpienia walką.

- Co? - miałem nadzieję, że to ważne.

Nie powiedziałeś nic o tej drugiej kobiecie, Dixie. U Mamy Sama, pamiętasz?

- Pamiętam. Nie pokazała się w pracy. Czekali na nią, ale nie przyszła. Nikt nie jest zaskoczony. Taka ona już jest. W porządku? Zmarnowany czas. Ale jutro ma być na pewno. Będzie naszą przynętą. Dobranoc.

Jeśli miał nawet więcej pytań, ulitował się i wziął sobie odpowiedzi bezpośrednio, nie zmuszając mnie do spędzania więcej czasu na jednej z naszych sławetnych dysput. Znów wlażłem na schody. Tym razem zdażyłem dojść do samego pokoju, zanim mnie dopadł.

Garrett! Ktoś jest za drzwiami.

Do diabła z nimi. Niech wrócą o cywilizowanej porze. Usiadłem na krawędzi łóżka, pochyliłem się, żeby rozwiązać buty.

Gairrett, kapitan Block jest za drzwiami. Ma chyba złe wieści, ale jest tak podniecony, że nie mogę go odczytać.

Świetnie. Dla Blocka załatwię specjalne traktowanie. Może przyjdź w przyszłym tygodniu.

Podniosłem jednak zwłoki z betów i powlokłem je korytarzem na schody, potem w dół, do holu i

zmusiłem się do spojrzenia przez Judasza. Truposz miał rację. Kapitan Block faktycznie tam stał. Znowu pokłóciłem się sam ze sobą, czy aby na pewno go wpuszczać, ale wreszcie poddałem się i otworzyłem drzwi.

Byłem ociupinę bardziej szczerzy niż zwykle.

- Wygląda pan jak śmierć na urlopie.

- Rozważam możliwość samobójstwa. - I przyszedł pan po pomoc? To nie należy do naszego zakresu usług.

- Ha, ha. Zrobił nas w balona, Garrett. Gairrett, przyprowadź go tutaj.

- Co mówisz? Dzisiaj proszę lepiej nie owijać za bardzo w bawełnę. Jestem tak zmęczony, że szkoda zachodu.

- Winchell. Dorwał tę Debbie. Dzisiaj. Wiedział, że zasadzimy się na niego dopiero jutro. Ripley był z nim.

- Skąd pan wie?

- Widziałem ich. Poszedłem sprawdzić, jak jutro porozstawiać ludzi, i wtedy zobaczyłem, jak ją porywają, kiedy wychodziła z pracy. Goniłem ich, aż padłem. Widzieli mnie. Śmiali się ze mnie.

- Zgubił pan ich?

- Zgubiłem. Chyba się zabiję. Zwróciłem się do Truposza.

- Pozwolisz mu to zrobić już teraz, żebym mógł się trochę przespać? Jutro wyniosę zwłoki.

Nonsens. Kapitanie Block, musi pan wrócić do baraku i ściągnąć wszystkich ludzi, którzy znali kaprala Winchella lub szeregowca Ripleya. Dowie się pan, gdzie mogli się ukryć. Wyśle pan oddziały, żeby to sprawdziły. Martw się pan bardziej o uratowanie dziewczyny niż złapanie morderców. Sukces przywróci pana do łask zwierzchników i opinii publicznej. Proponuję, żeby poszedł pan od razu. Jeśli uda się panu schwytać bandytów, proszę próbować ich pojmać, a nie zabijać. Klątwa będzie łatwiejsza do opanowania, jeśli jej nosiciel będzie żył.

- Ostatnio próbowałem. Błazen zmusił nas do tego, żebyśmy go zabili.

Podejrzewam, że to również stanowi część klątwy. Ktokolwiek ją rzucił pierwszy, z jakiegokolwiek przyczyny - zdaje się, że pan bardzo długo przeszukuje te oficjalne zapisy - musiał być geniuszem. Nie rzucił jedynie czaru, który zmusza kogoś do zabijania pewnego rodzaju kobiet. Stworzył klątwę, która wchodzi w interakcję ze środowiskiem, uczy się, kiedy ponosi klęskę, a potem za każdym razem staje się coraz trudniejsza do opanowania.

Block pobladł.

- Nie ma sposobu, żeby ją zniszczyć? Jeśli powstrzymam ją dzisiaj, to czy jutro będzie trudniej?

Potrafię wymyślić kilka sposobów, żeby ją zatrzymać. Żaden nie jest szczególnie miły. Możesz sprawić, żeby nosiciel klątwy umarł w obecności kogoś tak kalekiego, że nie zdoła zabić. Albo więźnia, którego nigdy nie wypuszczą. Teraz jestem pewien, że przeklęty musi żyć, dopóki odpowiedni eksperci nie zbadają go i nie stwierdzą, jak zniszczyć klątwę, zaklęcie po zaklęciu.

Alternatywnie, skoro każdy transfer odbywał się od martwego do żywego poprzez bezpośredni kontakt, może by tak poeksperymentować z pogrzebaniem go żywcem? Może nawet żywcem pogrzebać go w morzu? Może w grobowcu, jeśli potrafimy załatwić, że grobowiec na zawsze pozostanie zamknięty?

- Chcesz powiedzieć, że nie można powstrzymać klątwy, tylko jej nosiciela?

Taka sytuacja panowała do tej pory. W istocie, pochówek był z reguły jedynie sposobem, aby zwalić problem na głowę kolejnego pokolenia.

- Śmierdzi mi to łożeniem.

W istocie. Większość tego łożenia powinna być już dawno załatwiona. Podejrzewam, że rozkład

kłątwy może wymagać identyfikacji czarnoksiężnika, który ją rzucił, i jasnego opisu okoliczności, jakie temu towarzyszyły.. Wiedza, po co klątwa została stworzona, może pomóc przy odgadnięciu, jak się do niej dostać i od czego zacząć ją rozpracowywać.

Powiedziałem do Blocka: - Założę się, że on tak myśli od pierwszego dnia, kiedy pana tu zobaczył. A pan odkładał poszukiwania, bo wyglądało, że to za duży kłopot.

Nie zaprzeczył. Truposz też nie.

- Cokolwiek się teraz zdarzy, nie zamierzam się angażować - dodałem. - Mam mnóstwo snu do nadrobienia.

Block rozdziawił gębę.

- Nawet nie próbuj, kapitanie. He? razy mam wywlekać pana zadek z ognia, zanim będzie pan zadowolony? Ma pan ten sam sprzęt co ja. Kościej powiedział, co należy robić. Do roboty. Proszę uratować jej życie, stać się sławnym. Gdzie Dean? Nie może wyprowadzić Blocka? Poszedł do łóżka? Idziemy. - Chwyciłem Blocka za łokieć. - Niech pan robi, co on mówi. A jak już to będzie możliwe, niech pan sprawdzi zapisy. Dobranoc. Wyrzuciłem go za drzwi, aż się zapluł.

Dałem, sobie parę godzinek w kimono, ale i tak o wiele za mało. Obudził mnie dziki łomot. Czulem zapach gotowanego jedzenia, więc pewnie było już po astronomicznym wschodzie słońca, ale i tak dużo wcześniej, niż otwiera oczy jakiegokolwiek stworzenie rozumne.

Z jakiegoś całkiem irracjonalnego powodu wciągnąłem spodnie i ruszyłem na dół. Wpadłem do kuchni, klapnąłem na krzesło.

- Myślałem, że te małe zmory morCartha zostały zabrane przez armię jako zwiad powietrzny.

MorCartha to rasa latających stworzeń, wzrostem sięgających od kolan do pasa człowiekowi, przypominających staromodne czerwone diabły ze skrzydłami nietoperzy, ale bardziej brązowe niż czerwone. Kłótlivy, głośny i obrzydliwy gatunek, bez żadnego szacunku dla kogokolwiek. Przyleciały z północy, uciekając przed gromojaszczurami. TunFaire przeżyło plagę tych stworzeń, aż wreszcie ktoś dostał ataku geniuszu i zatrudnił je jako pomocników. Gdyby tylko robiły to, za co im się płaci, wynik byłby porażający.

- Przyszły z nową falą imigrantów. - Dean podsunął mi filiżankę herbaty. - Albo tak przynajmniej twierdzą. A może to wracają

te wynajęte plemiona, żeby im jeszcze raz zapłacić, żeby się wyniosły?

- Prawdopodobnie. Dlaczego nie możemy żyć w czasach imperialnych? Jedna cholerna plaga po drugiej. Spójrz na ten burdel. MorCartha na dachach. Wszędzie pełno gromojaszczurów. W zeszłym miesiącu jedno takie stworzenie z pięcioma rogami przepląnęło rzekę i zaczęło szaleć na Platformie.

- Współczułam mu.

- He? - Nieznacznie odemknąłem jedną powiekę i odkryłem, że dzielę stół z moim gościem. A ja miałem na sobie wyłącznie spodnie.

- Współczułam tej wielkiej, głupiej istocie. Nie wiedziała, co się dzieje. Była przerażona, że te małe stworzenia biegają, wrzeszczą i rzucają w nią różnymi przedmiotami.

- Słyszałeś to, Dean? Czy to nie jest kobieta dla ciebie? Potwór dostaje szału, rozdeptuje ludzi na śmierć, rozwała domy, a ona mu współczuje.

- Właściwie mnie też było go żal.

Jasne. Mnie też. I pewnie każdemu, kto nie ucierpiał bezpośrednio wskutek strachu i zmieszania biednego stwora. Teraz, kiedy się popatrzy na to stworzenie, schwytane już i osadzone w wielkiej zagrodzie, wygląda jak wielki, kochany szczeniak, obrośnięty mchem i rzęsą wodną. Nie wiem, jak można nazwać ślicznym coś, co ma piętnaście ton z okładem. Ale jest śliczne.

- Myślę, że to dobra zaprawa, gdyby któremuś z drapieźników zachciało się powtórzyć ten

wyczyn.

- Czy on zawsze musi rzucać takiego twardziela, Dean?

No proszę. Już po imieniu? Stary doprowadzi mnie do szafy; jak łatwo mu to idzie.

- Zawsze, panno Belindo. Proszę nie zwracać na niego uwagi. Ma dobre serce.

- Dean, sprawdzałeś ostatnio, czy nic ci nie jest? - Sir?

- Właśnie powiedziałaś na mój temat coś miłego.

- To miła młoda dama, Garrett. Z całego serca pochwalam. Chciałbym, żebyście się ze sobą lepiej poznali.

Jasny gwint.

- Ach! Tak, sir, wiem, kto jest jej ojcem. Nie możemy odpowiadać za nasz dobór przodków.

Wiem, kim był pański ojciec. - A to nowina dla mnie, jeśli chciał powiedzieć, że znał staruszka osobiście, zanim jeszcze tato ruszył do Kantardu, żeby dać się zabić. - O ile dobrze rozumiem sytuację, nie jest to wielki problem. Pan Contague, wybaczy panienka, jest prawie trupem, a to, co ma do powiedzenia, zależy tylko od panów Craska i Sadlera.

- Dwóch wesolutkich chłopaczków, którzy nie przestali być niebezpieczni tylko dlatego, że wzięli sprawy w swoje ręce, fałszując podpis Chodo. Co próbujesz zrobić, Dean?

- To, co robię zawsze, panie Garrett. Swatani.

' Jego wyznanie położyło mnie na obie łopatki. Belindzie też zabrakło słów. Wymieniliśmy bezradne spojrzenia. Dodałem do tego przepaszające wzruszenie ramion.

- Rozmawiałem długo z panną Belindą i pod jej antagonistyczną publiczną skorupą znalazłem osobę całkiem w twoim typie.

- Czy to jakaś zbiorowa próba uwiedzenia, Garrett? - warknęła Belindą.

- Musisz mu wybaczyć - zaprotestowałem. - Ma fioła na punkcie wyswatania mnie.

Dean nie słuchał. Nucił i krzątał się po kuchni, podczas gdy my wymienialiśmy przeprosiny i oskarżenia. Wreszcie wypalił:

- Truposz ucina sobie drzemkę. Może pójdziecie na górę, pokochacie się ze dwa lub trzy razy, a kłótnię dokończycie przy lunchu?

Nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego przejdzie mu przez gardło. To po prostu nie był ten sam Dean.

Tak w ogóle sam pomysł wydał mi się całkiem niezły. Coś mnie ujęło w Belindzie.

Siedziała, wytrzeszczając oczy, a Dean się uśmiechał. Wreszcie puściła do mnie oko. Odniosłem wrażenie, że ona też nie uważa tego pomysłu za całkiem głupi.

Była to jednak jedna z tych sytuacji, gdzie nie można kontynuować, choćbyście oboje byli bardziej napaleni niż para kotów w rui.

- Przeciągasz strunę, Dean - ostrzegłem. - Wracam do łóżka.

- Przepraszam, panno Contague. Proszę o mnie źle nie myśleć przez te głupoty Deana.

Odniosłem wrażenie, że Dean zaraz parsknie śmiechem. A może to był plan, żeby załatwić pierwsze bara od razu, a do drugiego żeby nigdy nie doszło?

Belinda nie odpowiedziała. Mijając ją, odniosłem wrażenie, że dostrzegam delikatny cień rozczarowania.

Wiecie, jak to jest. Kiedy tylko znalazłem się sam i jej reakcja przestała stanowić czynnik w równaniu, leżałem, gapiąc się w sufit, a Belinda Contague z każdą minutą stawała się coraz atrakcyjniejsza. Wszystkie problemy zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Nieuleczalny romantyk to ja.

?Miałem zamiar wyjść i sprawdzić, co udało się załatwić Blockowi. Albo - co bardziej

prawdopodobne - czego mu się nie udało załatwić, choć samo to, że jeszcze nie wrócił, wyglądało obiecująco.

Belinda przybiegła na górę wielkimi skokami.

- Mogę już iść? - Nie.

- Hej!

- Tam są tacy, którzy cię szukają. Nie sądzę, aby twoje niezmiennie dobre zdrowie było dla nich priorytetem. Ze swoim wyglądem możesz mieć kłopoty, zanim przejdiesz dwie ulice.

- A co jest nie tak z moim wyglądem?

- Nic, cholernie nic. I właśnie o to chodzi. Gdybym teraz z tobą wyszedł, sąsiedzi znienawidziliby mnie do końca życia. Poza tym, jeśli Crask i Sadler postawili tu kogoś, żeby obserwował mój dom, zostaniesz natychmiast rozpoznana. Zdaje się, że nie zaufają mi nawet na tyle, żebym sobie własny grób wykopał bez nadzoru.

- Och, do licha! - Tupnęła nogą. Piękny gest, nieczęsto widywany. U niej miał znamię długiego treningu.

- Gdybyś była ruda, nikt by na ciebie nie zwrócił uwagi. To znaczy, nasi brzydale nie zwróciliby uwagi. Sąsiedzi znienawidziliby mnie jeszcze bardziej. A ja nie wiem, czy wytrzymałbym w cnocie, gdybyś wyglądała tak jak teraz i do tego była ruda.

Dean wyrzwał z kuchni za plecami Belindy i rzucił mi spojrzenie, które miało świadczyć, że nieco przesadzam z bezpośredniością.

- Nieco przesadzasz z bezpośredniością, Garrett - powiedziała Belinda. - Ale to mi się podoba. Nie znoszę, kiedy mnie nie zauważają. Zajmę się tym, żeby być rudą. Albo blondynką. Co byś wolał? Zapomniałem o śniadaniu.

- Jasne. Wszystko jedno. Nie ma sprawy. Nie utyj tylko o sto funtów i nie zpuść wąsów.

Mrugnęła, a mnie kręgosłup zamienił się w wodę. Nie byłem jednak kompletnie ogłupiały. Zastanawiałem się, dlaczego nagle jest taka miła.

- Możesz zmienić też ubranie, jeśli już przy tym jesteśmy. Zwłaszcza jeśli czerń jest w twoim stylu.

- Cudny pomysł. - Posłała mi całusa.

Spojrzałem na Deana, który odpowiedział mi tym samym plus wzruszenie ramion. Pokręcił głową. Nie wiedziałem, czy nie wie o co chodzi, czy nie chce być obwiniony.

Znów ruszyłem w stronę drzwi.

Garrett

Historia mojego życia. Nie mogę nigdzie wyjść ani nic zrobić, żeby każdy w pobliżu nie uszczknął choć odrobiny mojego czasu.

Pomaszerowałem do pokoju Truposza.

- Co jest?

Powiedz kapitanowi Blockowi, iż po namyśle uznałem, że porwanie z ostatniej nocy jest tylko tym, na co wygląda. Kobieta Candy zostanie zamordowana dopiero dzisiaj wieczorem, o odpowiedniej porze. Jeśli kapitan, jak to zwykle z nim bywa, przestał szukać i czeka, że pojawi się trup, to znaczy, że jest...

- Już idę.

Wyszedłem na ulicę. Na przestrzeni stu metrów stwierdziłem, że mam ogon. Uznałem, że to jeden z chłopców z mafii. Nie wybrali go zapewne z powodu wyjątkowej zręczności w pozostawianiu niezauważonym. Crask i Sadler chcieli, żebym wiedział, iż mnie pilnują. Naprawdę dobry ogon pozostałby w tyle, dopóki nie zacznę naprawdę szukać.

Wystawie ich do wiatru. W ogóle nie będę szukał.

Blocka łatwo było znaleźć.

Poszedłem do jego sztabu w nadziei, że dowiem się, gdzie go szukać, i patrzcie! Siedział sobie właśnie tam, w budzie.

- Co pan do diabła tutaj robi? - zapytałem.

- Niczego wczoraj nie znaleźliśmy. Miałem pięciuset ludzi na ulicach. Nie znaleźli kompletnie nic. Odwołałem ich po północy. Wtedy wydawało się, że nie mamy wielkiej szansy, żeby coś zdziałać. Wszystkie morderstwa miały miejsce przed pomocą, oczywiście, o ile się dobrze orientujemy.

- Czekaj pan, aż ktoś znajdzie trupa za pana. Truposz wiedział, że tak będzie.

Block wzruszył ramionami.

- Jestem otwarty na pomysły. O ile nie potrzebujesz, Garrett, kolejnego tysiąca marek, żeby stworzył ci usta.

- Tym razem ma pan to od firmy. Truposz kazał powiedzieć, że dziewczyna żyje. Nie załatwią jej aż do wieczora. Morderca nigdy nie zmienia planu. Porwał ją wczoraj, bo wiedział, że później będziemy jej pilnować.

- Wciąż żyje? - Block złapał się lewą ręką za podbródek i zaczął go ugniatać, rozważając taką możliwość. - Wciąż żyje...

Znow milczenie, chwila namysłu.

- Wszyscy ludzie, którzy znali Winchella, próbowali się domyślić, gdzie się może ukryć i kto mu pomaga.

- Pewnie nie będzie potrzebował nikogo oprócz Ripleya.

- Może nie. Laudermill!

Pojawił się sierżant sztabowy. Klasyczny typ, z zadkiem dwa razy szerszym od ramion. - Sir?

- Macie coś na temat Winchella i Ripleya?

- Winchell nie kontaktował się z rodziną ani z przyjaciółmi. Wciąż sprawdzają Ripleya, ale do tej pory też bez wieści.

Miałem pewną myśl, co jak wiadomo, czasem mi się zdarza.

- Może powinniśmy poszukać od środka. - Kiedy to mi się zdarza, ludzie zawsze są bardzo zdziwieni. Tym razem zaskoczyłem nawet sam siebie. - Nad czym pracował Winchell?

- Hę?

- Chodzi mi o sprawę. Niech pan posłucha, Block, dość długo się tu kręcę, żeby wiedzieć, że kombinuje pan więcej, niż mówi komukolwiek, może z wyjątkiem księcia. Szuka pan, gdzie by się tu zaszyć, kiedy pana wypuszczą. Rozumiem. Ale to mnie w sumie guzik obchodzi. Niektórzy pana chłopcy jednak wykonują prawdziwą robotę policyjną, przynajmniej od czasu do czasu. A Winchell? Co on robił? Może...

- Wiem już. - Block debatował z samym sobą, pokazując wyraźnie, że wolałby, aby szydło pozostało w worku.

- Laudermill - rzekł wreszcie. - Przyślij mi Relwaya i Spike'a. Tutaj. Jak najszybciej.

Laudermill wyniósł się z szybkością doprawdy zaskakującą jak na osobę jego gabarytów. Pewnie miał już ze dwadzieścia lat służby i zarabiał na emeryturę.

- Ci dwaj, Relway i Spike, pracowali z Winchellem i Ripleyem nad sprawą jakiegoś oszustwa. Chciałem ich sprawdzić. Nie są zawodowcami, może to zająć trochę czasu, zanim ich znajdą. Nigdy nie przyszło mi do głowy sprawdzać pomocników.

Dochodzący Strażnicy pojawili się szybciej, niż sądził Block. O wiele za szybko, jak na moje

rozumowanie. Żaden z nich nie był człowiekiem. Relway okazał się nieprawdopodobnym mieszkańcem karła z kilkunastoma innymi stworzeniami. Był paskudny, ale, ku mojemu zdumieniu, na pozór bardzo przyzwoity i miły, mniej skopany przez pochodzenie i wygląd, niż mógłbym się spodziewać. Był bardzo zaangażowany w swoją misję w Straży. Prawdziwy fanatyk.

Podobnie Spike, który był człowiekiem- szczurem. Nie lubię tych istot. Moja antypatia sięga granic uprzedzenia. Nie wierzyłem, że ten człowiek- szczur był prawdziwy. Uczciwy człowiek- szczur to sprzeczność. Mutant.

- Relway i Spike są ochotnikami, dopóki nie zostanie zatwierdzony mój budżet - wyjaśnił Block.

- Mam już ustne potwierdzenie

funduszy, które pozwolą mi zatrudnić czterystu nowych pracowników do tajnej służby. Ci dwaj poprowadzą jedną z kompanii tam, gdzie pana teraz zabiorą.

Tajna policja, paskudna sprawa. Może i wielcy wojownicy sprawiedliwości, ale ciekawe, ile czasu upłynie, zanim ambitny książę Blocka odkryje, że można ich wykorzystać do likwidowania niewygodnych przeciwników politycznych.

Na razie wystarczy...

- Chodźcie, sprawdzimy, co z waszymi chłopcami.

Block przepisał Relwaya i Spike'a. Wiedzieli o miejscu, gdzie Winchell i Ripley mogli się ukrywać. Była to dziura, którą wypatrzyli w czasie operacji. Nie korzystali z niej na razie, ale to na pewno nie powstrzyma Winchella.

- Garrett, idziesz z tą dwójką - polecił Block. - Pilnujcie tego miejsca. Sprawdźcie wszystko. Zaraz będę z posiłkami.

I wyfrunął.

Relway i Spike spojrzeli na mnie wyczekująco, pewnie sądząc, że jestem oficerem straży. Byli podekscytowani. Będą uczestniczyć w czymś naprawdę wielkim i prawdziwym, choć jeszcze nie są policjantami.

- Do roboty! - Wskazałem głową na drzwi.

Elvis Winchell i jego kumpel mieli jaja. Relway i Spike opowiedzieli mi o sprawie, którą rozpoczęli, zanim jeszcze los zetknął kaprała i Price'a Ripleya z czymś zbyt dużym, jak na ich możliwości.

Jako cel obrali sobie nabrzeże wokół Dzielnicy Ogrów. Paskudne strony. Winchell szedł w najgorsze zakątki, udając pijaka, zaś Ripley, Relway i Spike ukrywali się w pobliżu, po czym atakowali każdego, kto zaatakował Winchella.

Podziwiałem śmiałość Winchella, ale miałem zastrzeżenia co do jego metod. Udało mu się zaaresztować tylko dwie osoby i byli to stosunkowo mało agresywni młodzi włóczędzy. Za to sporą ich gromadkę odesłał do domu z połamanymi kolanami, skazanych na spędzenie reszty życia po drugiej stronie linii - jako ofiary. Uważał, że kiedy wieść się rozejdzie, chłopcy przeniosą swój interes gdzie indziej.

- Może - zgodziłem się. - Ale sądzę, że prędzej by was pozabijali.

- Całą czwórkę? - zdziwił się Spike. Trochę mi było nieswojo, kiedy człowiek- szczur odezwał się do mnie jak równy do równego. W chwilę później sam się śmiałem z odkrycia u siebie takiej wady.

- Włóczędzy nie mają swojej gildii i nie pracują w stadach.

Mieszkam tu od lat i wiem. Nigdy nie pracują w grupkach większych niż cztery osoby. Dwie - to najpopularniejszy układ. Ale nawet czwórki pokonywaliśmy bez trudu. Block dawał nam narzędzia.

- Może lepiej zmieńmy temat. Nie wiem, czy chcę wiedzieć.

- Nadchodzi Nowy Porządek, Garrett - rzekł Relway. - Wielu ludzi nachapało się już, ile wlezie. Teraz wahadło przechyliła się na drugą stronę. Znajdziesz takich, którzy twierdzą, że jeśli Korona nie rozwiąże problemów socjalnych, sami się tym zajmą.

Facet rozgadał się na dobre. W końcu miałem wielką ochotę napuścić go na tamte kobiety, które przedstawiłem Truposzowi. Relway, choć nie miał w sobie ludzkiej krwi, był zdeterminowany, aby zaistnieć w społeczeństwie TunFaire.

- Może przesadzasz, przyjacielu - zasugerowałem. - Nie- ludzie są tu tylko na mocy traktatu. Jeśli nie chcą podlegać prawu karentyńskiemu, niech lepiej nie żądają jego ochrony.

- Słyszę, co mówisz, Garrett. I masz rację. Powinno być jedno prawo dla wszystkich. Urodziłeś się w tym mieście i mieszkasz, w nim, powinieneś pomóc uczynić z niego przyzwoite miejsce do zamieszkania. Ja już zrobiłem swoją część. Odwaliłem moją piątkę w Kantardzie i przyjąłem obywatelstwo karentyńskie.

Pojałem przekaz. Nie patrz dziadowi na nogi, bo jest mieszańcem. Płaci podatki tak samo, jak ja.

Odsunąłem się od Relwaya. Za duży aktywista, jak na mój gust. W co trzecim zdaniu powtarzał o „Nowym Porządku” i to wyraźnie z dużych liter.

Politycy mnie denerwują.

Czytaj: panicznie się ich boję. Są dziwaczni i wierzą w dziwaczne pierdoły, które opowiadają, nie patrząc na to, co się stanie, jeśli zwyciężą. Na szczęście w TunFaire jest mało polityków, a i ci zostali zepchnięci na margines.

Powinni nauczyć się mniej groźnego sposobu bycia. Jak Warczący Pies Amato.

Teraz zrozumiałem, jak Relway wysublimował swój gniew i nienawiść, wynikające z tego, że nie dość, iż jest mieszańcem, to jeszcze wyjątkowo paskudnym. Będzie się uśmiechał, ale przerobi świat tak, że stanie się jednym z jego luminarzy.

?Dobra. Próbuje, ile chcesz, stary. Tylko nie licz na mnie w rewolucji i po niej. Lubię moje życie takim, jakie jest.

Relway i Spike zaprowadzili mnie do kamienicy, która została niedawno i nie do końca spalona. Wprawdzie była opuszczona, ale piwnice jeszcze nadawały się do zamieszkania - oczywiście z punktu widzenia liberalnych standardów.

- Skąd się dowiemy, czy ktoś tu jest? - zapytałem.

Był jasny dzień. Łaziłem wokół z dwójką ludzi, których Winchell znał i którzy nie mieli cienia fantazji. Czarno-białe umysły. Godzinę temu Winchell i Ripley byli ich najlepszymi kumplami.

Teraz stanowili tylko nazwiska na liście morderców, szumowin, które należy zlikwidować.

Relway powiódł rybim okiem po ruinach.

- Spike, ty lepiej się skradasz. Sprawdź to. Ludzie szczury to podstępne sukinsyny. Spike jak duch ruszył

w stronę interesującego nas miejsca. Czekaając na niego, Relway i ja staliśmy się niewidzialni. Relway był cholerną trajkotką z nosem długim na stopę. Chciał wiedzieć wszystko o mnie i o tym, dlaczego tak się interesuję tą sprawą.

- Nie twój interes - odparłem. Relway nadął się jak balon.

- Mógłbyś przynajmniej okazać trochę wychowania. Powinieneś być uprzejmy. W Nowym Porządku będę ważną osobistością.

- Nie jestem uprzejmy dla Blocka. Nie byłbym uprzejmy nawet dla jego szefa. Nie zamierzam marnować uprzejmości na ciebie i tego szczura. Właściwie wcale nie mam ochoty tutaj być. To tylko los rzuca mną na wszystkie strony.

- Słyszę, co mówisz. To samo przydarza się i mnie. Może jeszcze gorzej, biorąc pod uwagę mój

wygląd.

- W twoim wyglądzie nie ma nic nadzwyczajnego - skłamałem. - O, idzie szczur. Co pokazuje?

- Sądzę, że chce powiedzieć, że oni tam są. I chce wiedzieć, co teraz robić.

- Teraz to sobie poczekamy na Blocka. Mam wrażenie, że ten Winchell to kawał sukinsyna. Nie chciałbym, żeby uciekł po moim trupie.

- Wiem, do czego zmierzasz, Garrett. - Relway zamachał ręką

i palcem wskazał na powietrze. Spike zrobił to samo. - Sarnie nie mam wielkiej ochoty stać się martwym bohaterem. Chce zobaczyć nadejście Nowego Porządku. Nie jesteś przypadkiem tym Garrettem detektywem, co?

- Prawdopodobnie tak. A co? Mam nadzieję, że nie narobiłem kłopotów twojej rodzinie albo kumplom, co?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Patrzysz na coś, w czego istnienie właściwie nie powinieneś nawet wierzyć. Jesteś prawdziwy i jedyny w swoim rodzaju. Właściwie wręcz zboczeniec. Uczciwy mieszaniec, który pochodzi z rodziny, gdzie nikt nigdy nie miał kontaktu z policją, nawet w celu przesłuchania.

Mówił wyzywającym tonem, nie bez racji, ponieważ moje zachowanie odzwierciedlało ogólne uprzedzenie. Najbardziej kłopotliwe było to, że ja właściwie wcale tego uprzedzenia nie podzielałem.

- Chyba zaczęliśmy nie z tej nogi i zdaje się, że to moja wina, Relway. To nic osobistego. Od rana jestem w cholernie paskudnym nastroju. Zazwyczaj mój jad zachowuję dla ludzi- szczurów.

- Dziwny z ciebie facet, Garrett. A oto i nasz człowiek. - Miał na myśli Blocka. Widocznie w niektórych kręgach Block był osobą wysoko cenioną.

Block wciąż miał mnie w tak dużym poważaniu, że przed każdym kolejnym ruchem pytał mnie o zgodę.

- Dom jest otoczony. Jeśli ktoś zechce wyjść, będzie się musiał zdrowo napracować.

- Truposz twierdzi, że najlepiej byłoby wziąć ich żywcem, o ile to możliwe. Dopóki żyją, klątwa podobno nie może się przenosić.

- Oni?

- Prawdopodobnie część klątwy dotknęła Ripleya... Albo Winchella, bo nie wiadomo, kto jest tym głównym.

- Aha. Jasne. Myślę, że już nie bardzo jest na co czekać. Właściwie trzeba to zrobić.

Przyszła mi do głowy kolejna myśl, zresztą nie po raz pierwszy. Przeganiałem ją na wszystkie strony, ale wróciła. Pewnie pożałuję, ale...

- Może powinienem iść z pierwszą grupą. Dziewczyna mnie rozpozna. Jeśli jej powiem, że to ratunek, może uda nam się zmniejszyć panikę i zachować przy życiu kilku ludzi.

- Jak pan sobie chce. Jeśli to panu pasuje, niech pan idzie. Daję znak Relwayowi. Proszę mu powiedzieć, co chce pan zrobić, i już więcej nie przeszkadzać. On naprawdę jest lepszy od zawodowców.

- Jasne. - Podeszedłem do Relwaya. - Idę z tobą. Dziewczyna mnie zna.

- Uzbrojony?

- Na bezkrwawe łowy. - Pokazałem mu moją łamigłówkę. Wzruszył ramionami.

- Nie wchodź w drogę prawdziwym policjantom.

Co za bezpośredniość. Musiałem się napracować, żeby nie ulec pokusie.

Grupa szturmowa Relwaya była uzbrojona na odbijanie miasta z rąk oddziałów Venagetic. Miałem nadzieję, że mają jakieś doświadczenie. Od tamtej pory raczej nie przechodzili szkoleń.

- Uważasz, że będą aż takie kłopoty?

- Nie - odparł Relway. - Ale ta grupa jest gotowa na wszelkie kłopoty, jakie się nadarzą.

- Dobry tok myślenia. Nie będą cię mogli zaskoczyć, jeśli wejdiesz tam gotów na wszystko.

- No właśnie. - Relway uśmiechnął się.

Spojrzałem na drugą stronę ulicy. Spike się niecierpliwił.

- W takich chwilach wszystko nagle wydaje się bardziej realne.

- Tam też tak było?

- Gorzej. O wiele gorzej. Byłem wtedy wystraszonym gówniarzem.

- Ja też. Gotów?

- Już bardziej nie będę.

- Za mną. - Ruszył. Garrett biały rycerz harcował po kocich łbach tuż za nim, a w tyle pół tuzina obrońców sprawiedliwości w uniformach, nie mających pojęcia, jak dokonać tego, co kazano im zrobić. Nie wstąpili do Straży, aby chronić TunFaire przed szaleńcami czy ścigać przestępców.

Człowiek- szczur obstawiał małe okienko piwniczne. Kiedy się zbliżyliśmy, wcisnął się do środka, kręcąc tyłkiem i wywijając ohydny, nagim ogonem. Chyba właśnie to mnie tak brzydzi w tych stworach. Ogony. Są naprawdę obrzydliwe.

- Za tobą - oznajmił Relway, kiedy szczurzy ogon zniknął.

- Co? - Okienko okazało się za małe. Nie zostało stworzone do przechodzenia. Było takie duże tylko dlatego, że szabrownicy

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

rozdlubali je dookoła, żeby wejść do środka i wyczyścić, co się da. Nie mogę sobie wyobrazić, co by to miało być.

- Twierdzisz, że jesteś bohaterem, którego zna.

- Kurde. - Sam się o to prosiłem.

Wciągnąłem brzuch i wsunąłem nogi w okienko. Szczur ciągnął, Relway pchał. Wpadłem do środka, wylądowałem na podłodze, potknąłem się o cegłę i zakląłem.

- Gdzie oni są? - wymamrotałem.

- Tam, gdzie widać światło - szepnął Spike. Dzięki temu prawie nie można go było zrozumieć. Ludzie- szczury mają problemy z mówieniem, a co dopiero z szeptaniem. Ich krtanie nie są stworzone do mowy.

- Kryjcie mnie, ściągnę tu więcej ludzi.

Ten szczur spędził całe życie wśród ludzi. Nie ukrywał się przed nimi, zadowolając się życiem w szczelinach społeczeństwa i biorąc tylko to, czego inni nie chcieli. Mój szacunek do niego wzrósł.

Przygotowałem łamigłówkę i ruszyłem w stronę światła przesączającego się przez niedomknięte drzwi. Ciekawe, dlaczego Winchell i Ripley jeszcze nas nie zaatakowali ani nie zaczęli uciekać? Miałem wrażenie, że hałasujemy jak cały Armageddon.

I nagle stało za mną trzech ludzi, a Relway mówił do nich:

- Pilnujemy drugiego wyjścia. To co, Garrett? Wchodzimy? Zacerpnałem tchu i walnąłem w drzwi. Poleciałem na nie z całej siły, spodziewałem się, że już po moim ramieniu.

Drzwi zapadły się. Nie miałem pojęcia o własnej sile. Regularny Saucerhead Tharpe. Wyrwałem je po prostu z zawiasów.

Po dwóch chwiejnych krokach potknąłem się o połamane cegły i wywinąłem orła.

Elvis Winchell i Price Ripley byli pochłonięci chrapaniem na posłaniach z worków i łachmanów. Widocznie noszenie klątwy jest męczącym zajęciem. Jedyne otwarte oczy w tym pomieszczeniu należały do Candy. Zareagowała na moje wejście, ale nie żadnym wielkim wybuchem radości.

Cholera. Nie wiedziała, po co tu przyszliśmy. Według jej informacji mogliśmy być kumplami Winchella i jego partnera. Pozbierałem się z podłogi.

- Jesteśmy ekipą ratowniczą.

Winchell i Ripley zaczęli wreszcie reagować. Relway walnął Ripleya w łeb, nim biedak zdążył choćby otworzyć oczy. Relway jakoś nie miał problemów z ustaniem na nogach. Wyglądał wręcz wdzięcznie.

Spike miał mniej szczęścia przy usypianiu Winchella. Winchell unikał jego ciosów, uciekał, próbował zaświecić oczami na zielono. Może jeszcze tego całkiem nie opanował.

Bogowie, ależ on wyglądał. Jakby od dnia, w którym pomagał nam zgarnąć łotra wystawionego przez Mieszczucha Byrda, postarzał się o piętnaście lat. Ripley też nie wyglądał najlepiej, ale nawet w połowie nie tak źle jak Winchell.

- Ekipa ratownicza? Jesteście pewni? A wyglądacie jak cyrkowcy.

Spike i dwóch Strażników gonili Winchella. Winchell odmawiał wszelkiej współpracy. Relway z resztą wpychali Ripleya do wielkiego worka.

Block pojawił się u drugiego wejścia do piwnicy i robił wszystko, żeby się nie znaleźć w zbyt dużym niebezpieczeństwie.

- Hej, kapitanie! - zawołałem. - Ta pani nie wymaga ratunku. Ma już wszystko pod kontrolą.

- Ty jesteś ten facet, co się kręcił u Hullara - powiedziała Candy. Przeciąłem sznury krępujące jej kostki. Ładne kostki. Nie zauważyłem wcześniej, że ma takie ładne kostki. Byłem zajęty całą ładną resztą powyżej. - Garrett?

- To ja. Niezawodny błędny rycerz. Niezmiennie przeganiany i maltretowany przez ludzi, których usiłuje ostrzec przed zagrożeniem.

- Uważaj na łapy, chłoptysiu. Słyszałam już o tobie. Ripley został wyniesiony na ulicę, ale Winchell wciąż jeszcze

się bronił, odpierając połączone siły Relwaya i Spike'a, którzy jak na razie zdołali mu naciągnąć worek na głowę. Ani Relway, ani Winchell nie byli w mundurach. Posiadając pracę, mogli sobie pozwolić na całkiem przyzwoite cywilne odzienie, dlatego byłem nieco zaskoczony, kiedy ujrzałem, że zamiast pasa Winchell nosi dość ciężki kawałek sznura.

- Też o sobie słyszałem. Nieraz sam siebie nie poznaję. Co słyszałaś? Na pewno nie to, że jestem bohaterem.

Spike, Relway i cała grupa zdołali wreszcie przewrócić Winchella i w całości wcisnąć do wielkiego worka. Relway właśnie go zawiązywał.

- Świński bohater. Pamiętasz Różę Tatę? Relway kopnął szamoczący się worek.

- To lepsze niż cela na kółkach - oznajmił.

- Ach, znowu słodka Różyczka - mruknąłem. - Tak. Powiem ci coś na temat Róży. To prawdziwa historia i uwierzysz w nią, jeśli znasz Różę, albo nazwiesz głupią bajką, jeśli jej nie znasz.

Miałem kupę czasu. Chłopcy chyba świetnie radzili sobie beze mnie. Nie chcąc stracić publikę, zacząłem bardzo powoli i niezgrabnie ciąć i rozplątywać. Relway i chłopcy ruszyli z Winchellem w stronę drzwi. Przez całą drogę Winchell kłął i szarpał się jak wściekły. No cóż, nie był sam w worku. Właściwie zielone motylki fruwały sobie po całej piwnicy, zafascynowane głównie jedną palącą się świecą. I znów zacząłem się zastanawiać, co motyle mogą mieć wspólnego z całą resztą - jeśli w ogóle coś. Może były tylko czymś w rodzaju wydzieliny skunksa?

I nagle stało się tak, że zostałem sam na sam z Candy. Nie wyglądała na zrozpaczoną moim brakiem pośpiechu, kiedy jej opowiadałem o Róży Tatę. Potem zacząłem się rozglądać za nożami, które widziałem w domu Hamiltonów. Gdzieś po zakamarkach umysłu plątało mi się pytanie: skąd ona właściwie знаła Różę? Kiedy skończyłem opowieść, zapytałem:

- A skąd właściwie znasz Różę?

- A skąd ty właściwie wiedziałeś, co się ze mną dzieje? Wiem, że rozpytywałeś o mnie wszędzie. Huliar mi powiedział.

- Próbowałem cię tylko powstrzymać przed randką z facetem, którego właśnie wynieśli stąd w worku. Lubi pruć bogate dziewczyny.

- Tyle już zrozumiałam. Zdaje się, że powinnam ci podziękować za to, że nie pożywił się moją wątrobą.

- Byłoby miło. - Wreszcie zlokalizowałem noże pod stertą szmat, które służyły Winchellowi za posłanie. Nie chciałem ich ruszać, choć podejrzewałem, że dopóki tamten zipie, są dość bezpieczne.

- Dziękuję, Garrett. Naprawdę dziękuję. Kiedy się boję, staję się cholernie sarkastyczna.

Zauważyliście, że nie mówiliśmy o jej znajomości z Różą? Bo ja nie.

- No to musiałaś być ciężko przestraszona przez cały czas, kiedy byłaś u Hullara. - Właśnie jako taka była znana. Sarkastyczna dziwka.

- Zatrzas zrujnujesz swoje szansę, Garrett. Wydałem odgłos gwizdka parowego.

- Jesteś piękna, ale zaczynam tracić zainteresowanie. Faktem jest, że zaczynam się nawet zastanawiać, po co tu traciłem czas. Twoja osobowość zabija wszelkie zalety, jakimi obdarzyła cię

natura.

- To jest historia mojego życia, Garrett. Robię wszystko, żeby zacząć mleć ozorem bez sensu za każdym razem, kiedy robi się naprawdę miło. Moim przeznaczeniem jest klęska, jak twierdzi moja matka. W porządku. Obiecuję. Spróbuję. Dzięki. Uratowałeś mi życie. Poza kwestiami oczywistymi, co mogę jeszcze dla ciebie zrobić?

W drzwiach pojawił się Block i wsadził makówkę do środka.

- Hej, Garrett, co tam robisz?

- Szukam czegoś.

- A znalazłeś?

- Aha. Te noże. Truposz mówi, że trzeba je zniszczyć. Block podszedł o krok bliżej, spojrzał na cztery nagie ostrza.

- A bezpiecznie jest się nimi tak bawić?

- Winchell i Ripley jeszcze zdrowi? - Tak.

- No to bezpiecznie. Chyba że pan pochlebia sam sobie. Wydał niemiły dźwięk, wziął noże.

- Zaraz się z nimi załatwię - oznajmił i wyszedł.

- Poza kwestiami oczywistymi, które są mniej oczywiste, niż sądzisz - zwróciłem się do Candy - możesz przyjść do mnie do domu i pogadać z moim partnerem. To on jest mózgiem. Chce cię zobaczyć.

- Czy to jakieś dziwadło? Czy on sam nie może do mnie przyjść?

- Jest niepełnosprawny. - Ukryłem uśmiech. Nikt nie jest tak niepełnosprawny jak Truposz.

Wyszliśmy z piwnicy. Candy nie przestawała trajkotać. Wykonywałem obronne gesty, próbowałem przedstawić jej Blocka, żeby wiedziała, kto oficjalnie odpowiada za jej uratowanie. Nie dotarło. Trajkotała jak opętana, a on był zainteresowany jedynie zniszczeniem noży, co zresztą uczynił bardzo starannie, łamiąc każdy z nich na cztery części.

- To powinno załatwić sprawę. - Nadał się i był bardzo szczęśliwy.

Duma idzie przodem, pomyślałem sobie.

- Lepiej niech pan dopilnuje, żeby nie zabrali temu świrowi nic innego. Nie wiadomo, czy to noże przenoszą klątwę.

- Spaliliśmy świra i wszystko, co miał na sobie, a teraz spalimy także i to. Pewnie. Jasne. Dopiero potem, jak załatwimy klątwę.

- Później. - Candy wciąż mnie napastowała. Powiedziałem: - Kobieto, przestań. Nie jestem masochistą. Ale pójdziesz ze mną i spotkasz się z moim partnerem. Mieszkam dokładnie po drodze do twojego domu.

Przystanąłem, żeby spojrzeć na więźniów. Obaj byli ukryci w wielkich konopnych workach. Winchell się miotał, Ripley nie robił nic, ale przez niego moje czoło nawiedziła zmarszczka niepewności. Kiedy patrzyłem, pojawiła się i odleciała mała ćma, a może po prostu mól.

Tymczasem Candy drażyła dalej:

- Skąd wiesz, że mieszkasz po drodze do mojego domu?

- Przyznaję, że jeszcze nie dotarłem do tego, kim jesteś naprawdę, ale wiem na pewno, że pochodzisz z Góry. Bogate dziewczyny są jedynym typem, jaki sobie upodobał morderca. A zatem, jeśli pójdziesz teraz do domu i ukryjesz się przed światem, i powiesz sobie, że miałaś kupę szczęścia, i o wszystkim zapomnisz, i zaczniesz traktować niższych od siebie...

- Jesteś Acmeistą czy Anarchistą?

- Co? Chyba się zgubiłem. - Ale się nie zgubiłem. Szedłem do domu, a ona pętała się za mną. Truposz będzie zachwycony.

- To takie zwariowane podziemne ugrupowania, Garrett. Jest ich tuziny. Puentyliści, Destrukcjoniści, Kalibratorzy, Awatarowie, Ateiści, Realiści, Postmodemiści... Zachowywałeś się tak,

- Nie mam nic wspólnego z polityką i żywię nadzieję, że polityka nie będzie miała nic wspólnego ze mną. Mam dobrze przemyślaną, cyniczną opinię na ten temat: nieważne, jak długo zwlekamy ze zmianą, każda zmiana spowodowana przez człowieka będzie na gorsze, na korzyść mniejszej i bardziej skorumpowanej klasy rządzącej.

W tym momencie ujrzałem oblicze kolejnego hitu sezonu - rewolucja!

- A tak w ogóle: masz jakieś imię? Prawdziwe imię? Wszyscy ci „iści” mają w swych oddziałach głównie znudzone bogate dziewczynki.

- Candace.

- Naprawdę? Używasz prawdziwego imienia?

- Nikt go nie używa, z wyjątkiem mojego brata, a on zginął w Kantardzie w zeszłym roku. Był kapitanem kawalerii.

- Przykro mi.

- Przykro mi, GarretL - Co?

- Ty też tam kogoś straciłeś. Zrozumiałem.

- Tak. Zdaje się, że to nie jest odosobnione doświadczenie, prawda? A więc, jak cię nazywa większość ludzi?

- Mickey.

- Mickey? Jak zrobili Mickey z Candace?

Zaśmiała się. Miała cudowny śmiech, kiedy nie próbowała robić nic innego, tylko być szczęśliwą. Czuję, że zaczyna mnie dopadać roztargnienie.

- Nie wiem. Chyba od niani. Miała dla każdego z nas jakieś czułe przezwisko. Co?

Zachichotałem.

- Obudziłaś stare wspomnienia. Mojego braciszka nazywaliśmy Foobah.

- Foobah?

- Nie wiem dlaczego. To mama. Mnie nazywała Pyszcz.

- Pyszcz? Ale ładnie, już to widzę. - Odskoczyła i zatańczyła, wskazując na mnie palcem. - Pyszcz! Pyszcz!

- Hej, skończ to! - Ludzie zaczęli się gapić.

Wykreśliła piruet,

- Pyszcz. Słynny detektyw Pyszcz.

Uciekła, bo zacząłem ją gonić. Dobrze biegła. Miała odpowiednie nogi. Bardzo ładne nogi. Nie przemęczałem się, tylko utrzymywałem odpowiedni dystans, podziwiając widoki.

Zaczęliśmy te igraszki niedaleko domu. Kiedy jednak weszliśmy w ulicę Macunado, dogoniłem ją.

- To kilka domów dalej. Tu mnie znają, to wszystko moi sąsiedzi.

Śmiała się, dysząc ciężko.

- Tak, sir. Panie Pyszcz. Uszanuję pańską godność, panie Pyszcz.

Wciąż chichotała i robiła mi wstyd, kiedy Dean otworzył frontowe drzwi.

Belinda była w holu. Wykrzywiła się na widok Candy. Candy wykrzywiła się na widok Belindy. Bez wątplenia się rozpoznały. Candy dźgnęła mnie po raz ostatni:

- Wiedziałaś, że przezywali go Pyszcz?

- Dean! - zagrzmiałem. - Przynies coś do picia do pokoju Truposza, I jeszcze sole trzeźwiące,

gdyby się nakryła nogami.

Nagle miałem problem. Znalazłem się pomiędzy dwiema przepięknymi kobietami - obie były interesujące, jedna łypała na drugą jak kot, który planuje poostrzyć sobie pazury. Na mnie.

Wszedłem nieco z wprawy, ale wiem, jakie mam zafajdane szczęście. Kiedy polecą kłaki, większość z nich to będą moje. Z radością sprzymierzą się przeciwko mnie.

Usłyszałem hałas z małego pokoiku od frontu i przeżyłem inspirację mojego życia. Wpadłem tam, zanim ostatnia przybłęda Deana zdążyła się schować. Była to mała, puszysta kulka, tak przyjacielska, że nawet ja, gdyby mnie przycisnęli, przyznałbym, że jest śliczna. Wpadłem z powrotem do holu, gdzie panie właśnie wymieniały mordercze spojrzenia. Skłoniłem kotka do mruczenia.

- Myślę, że się znacie, dziewczyny - powiedziałem do Candy.

- Ona się tu ukrywa przed mordercą - powiedziałem do Belindy. - Morderca porwał ją wczoraj. Właśnie ją ocaliliśmy, a ja przyprowadziłem tutaj, żeby pogadała z Truposzem.

- Właśnie tak myślałam. - Spojrzała na kpciaaka, ale bez tej iskry w oku, którą powinien mieć każdy koci fan. Cholera. Zmarnowana inspiracja.

- Jakież ja jestem cudny - zagruchała Candy. Bomba. Przynajmniej w połowie.

- A może go potrzywasz? Ja tymczasem pójdę pogadać z moim partnerem. - Nie zareagowała, kiedy wymieniłem jego imię. Uprzejmie uwolniłem się od kodaka i ruszyłem do pokoju Truposza. Kiedy się zbliżałem, Candy podskoczyła, jak to czyni większość ludzi, których Jego Kościstość uzna za stosowne dotknąć bezpośrednio.

Wszedłem do środka.

- Widzisz, co tam mam? Mam je traktować w jakiś specjalny sposób?

Po prostu ją wprowadź.

Był bardzo czymś rozbawiony, a ja nawet domyślałem się, czym. Dwie kobiety. I ja, bezwstydnie podniecony, kombinujący, jak tu dostać Belindę, a przy okazji i Candy.

To będzie prawdziwy test twojego osławionego czaru osobistego. Zwłaszcza że obie panie zostały ostrzeżone przez twoją starą przyjaciółkę Różę Tatę.

- Cieszysz się z mojej rozpaczki.

Przygotuj ją. Wciąż jeszcze jest bardzo zdenerwowana. Mój wygląd może być dla niej zbyt wielką niespodzianką.

Uważałem, że doskonale sobie radzi ze stresem, wyładowując go na mnie.

Koci wybieg nie podziałał. Kobiety stały teraz obok siebie i oglądały kotka, ale rozmawiały o przygodzie Candy.

- Chce, żebyś tam teraz weszła - powiedziałem. - Muszę cię ostrzec, on nie jest człowiekiem. Nie wystrasz się, kiedy go zobaczysz.

Candy nie wyglądała na przestraszoną.

- Jest naprawdę taki okropny? Jak ogr?

- Nie. Raczej po prostu tłusty. I ma wielki nos.

- Jest słodki - dodała Belinda.

- Niby kto? - zapytałem.

- Czy mogę wziąć ze sobą Josha? - Candy miała na myśli kota. Już zdążyła mu nadać imię. Belinda skinęła głową, nie pytając mnie o zdanie.

- W porządku - powiedziałem, jakby kogokolwiek obchodziło to, co myśli właściciel w swym własnym domu. - Dobry pomysł.

Kot może stanowić punkt ogniskujący dobre myśli, dobre uczucia, nawet jeśli trudno je będzie odnaleźć. Candy weszła do pokoju Truposza. Nie zaczęła wrzeszczeć.

- Wydaje mi się, że ty naprawdę należysz do tych dobrych facetów, Garrett - zauważyła Belinda.

- Co?

Machnęła ręką, jakby słyszała o mnie takie rzeczy, których nie chciałaby powtarzać w mojej obecności. Byłem zaskoczony. Ciekawe, ile te dwie mogły sobie powiedzieć przez ten czas, kiedy zamieniłem dwa zdania z Truposzem?

Kobiety. Kto je zrozumie?

Belinda ujęła mnie za ramię i przytuliła się lekko.

- Czy jest dla ciebie za wcześnie, żeby mnie zabrać do kuchni i postawić mi piwo?

Zastaliśmy Deana przy wykańczaniu ostatnich szczegółów gorącego posiłku.

- Co to jest? - zapytałem.

- Musicie jeść. A młoda dama, którą tu przyprowadziłeś, z całą pewnością od dłuższego czasu nie jadła porządnego posiłku.

Jedzenie jest dla Deana poważną sprawą. Gdyby mu na to pozwolić, każdy posiłek byłby przedstawieniem. Jest przerażony moją postawą, traktującą jedzenie jak paliwo - choć muszę przyznać, że lubię sobie dobrze zjeść, kiedy już jedzenie stoi przede mną. Po prostu nie lubię wylażić ze skóry i wydawać więcej niż trzeba. I niech sobie będę dzikusiem.

Nalałem Belindzie piwa.

- Myślałam o moim problemie z Craskiem i Sadlerem - powiedziała.

- Dobrze. - Bo ja nie miałem czasu.

- Może pan otworzyć drzwi, panie Garrett? - uprzejmie zapytał Dean. - Nie mogę teraz przerwać.

- Przepraszam - mruknąłem pod adresem Belindy. Uśmiechnęła się tylko i puściła do mnie oko.

?- A teraz co się stało? - jęknąłem, odsuwając się na bok, żeby Block mógł wejść. - Tylko proszę mi nie mówić, że znowu spieprzył pan robotę. Nie przeżyłbym, gdybym usłyszał, że to się znów stało.

- Winchell uciekł, Garrett.

- Błagałem, żeby mi pan nie mówił, że znowu spieprzył robotę.

- To nie była moja wina.

- Jasne, kurde, że nie. Pan dowodzi. Facet był związany w worku. Jak się wydostał?

- Jakiś cholerny dupek stwierdził, że musi go sobie obejrzeć. Otworzył worek i...

Omal nie zacząłem wrzeszczeć.

- Wyleciała chmara motyli, spadła na niego, a Winchell sobie grzecznie wylażł z worka i poszedł w diabły. Mam rację?

- Tak.

- Wie pan, co teraz powinienem zrobić? Wziąć was obu, zawiązać w workach i wrzucić do rzeki.

- Ten pieprzony dureń to ksiązę Rupert I naprawdę robi wszystko, żeby na nikogo nie zwalić winy.

- Nooo, dobra. Będę klaskał, kiedy go koronują. I co teraz? Po coś tu przylazł, Block? Żeby mi zawracać głowę?

Block wyszczerzył zęby.

- Nie panu. Chcę się widzieć z Truposzem. Potrafił odgadnąć, co robi morderca.

- Ponieważ on też ma chory umysł. Jestem przekonany, że już wie, że pan tu jest. W tej chwili z kimś rozmawia. Proszę tu poczekać. - Wskazałem na pokoik od frontu. - Wezwie pana. Ja teraz jem obiad.

A ciebie nie zapraszam, ty niekompetentny sukinsynu. Usiadłem naprzeciwko Belindy.

- A może pošlemy TunFaire buziaka na pożegnanie? Pobierzemy się i uciekniemy na Wyspy Karnawałowe i otworzymy kram wizjonerów?

- Bardzo ciekawa propozycja. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Strażnicy wypuścili mordercę. Szalenciec jest znów na ulicy i ma osiem do dziesięciu godzin, żeby wywinąć swój stary numer.

- Ale jeśli Candy i ja jesteśmy tutaj...

- To zabije kogoś innego. Musi kogoś zabić.

Jakimś cudem, czy mi się to podobało, czy nie, mój dom stał się kwaterą główną polowania na Elvisa Winchella. O zachodzie słońca zjawił się nawet sam książę Rupert. Nie mogłem go nie wpuścić, ale postawiłem się twardo w sprawie jego eskorty. Wpadłem w sam środek tłumu z wściekłym, wyzywającym uśmiechem i stwierdziłem:

- Wasza lordowska mość, nie mam miejsca, żeby pomieścić tylu ludzi. - A kiedy się natychmiast nie obraził i nie posłał po kata, pozwoliłem sobie na kolejną sugestię: - Ta gromada niepotrzebnie zwraca uwagę.

Było już bardzo późno - nocne marki chodziły po ulicach i bez trudu zauważają tłum.

Poszliśmy na kompromis. Nie wprowadził nikogo do domu.

Książę Rupert był pierwszą osobą królewskiej krwi, którą spotkałem. To, co zobaczyłem, nie wywarło na mnie porażającego wrażenia, choć później Truposz zawracał mi głowę opowieściami o dobrych intencjach, jakie wykrył w jego umyśle. W tym akurat momencie nie miałem najlepszego humoru, więc tylko przypomniałem mu, czym są wybrukowane drogi do piekła i tak dalej. Słońce jeszcze nie wstało, kiedy w miasto poszła wieść, że znaleźli Emmę Setlow, alias Dixie Starr, w takim stanie, jakiego się należało spodziewać. Strażnicy przybyli akurat w chwili, kiedy rytuał dobiegał końca. Winchell znowu zadarł ogon i zwiął, ale złapali jego pomocnika. Odzyskano również noże.

- Noże? - zapytałem. - Jakie noże? Przecież noże zostały zniszczone.

Okazało się, że wzmiankowane noże były zwykłymi starymi kuchennymi sztucami i nie najlepiej się nadawały do zadania, do jakiego ich użyto.

Czuję, że wkrótce się okaże, iż to nie noże przenoszą klątwę, zauważył Truposz.

- Do licha - mruknąłem. - Na to już sam wpadłem. - Winchell nie panoszyłby się tak, gdyby było inaczej.

Noże zostały zniszczone, połamane, ale czerwone żelazne noce wciąż trwają.

- Ślicznie. A co z tym typem, którego złapali? Pomocnik był zapóźnionym w rozwoju człowiekiem- szcurem, który wyznał, że opiekował się Dixie od chwili jej porwania, to znaczy o wiele wcześniej, niż porwano Candy. Z tego wynika, że Winchell postanowił zebrać sobie zapas brunetek. I kiedy uciekł od Blocka i księcia, po prostu popędził tam, gdzie ukrył Dixie.

- Nie podoba mi się to - burknąłem. - Ten Winchell jest cholernie cwany.

- Winchell? - sarknął Block. - Winchellowi trzeba pomagać przy wiązaniu butów.

To klątwa, panowie. Tym razem - a mam na myśli jej powrót na światło dzienne - osiągnęła pewien krytyczny etap rozwoju. Podejrzewam, że nie skłamię, jeśli powiem, że doszła do punktu, gdzie zaczyna się uczyć, a nie nabierać doświadczenia powoli, jak pies, poprzez kolejne powtórzenia. Być może powinniśmy się uczyć z przerażającą możliwością, że wkrótce zacznie wykazywać zdolność myślenia.

- Czekaj no, czekaj, przyjacielu... Klątwa może zabrać krowie mleko albo obsypać cię kurzajkami, albo sprawić, że twój dzieciak będzie miał zezę. Nie jest to coś, co...

W świecie waszego wioskowego handlarza magią, być może masz rację. Prawdopodobnie żaden z żyjących dziś czarowników nie byłby w stanie rzucić takiej klątwy. Ona jednak pochodzi z czasów, kiedy ziemię przemierzali giganci.

Giganci spacerowali sobie po ziemi mniej więcej za naszymi oknami, a już na pewno i milę stąd, ale nie sprzeczałem się z nim. Jedną z najwcześniejszych wyuczonych przez mnie lekcji na temat starego Kościoła brzmi: nie daj mu wspominać starych dobrych czasów.

- Giganci? Może. Ale teraz musimy obmyślić jakąś strategię. Biorąc pod uwagę księcia i kapitana Blocka, należało się spodziewać, że będzie to strategia w równej mierze skierowana na likwidację mordercy, co dogłębnie polityczna.

Truposz zgodził się ze mną.

Winchell będzie starał się pozostać w ukryciu, ale nie może zniknąć całkowicie. Prawdopodobnie poradzi sobie bez pomocników, ale musi zabijać w coraz krótszych cyklach. Za sześć dni będzie musiał zabić znowu. Ponieważ panna... Altmontigo... została ocalona, będzie musiał od nowa namierzać kolejną ofiarę. Oczywiście, o ile uda nam się utrzymać nasze panie w izolacji. Te ostatnie słowa przekazał oddzielnie tylko na mój użytek. Nasi goście nie muszą wiedzieć, że mamy tu zachomikowane dwie panie. Będzie polował. Jeśli zdoła porwać ofiarę bez pomocnika, i tak będzie potrzebował pomocników. Nie przestanie zabijać, bo nie może, i nie jest w stanie powstrzymać zacieśniającego się kręgu śmierci. Musi zabijać coraz częściej.

- Hejże, hejże! - przerwał Block. - Czy w tym bełkocie jest jakiś sens?

Tak. Zasoby finansowe Winchella nie mogą być duże. Przeciwwstawcie się jego próbom rekrutacji, oferując wysoką nagrodę za jego schwytanie.

- Kto to jest panna Altmontigo? - zapytałem i pożałowałem tego, zanim jeszcze skończyłem mówić. I przedtem, i potem zastanawiałem się jednak, dlaczego się zawahałem. Czy z powodu Blocka i księcia?

Dla ciebie Candy. Albo Mickey.

I tu pojawił się jeden bardzo niepokojący czynnik. Altmontigo są starą i szanowaną rodziną z najwyższych części Góry. W co ja się pakuję? Odwiedzają mnie jednocześnie księżę krwi i panna z najlepszego domu, jaki sobie można wyobrazić? Że już nie wspomnę o tym, iż daję również schronienie księżniczce półświatka.

Wszystko to oznacza, że zostanę zauważony. A ja nie lubię być zauważany przez ludzi o takiej potędze.

Argumenty sypały się jak asy z rękawa. Świt wstał i poszedł sobie. Powiedziałem, że mam to w nosie. Nie wnosiłem nic do sprawy i nie zdobywałem żadnych użytecznych dla mnie informacji. Wszelkie czynione przeze mnie sugestie były ignorowane. No to niech wielcy tego świata babrają się w tym po swojemu. Potem, kiedy spartaczą sprawę i wyjdą na durni, będę mógł rozsiąść się wygodnie w fotelu i z błogą miną powiedzieć, że powinni byli mnie słuchać, kiedy był na to czas.

Zatrzymałem się u stóp schodów. Na górze była Belinda, Na górze była Candy. Dean wylegiwał się na sofie w pokoiku od frontu.

Cholerne kocisko zaczęło ocierać mi się o kostkę, mruczeć, wdzięczyć się i prężyć. Podniosłem go.

- Mały przyjacielu, z samego rana nauczysz się pewnej bardzo cennej lekcji. Nie możesz żyć, polegając wyłącznie na własnej urodzie i uprzejmości obcych ludzi. Pójdiesz na ulicę.

Kot zamruczał. Ktoś zaczął walić w drzwi.

Nie spieszyłem się. Powoli szedłem w stronę drzwi, zastanawiając się, czy nie powinienem założyć pułapki na pierwszy stopień. Czegoś takiego, że jak nie przyciśniesz tajnego wichajstra, wlecisz w bezdenną otchłań.

Cudowny pomysł, ale, niestety, niezbyt praktyczny. Praktyczną rzeczą byłoby zignorować istnienie drzwi. Tylko większość ludzi, którzy mnie znają, wie, że mam taki głupi zwyczaj i w końcu,

choćby nie wiadomo co, i tak popędzę do drzwi, jeśli będą się pieklić wystarczająco długo.

Tym razem koszmarek na progu miał postać zaniedbanego obiektu łamane przez współnika-konspiratora nazwiskiem Warczący Pies Amato. Właśnie tego było mi potrzeba w samym środku nocy. No dobrze, ranka. Zrobiło się rano, kiedy nie patrzyłem.

- Nie obudziłem cię?

- Nie. Mnie? Jeszcze się nie kładłem. Właśnie miałem zamiar. To był paskudny dzień paskudnego tygodnia w paskudnym miesiącu.

- Ten morderca dziewczyn? Słyszałem, że pojawił się następny.

- Ulica już o tym wie?

- Wieści szybko się rozchodzą, jeśli ludzie są zainteresowani.

- Właśnie. Idź do kuchni. - Wskazałem kciukiem drzwi pokoju Truposza. - Tam jest twój kumpel

Block. Kombinuje coś z Jego Kościstością.

Posadziłem Amato przy stole kuchennym.

- Piwa?

- Jasne.

- Co się dzieje? - zapytałem, nalewając dwa.

- Cóż... to nakaz. Czuję to. Wstałem, padało. Miałem dość robienia tablic i ulotek. Wstałem i zacząłem spacerować. Stopy same mnie ta przyniosły.

Co u diabła? Nie potrzebuję snu. Kto potrzebuje snu, prowadząc uczciwe życie?

- Mam tu resztki jabłeczniaka. Masz ochotę?

- Jasne. Nieczęsto jem coś przyzwoitego. Co o mnie sobie pomyślałeś wtedy, na schodach?

- Zrobiłeś świetny początek. Ale nie widziałem wszystkiego.

- Widziałem, że zniknąłeś.

- Nie z własnej woli. Przyszli kolesie Chodo Contague'a i powiedzieli, że facet chce się ze mną widzieć.

- Wydawało mi się właśnie, że widziałem tych gości, zanim zniknąłeś.

- Znasz ludzi Chodo?

- Nie z osobistego doświadczenia, dzięki niebiosom. Ale od lat obserwuję organizację i zbieram informacje. Nie próbowali jeszcze na mnie zarobić, ale kiedy zaczną, będę gotów.

Co to miało oznaczać? Że w organizacji jest ktoś, kto cierpi na litość i tolerancję? Nie sądzę.

Weszła Belinda. Candy deptała jej po piętach. Obie były w dość niedbałych strojach. Warczący pies natychmiast udowodnił, że wcale nie jest takim wariatem. Oczy wylazły mu na wierzch. Zaczął się ślinić. Gdyby księżyc był na niebie, pewnie by do niego zawył.

- Co to za śliczne panie, Garrett? - wykrztusił.

- Są tu w związku ze sprawą seryjnego mordercy. Ta tutaj to Belinda, a tamta to Candy. Panie, oto Kropotkin Amato.

Belinda nie była specjalnie zachwycona, ale Candy omal nie wyskoczyła z bielizny. Po prostu musiała zapytać:

- Warczący Pies Amato? - I spoglądając mi prosto w oczy, dodała: - Ojciec Sas?

W dwa mgnienia oka Amato stał się innym człowiekiem.

- Sas? Jak przyzwisko Lonie? Znasz Lnie Amato? Belinda załapała, chwyciła Candy za rękę.

Candy była biała

jak ściana, ale widocznie gest Belindy nie był dość szybki, żeby się zamknęła.

- Jasne. Pracujemy z Sas. No nie? - No właśnie, pomyślałem. Dziewczyny, zmarnowałyście całą noc na gdakaniu. Mam nadzieję, że niejaki Garrett nie odegrał tam zbyt istotnej roli.

- Lonie to moja córka - wyjaśnił Warczący Pies. - Niewielu ludzi o tym wie... nie widziałem jej od piątego roku życia. Moja żona..., nie wierzyła w to, co robię. Uważała, że jestem stuknięty. Może i tak. A może nie. Znacie Lonie? Naprawdę znacie Lonie?

Nawet świry muszą czasem uronić łzę. Dziewczyny nie wiedziały co powiedzieć. Odgoniłem je machnięciem ręki.

- Słuchaj, stary - szepnąłem. - Chyba winien ci jestem wyznanie. Pamiętasz raporty, które pisaliśmy? Znosiłem je do twojej córki, poprzez Hullara. Tak. Może nie jest całkiem normalny, ale to na pewno nie łajdak.

- Lonie? Naprawdę? Znasz moją córkę, Garrett?

- Widziałem ją, to wszystko. Nie znam jej.

- Wszystko z nią w porządku? Opowiedz mi o niej. Opowiedz wszystko...

- Muszę złamać ci serce, staruszk. Nie mogę. Miło nam się gada i przeszliśmy razem to i owo, ale nie jesteś moim klientem, a Hullar tak, dla twojej córki. Nie mogę ci nic powiedzieć, jeśli oni się nie zgodzą. Powiem tylko, że jest zdrowa. Nie jest wielką damą, ale też daleko od dna. Chcesz wiedzieć więcej, zobaczę, co na to powie Hullar.

- Zmieniłam zdanie - odezwała się Belinda. - Garrett, jesteś kawał sukinsyna.

- A gdybym pracował dla ciebie? Chciałabyś, żebym opowiadał o twoich sprawach bez pozwolenia?

Burknęła coś. Chrząknęła. Zrozumiała. Warczący Pies może być bardzo ciekaw nowin na temat swojej córki, ale czy ona także była gotowa, aby wpakował się w jej życie?

Należało najpierw spytać o zdanie samej Łonie.

Warczący Pies również doszedł do tego wniosku. Może nawet szybciej niż ja.

- Garrett, pogadaj z nią - zaproponował. - Spytaj, czy chce się ze mną spotkać. Jeśli ci się uda załatwić, żebym mógł się z nią zobaczyć, będę twoim niewolnikiem do końca życia. Dostaniesz wszystko, co zechcesz. Kochałem ją, i nie widziałem od czasu, kiedy była dzieckiem.

Belinda i Candy spojrzały na mnie, jakby oczekiwały, że z moich ust wytrysną perły mądrości, jakby jednym machnięciem zardzewiałego rycerskiego miecza można było pogodzić Warczącego Psa i jego dawno utraconą córkę. W powietrzu unosiły się smugi sentymentalnych uczuć. Jeśli mam poprawić swoją pozycję w oczach tych piękności, muszę się czym prędzej zająć tym spotkaniem.

Jestem cynikiem. Przyznaję. Muszę być taki, żeby zachować szansę na przetrwanie. Nie mam zamiaru tracić mojego cennego czasu na zaspokajanie sentymentów. Jestem twardzielem. Nie weźmiecie mnie na łzy i westchnienia.

Miałem nadzieję, że serce Amato nie pęknie, kiedy facet się dowie, co robi jego córka.

Cholera. A właściwie, co ona robi? Wiem czy nie? Tańczy dla Bishoffa Hullara. To nie czyni z niej dziwki. W każdym razie to nie mój interes.

- Przepraszam, nie chcę być niegrzeczny - oznajmiłem - ale naprawdę padam z nóg. Harowałem przez cały dzień. Jeśli wy, panie, chcecie tu siedzieć i pogadać z panem Amato, nie ma sprawy. Sprawdźcie tylko, czy drzwi frontowe są zamknięte, zanim pójdziecie spać. To znaczy, że jedna z was musi zaczekać, aż pan Amato i te błazny, które siedzą u Kupy Gnatów, wyjdą.

Truposz natychmiast udowodnił, że nawet w obliczu królewskiej krwi pozostawił dla mnie kącik w mózgowicy.

Nie musisz się tym przejmować, Garrett. Podejrzewam, że nie pozbędę się tego księcia, jeśli nie zrobię się tak nieprzyjemny, że złoży na mnie skargę. Sądzę, że Dean się obudzi na czas, aby wyprowadzić naszego ostatniego gościa. Idź, prześpij się trochę.

To wcale nie brzmiało dobrze. Nigdy nie jest dla mnie taki miły, jeśli czegoś nie kombinuje. Jeśli

chciał, żebym wypoczął, to znaczyło, że potem zaorze mną połowę TunFaire.

Poklepałem Amato po ramieniu.

- Pogadaj z dziewczynami. Spróbuję coś załatwić z twoją córką.

W dwie minuty później byłem w betach. Zgasilem lampę i straciłem przytomność, zanim jeszcze dotknąłem głową poduszki.

Truposz orał mną miasto przez kilka dni. Musiałem odwalić całe łazenie, jakie mieli o wiele wcześniej załatwić ludzie Blocka.

Szczerze mówiąc, zebrali oni wszystkie niezbędne zapisy w jednym pomieszczeniu w piwnicach Sądu. Nigdy jednak nie zdołali nic zrobić z dokumentami, a zatem musiałem siedzieć i czytać - kiedy miałem czas. Musiałem poprosić o pomocnika, żeby poradzić sobie ze starszymi dokumentami, zapisanymi w nieużywanym już alfabecie odellickim, a i tak nie dało się ich odczytać, ponieważ język bardzo się zmienił.

Harowałem przez całe dni, marnując wieczory w Połudwicy, a tymczasem Block polował na Winchella i usiłował uniknąć opinii publicznej. Poszła wieść, że to jego obarczono obowiązkiem powstrzymania morderstw. I jeszcze druga: że do tej pory nie miał wiele szczęścia. Skala i zasięg zamieszania przybrały nieproporcjonalne rozmiary. W powietrzu unosiły się pierwsze zwiastuny hysterii - co nie miało wiele sensu, zważywszy że ludzie byli mordowani codziennie - z klątwą czy bez.

Myślę, że błędem Blocka było ogłoszenie nagrody za Winchella, choć to Truposz podsunął mu ten pomysł. To zwróciło uwagę.

A uwaga sprawiła, że biedak nabawił się wrzodów żołądka. Jego kumpel Rupert nie był w stanie osłonić go przed wszystkimi pacanami wyższej rangi, którzy po prostu musieli mu wyjaśnić, jak najlepiej załatwić tę sprawę. Sam ksiązę zawinił, zapominając, że ścigają mordercę, który nie jest całkiem normalny.

- Powiedz mu to, Garrett - burknął Block. - On mnie w ogóle nie słucha.

- Rozczarowany?

- Jeszcze nie. Ale blisko. Wciąż jeszcze rozumiem, że facet ma własne problemy i dlatego nie może nam więcej pomóc, ale to się zaczyna robić trochę irytujące, kiedy nie słyszy tego, czego nie chce słyszeć.

Wzruszyłem ramionami. I tak nie wierzę w tego jego księcia.

Block zaczął go zaraz usprawiedliwiać.

- On ma swoich wrogów, Garrett Kupa ludzi uważa, że TunFaire jest świetne takie, jakie jest w tej chwili. Zwłaszcza ci, których fortuny ucierpią, jeśli wybuchnie nagle prawo i porządek.

- Coś pewnie wybuchnie, ale czy to będzie prawo i porządek, tego nie wiem. - Znaki były coraz wyraźniejsze. - Natknąłem się na kilka starszych pań, które zamierzają zdemolować wszystkie browary, winiarnie i gorzelnie.

- To już za wiele.

- Próbowałem im to powiedzieć. Mówiłem „Nie ma cywilizacji bez piwa. Piwo to krew w żyłach społeczeństwa”, ale nie chciały słuchać.

To go trochę rozbawiło.

- Fanatyczki. Co można zrobić? Mamy po pięćdziesiąt skarg dziennie na tych religijnych szaleńców, Mississan, czy jak się tam nazywają. - Jego uśmiech świadczył o tym, że sądził, iż to ja wymyśliłem te starsze panie. Niestety. Pracowały na schodach Sądu o kilka stopni wyżej niż Warczący Pies, wciśnięte w ką, którego nie chciał nikt inny. Nie martwiłem się nimi. Ich ideologia nie miała szans na realizację w żadnym normalnym społeczeństwie.

Często spotykałem się z Amato, ponieważ spędzałem całe dni w Sądzie. Nie był już tym samym Warczącem Psem. Dawny zapach ulotnił się jakoś. Postanowiłem go wypytać.

- Co się dzieje, stary? Coś nie tak?

- Boję się - nawet nie próbował się wykręcać.

- Boisz się? Ty? Warczący Pies Amato?

- Ja. Właśnie ja. Ludzie jeszcze nic nie zauważyli, ale to tylko kwestia czasu. Ty zauważyłeś. I co się wtedy ze mną stanie?

- Ale o co chodzi? Co się dzieje? - Może ktoś naprawdę zaczął go prześladować.

- Moja córka. Nagle stałem się łatwym celem. Dopóki nie wiedziałem o niej, nic nie było w stanie mnie przerazić.

- Jesteś bezpieczny. W tej chwili mało kto o niej wie. Nie jesteśmy rozmowni.- Wciągnąłem nosem powietrze. Co się dzieje? Aha! Amato nie był już ani w połowie tak aromatyczny jak niegdyś.

- Jasne, wiem. Wciąż sobie powtarzam, że ci, co wiedzą, są przyzwoitymi ludźmi. A potem zaczynam się jej bać.

Uniosłem brew.

- Zacząłem się kręcić po Połudwicy. Wymyśliłem sobie, że pewnie od czasu do czasu wychodzi z knajpy Hullara, inaczej skąd by wiedziała o tobie? No nie? - Każdy uważa, że jest detektywem. - No to kręciłem się i kręciłem, aż pokazali mi dziewczynę, na którą wołają Sas.

- I?

- Wyglądała w porządku.

- Przecież ci mówiłem. Ludzie o nią dbają.

- Teraz, kiedy o niej wiem, nie mógłbym się z nią nie spotkać twarzą w twarz. A tego się okropnie boję. Co można powiedzieć dzieciakowi, którego się nie widziało od czasu, kiedy był, o, taki?

Sas pewnie też by się przerażyła. Kiedyś przyjdzie na to czas. Jeszcze się nie dowiedziała, że on wie o jej istnieniu. Bez przerwy walczyłem ze sobą, czy powiedzieć Hullarowi, czy nie. Pewnie go to wkurzy, ale chyba lepiej mu powiem.

- Rozumiem, ale nie daj się nerwom. Może masz przed sobą wielką misję.

- Co?

- Powinieneś wyjść do ludzi. Pochodzić po tawernach i kafejkach.

Planowanie miejskiej rewolucji to nie hobby dla biedaka. Biedni ludzie są zbyt zajęci, żeby utrzymać w kupie dusze i ciała swojej rodziny.

Amato pokręcił głową.

- Nie będę tam pasował.

- Ależ będziesz. Kup sobie nowe ubranie. Poświęć trochę czasu na to, żeby się zorientować, co w tej chwili jest na fali.

- Jak? - Z jego tonu przebijała podejrzliwość. Wciąż mi nie ufał.

- Pojawiła się nowa idea. Jeszcze jej nie widać za dobrze, ale ma przed sobą przyszłość. Powinieneś się o niej dowiedzieć. - Pomyślałem sobie, że mógłby stanowić prawdziwą siłę, gdyby poruszył rzeczywiste lęki i problemy. Wielu ludzi o nim słyszało. Był ludowym bohaterem. I ludzie zaczną go słuchać, kiedy przestanie gadać tylko o sobie.

W tej chwili potrafi przecież opowiadać o wymagowanej przeszłości. Dlaczego nie miałyby wykorzystać swojej namiętności do opowieści o przyszłości, której nikt jeszcze nie wymyślił?

?Kapitan Block dorwał mnie w czasie rozmowy z Warczącem Psem. Wyglądał na Strażnika jeszcze mniej niż zwykle, choć był dobrze ubrany. Jego chłopcy też zamienili uniformy na cywilne

ubranie. Ubranie stało się deklaracją. Ci, którzy porzucili czerwień i błękit, brali swoją pracę na poważnie. Pozostali zostaną bez roboty, jeśli książę Rupert przejmie kontrolę nad miejską policją.

- Jak leci? - zapytał Block. Zignorował Amato. Warczący Pies udawał, że Block jest niewidzialny. Bardzo dobry układ.

- Mam pewien wątek. Coś w tym stylu. Jeszcze nie jest tak jasny, jak bym tego chciał. Nie na wiele się przyda. Dokumentacja mówi tylko „zrobiliśmy to i to, ta kobieta została zabita, potem tamta, złapaliśmy zabójcę, powiesiliśmy i zakopaliśmy tam, gdzie spadł”. Nic na temat opanowania kłątwy.

- Wtedy klątwa nie przenosiła się z mordercy na mordercę tak jak teraz. Nie miała szansy. Sądzę, że wtedy zainteresowani ludzie lepiej ją rozumieli. I nie była jeszcze tak skomplikowana jak teraz. Lokalni czarownicy też nie pozostawali bez przerwy poza miastem. Straż nie musiała odwälcać całej roboty.

- Zanim zakończyła się pierwsza runda morderstw, wszyscy wiedzieli, że mają do czynienia z przeklętym człowiekiem, który otworzył grób poprzedniego mordercy.

A my, równie błyskotliwi jak nasi przodkowie, również na to wpadliśmy. Hura!

- I nic z tym nie zrobili?

- Jasne, powiesili gościa i zakopali tam, gdzie, jak sądzili, nikt go nie znajdzie. Mylili się. Nie jestem ekspertem w sprawie czarów, ale założę się, że klątwa ma coś w rodzaju wbudowanego wezwania, które działa dotąd, aż ktoś ją usłyszy i uwolni. Cwańsza i bardziej parszywa niż kiedykolwiek wcześniej.

- A dziś nie potrafimy nic z tym zrobić, nawet gdybyśmy chcieli. - Block zamyślił się. - Nie mamy nikogo, kto mógłby ją zneutralizować. Wszystko przez tę wojnę.

Aha. Wszyscy naprawdę ostrzy czarnoksiężnicy siedzieli w Kan- tardzie.

- A co po pana stronie? - zapytałem. Nie wiadomo. On lub jego chłopcy mogliby wreszcie wpaść na Winchella.

- Ani śladu. Musimy zastawić pułapkę. Jest gotowa. Dziewczyna wraca dziś do pracy. Jutro opuszcza wieczór, po czym pracuje przez dwa kolejne. Druga czeka, gdyby się okazało, że Winchell wytrzyma przez jedną noc. Twój partner, Garrett, twierdzi, że dwa dni wcześniej się nie ruszy.

Nie uważałem, żeby Winchell był na tyle głupi, aby robić to, czego się od niego oczekuje.

Block ciągnął dalej:

- Jedyne osoby, które nie będą stanowiły członków grupy operacyjnej, będzie Hullar, karzeł i trzy dziewczyny, którym Hullar całkowicie ufa. Nie ma sposobu, żeby Winchell do niej dotarł. Jeśli w ogóle ma to zrobić, będzie musiał połknąć haczyk.

Gdyby było pewne, że chodzi mu tylko o Candy albo Belinę. Ale nie byłem w stu procentach przekonany, że Winchell nie poszuka sobie innej ofiary. Chyba że dziewczyna będzie miała równie zafajdane szczęście, jak ja.

Nie odezwałem się ani słowem. Truposz wymyślił plan. Wykombinował go z całym doświadczeniem w sztuce wojennej, jakie posiadał. Poczekamy i niech klątwa sama się objawi. Ale wspominałem już o oczywistym słabym punkcie tego planu.

- A co będzie, jeśli oleje naszą dziewczynę i wybierze sobie jakąś namiastkę?

- W chwili, gdy znajdziemy ciało, będziemy deptać mu po piętach. Spike zatrudnił najlepszych szurzych tropicieli w mieście. Są na zawołanie. A nawet kręcą się po mieście, na wypadek gdyby Winchell sam się gdzieś zaplątał.

Jeśli robisz to co możesz, i to nie wystarczy, chwytasz się wszystkiego. To trzeba Blockowi przyznać. Tym razem dał z siebie wszystko.

- Zidentyfikował pan odpowiedzialnego czarnoksiężnika? - zapytał.

- Tylko z pewnym prawdopodobieństwem. To trwa już od bardzo dawna. Dłużej, niż sądziliśmy.

Potrzebuję jeszcze przetłumaczyć parę rzeczy, zanim będę całkiem pewien.

- Cholerny świat. Powiedz coś, Garrett, choćby nie na pewno.

- Hej, spokojnie. Najstarsze zeznania, za pierwszym razem, kiedy pojawiły się morderstwa, wspominają niejakiego Drachira Nevetsa. Sprawdziłem to u historyka. Nigdy nie słyszał o Drachirze Nevetsie, ale był niejaki Łopata Drachir z Nevetska, prawdziwy, mroczny superczarodziej z dawnych czasów, który zawsze kręcił z pewnym czarnoksiężnikiem, niejakim Lubbockiem Candide. Mocną stroną pana Drachira okazało się tworzenie klątw tak skomplikowanych, że nikt nie był w stanie przed nimi uciec.

Block odchrząknął, pomyślał przez chwilę i zdziwił mnie, bo znał te nazwiska. Był lepiej wykształcony, niż mogłem sądzić.

- A dlaczego powstała akurat ta klątwa? Wiesz coś na ten temat, Garrett?

- Jeszcze więcej mrocznych sekretów. Candide miał córkę.

- Arachne.

- Właśnie. Ona też była niezłą francją. O ile tłumacz nie robi sobie jaj, Drachir i Candide zabiegali o jej wdzięki i założyli dynastię królów wiedźm. Arachne stwierdziła, że woli się ścisnąć z własnym tatusiem, co potężnie wkurzyło Drachira. I dlatego, jak mogę się domyślać, nałożył na nią klątwę.

- I było to na długo, bardzo długo przed pierwszymi morderstwami.

- Taaak. Sądzę, że nie była to pierwsza runda, a jedynie pierwsza, którą upamiętniono.

- A może Arachne już wcześniej odpędziła klątwę, pochowała ją i nic nikomu nie powiedziała?

- Może. - Facet potrafił myśleć, jeśli chciał. - Mogłoby się okazać pożyteczne, gdybyśmy znaleźli jakiś przyzwoity portret Drachira i Candide'ów. Zwłaszcza Arachne.

Block chrząknął znowu. Miał dziwnie zamglone spojrzenie.

- Chyba nie uda się tego załatwić tak łatwo, co?

- Raczej nie. - O, nieba, ileż ja mam do obgadania z Truposzem. A on nie był w miłym nastroju, ponieważ nowiny z Kantardu nosiły znamiona ciszy przed burzą.

- A jeśli już mówimy o sprawach, których nie da się prosto załatwić, nie czyniąc przy tym szumu, spojrzij no, pan, na gościa, który obserwuje nas z miejsca, gdzie te staruszki grzmiały na temat prohibicji.

Block spojrzał.

- Crask, facet od Chodo.

- Bingo. Poproszę cię o coś. - Warczący Pies przyszedł do pracy dość wcześnie, nie chcąc znaleźć się w pobliżu przedstawiciela władz. Nikt nie usłyszy.

- Ta druga dziewczyna u mnie, Belinda, naprawdę nazywa się Belinda Contague. Jest córką Chodo Cnotague'a. Ukrywa się u mnie, ponieważ Crask i Sadler chcą ją zabić.

- Co? Dlaczego?

- Ponieważ zrobili coś Chodo. Otruli go czy coś takiego. Widziałem go. - Co, do diabła?! Wszyscy przecież kłamią policji. - Jest rośliną. Udają tylko, że wydaje rozkazy. Belinda o tym wie, dlatego chcą się jej pozbyć.

- Zdaje się, że coś przegapiłem, Garrett,

- Belinda może ich załatwić. Muszą kryć tyłki albo stracą kontrolę. Wlałem w to, ponieważ chcieli mnie zatrudnić, żebym ją dla nich znalazł.

- Dziewczynę, która przypadkiem jest jednym z głównych celów naszego mordercy?

Dla mnie był to przez krótką chwilę pewien problem.

- Myślałem, że to jakiś cholernie skomplikowany zbieg okoliczności, dopóki się nie zorientowałem, że patrzę na to z niewłaściwego końca. Z końca, gdzie my jesteśmy, szukając Winchella. Niech pan popatrzy na to w inny sposób. Sprawa pomiędzy Belindą i Craskiem ciągnie się od wielu miesięcy. Zabójca dziewczyn to coś, w co wdepnęła całkiem przypadkowo, zdążając w całkiem inną stronę. Nie zostałyaby w to w ogóle wplątana, gdyby nie musiała uciekać z domu. A ja wszedłem w to przypadkiem właśnie w tym momencie, a nie w innym. To znaczy wcześniej niż później. Gracze postanowili, że wezmę udział w ich grze. Block spojrział na mnie niepewnie.

- Dlaczego mi pan o tym mówi. Nie jest zdrowo wiedzieć zbyt wiele na temat spraw Chodo.

- Dlatego że jest tam na górze jeden wielki i bardzo paskudny pan, który patrzy na mnie złym wzrokiem. Jest nieszczęśliwy, ponieważ nie ścieram sobie nóg po zadek w poszukiwaniu Belindy, zamiast pieprzyć się z jakimś banalnym seryjnym mordercą. O ile pamiętam, podobno mogę powołać się na Straż, jeśli będę potrzebował pomocy. Że nie wspomnę o tym, jakiego kopa w górę mógłby pan dostać, gdyby dał w łeb takiemu złoczyńcy jak Crask, wiedząc, że Chodo tak naprawdę nie stoi już za nim.

- Powiem ci prawdę, Garrett, Uważam, że sprzątniecie Craska z ulicy to świetny pomysł - warknął wściekle, a mnie w głowie rozdzwoniły się alarmy. Co ja zrobiłem? - Ale nie jestem pewien, że to naprawdę zdrowy pomysł. Co on robi?

- Patrzy na mnie oczami jak sztylety. Pewnie marzy, jak to fajnie by było zaciągnąć mnie gdzieś, gdzie mógłby mi zapewnić darmową opiekę dentystyczną.

- Za co?

- Za dziewczynę. Nie wie, że ona u mnie mieszka. Nie widział, żebym choć kiwnął palcem w jej poszukiwaniu. Mimo, że powiedziano mi bardzo wyraźnie, iż leżałoby to w moim najlepszym interesie.

- Jest pan pewien, że Chodo w tym nie siedzi?

- Absolutnie.

- No to może sobie poigram z Craskiem. Ale proszę nie spodziewać się za wiele. Ci ludzie zawsze mają wysoko postawionych przyjaciół.

- Jak ja to dobrze znam - mruknąłem.

Block mrugnął.

- Miłego dnia - rzucił i odszedł powoli, zadumany, pozostawiając mnie całkowicie na lodzie.

Zauważyłem, że w tłumie jest kilku jego kumpli. Większość rekrutowała się spośród pomocników Straży. Chyba zaczęła mu się podobać rola uczciwego Strażnika. Zacząłem się zastanawiać, czy odrzuca wszystkie łapówki, czy tylko te najbardziej kłopotliwe.

Miałem nadzieję, że Nowy Porządek nie uderzy mu do głowy. Naprawdę, coś takiego jak zbyt silne prawo i porządek może istnieć - choć nie sądzę, żeby TunFaire kiedykolwiek mogło się uskarżać na tę przypadłość.

Wykonałem lekki gest pożegnany w stronę Warczącego Psa. Był w transie, nie miał czasu nawet odłożyć mosiężnego megafonu. Pokazał mi swój ostatni raport Złapałem go i odszedłem, by poczekać gdzieś na Craska.

?Crask był bardzo ze mnie niezadowolony.

- Co z ciebie za zboczeniec, Garrett, że włączysz się z takimi gównami jak Block?

- Nie jest taki zły. Jesteśmy starymi kumplami. Nie wiedziałeś? I do tego mamy pewne wspólne interesy. Nowe porządki i tak dalej. - Nie potrafiłem się dać ponieść jak Relway. - Masz jakiś problem?

- Tak, mam problem z tobą. Zostałeś zatrudniony w konkretnym celu. Nie robisz tego co należy.

- Mylisz się. Pomimo tego, że wmusiliście we mnie forsę, nie zgodziłem się na nic. Nie powiem, że po prostu odmawiam roboty, ale mam parę spraw do załatwienia, zanim się nią zajmę. Więc spływaj.

- Nie. Chodo cię wynajął, więc robisz to, co ci każe. To twoja jedyna robota.

- Au, kurczę. Znowu to samo. Jak długo mnie znasz, Crask? Chyba dość długo, co? Wiesz, że choćbyś zrobił nie wiem jak paskudną gębę, choćbyś nie wiem jak napinał mięśnie, zrobię i tak po swojemu. Powiedziałem ci, że mam coś do zrobienia. Masz czekać w kolejce tak, jakbyś był normalnym człowiekiem.

- Wkurzasz mnie, Garrett.

- Ups. - Właśnie o to chodziło. - Taki mam już wpływ na ludzi. Zwłaszcza na takich, którzy przekraczają pewne granice lub zdaje im się, że zasługują na specjalne traktowanie. - Jeśli zaczniesz coś kombinować, chciałem, żeby to było w miejscu publicznym.

- Popatrz no tu. Popatrz uważnie. Chcę, żebyś widział, jak straszliwie cierpię, że sprawiam ci kłopoty.

- Przyszedłem tutaj wyłącznie po to, żeby cię ostrzec, Garrett. Potrzebowałem tylko minutki, żeby ci pokazać błąd w twoim toku myślenia, że tak powiem. Teraz jednak sądzę, że musimy poważnie porozmawiać, najlepiej na osobności.

- Nie jesteś ani w połowie taki śliski, jak ci się zdaje, Crask.

- powiedział Block, który nagle pojawił się znikąd. - Może sobie usiądziemy na schodkach, jak starzy kumple?

- Spadaj, dupku - warknął Crask. - Nie twój interes, o czym tu rozmawiamy.

- Możliwe, że masz rację. Ale może ja po prostu nie jestem zainteresowany. - Block cofnął się o kilka kroków, oparł o kamienną ścianę ciągnącą się wzdłuż schodów do Sądu. Machnął ręką. Z tłumu wyszedł jakiś mężczyzna. Nawet ja byłem zaskoczony. Wydawało się, że pojawił się znikąd. Block rzekł:

- No i co, Blinky?

- Zdjęliśmy powóz. Zaaresztowaliśmy trzech ludzi.

- Świetnie. Co powiesz na ten temat?

Crask nie patrzył na Blocka. Wykrzywił się, patrząc w moją stronę.

- Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? Garrett ?

- Wie pan tyle samo, co ja. Block uśmiechnął się lekko.

- Chyba się staczasz.

- Gówno. Co ty kombinujesz?

- Czasy się zmieniają, Crask - zauważył Block. - Czekałem, żeby tak się stało.

Spojrzał na mnie z jadowitym uśmiechem.

- Ja i Crask znamy się doskonale. Ta sama okolica. Ten sam oddział w Kantardzie. Mamy wiele wspólnych wspomnień.

Crask poruszył się niespokojnie. Napięcie w głosie Blocka

świadczyło, że tu w grę wchodzi stare interesy. Zdaje się, że czasy naprawdę zaczęły się zmieniać.

- Zadrzyj ze mną, Block, a poczujesz się tak, jakby urwała się nad tobą lawina gówna.

- Wątpię. Tak jak mówiłem, czasy się zmieniają. Zaczyna ci brakować przyjaciół. Czekałem. Kiedy doszedłem do rangi kapitana, przygotowałem w Al- Khar specjalną celę. Szukałem pretekstu, żeby cię tam wsadzić, w nadziei że nie każesz mi w tym celu połamać ci wszystkich kości. Nie wiem,

dłaczego tak się dzieje, ale prawie każdy więzień, który był w pierwszej pięćdziesiątce na liście Straży, w końcu popełnił samobójstwo. Może tam jest trochę niewygodnie? - Mrugnął do mnie. - Dzięki, Garrett. Prawie zapomniałem, ile zawdzięczam temu kutasowi.

W tej samej chwili Crask przybrał jedną ze swych najgroźniejszych min.

- Chcesz zdechnąć, Garrett? Nie drażnij mnie tak, a może nic ci się nie stanie.

- A co mam do stracenia? I tak chciałeś wykończyć mnie i tę małą od Chodo, jak tylko ją znajdę.

- Daj spokój, Garrett!

- Myślisz, że jestem słaby. Może tak, według twoich norm. Ale naprawdę sądzisz, że jestem głupi?

Crask był gotów, by zacząć obdzierać ludzi żywcem ze skóry. Jeśli chciałem go doprowadzić do szału, to mój plan się powiódł. Tylko...

Jeden z ludzi Blocka podszedł od tyłu i stuknął Craska w potylicę pałą, która musiała być dużą kuzynką mojej łamigłówni. Crask nie padł za pierwszym razem. Facet od pały wytrzeszczył oczy i przez chwilę ze zdumieniem gapił się na swoje narzędzie. A potem, zanim Crask oprzytomniał, walnął go jeszcze z tuzin razy z oszalamiającą szybkością, osiągając wreszcie pożądaną skuteczną.

Tłum na schodach rozstał się. Zabawne. Jakoś nikt nie pomyślał o tym, żeby wezwać Straż.

- I co o tym sądzisz, Garrett? - zapytał Block. - Odstawić go na boczek? Żeby Sadler trochę pogłównkował, co się z nim mogło stać?

- Nie boi się pan tego, co mogą panu zrobić?

- Już nie. - Block uśmiechnął się. W tej chwili pojawił się Relway. Choć nie miałem ku temu powodów, obawiałem się, że Relway może się okazać najgroźniejszym stworzeniem w Straży Nowego Porządku. - Zamkniemy go na parę dni. Tak, żeby wiedział, czego mózg się spodziewać.

Dopiero wtedy przedstawienie odsunęło się ode mnie.

Martwiłem się o Blocka. Może mieć teraz cholerne kłopoty. Być może i ma przygotowaną celę dla Craska, ale jakoś nie widzę, żeby Crask zechciał w niej pozostać, niezależnie od planów księcia Ruperta. Kacyk miał przyjaciół dosłownie wszędzie. Kiedy Sadler się dowie o kłopotach Craska, puści w ruch naprawdę ciężkie koła...

Garret 06 Czerwone Żelazne Noce

Ale...

Obserwowałem Relwaya.

Block tworzył swoją własną tajną policję. Szybko. I pewnie w najlepszych intencjach, ale jeśli wywinie jeszcze parę takich numerów, jak ten z Craskiem, okaże się, że jedzie na oklep na tygrysie.

?Opowiedziałem o wszystkim Truposzowi. Nie był zadowolony.

- A myślisz, że ja jestem, Chichotku?

Kapitan Block stał się zbyt pewny siebie. Ten wyczyn był przedwczesny. Jego organizacja, choć wielka, nie powinna wyzywać syndykatu, nawet w okresie przejściowym. Nie sądzę, żeby ci ludzie pozostali mu lojalni w przypadku kryzysu. Korupcja ma swój własny rozpęd historyczny.

- Rozpęd historyczny? - Co za wyrażen zaczął nagle używać? No cóż, najwyższy czas na potężny, sentencjonalny cios.

Jeśli chodzi o pana Amato, to doskonale rozumiem, dlaczego się waha. Następnym razem zaproponuj mu, żeby się zatrzymał i wstąpił.

Cóż za udomowiony, poczciwy staruszek z tego mojego partnera. Wydałem z siebie ordynarny dźwięk. Spędziłem trzy dni na przekopywaniu się poprzez stulecia, a jego to guzik obchodzi.

Może sobie ignorować ile chce.

W sprawie czarnoksiężników Candide i Drachira wydaje mi się, że powinniśmy skontaktować się z odpowiednimi ekspertami.

- Już się z nimi skontaktowałem, Śmieszku.

Lingwiści i generaliści. Oba nazwiska budzą we mnie pewne mgliste wspomnienia, ale żadnych wyraźnych skojarzeń. Obawiam się, że jeszcze wtedy nie było mnie na świecie. Uważam, że Block powinien był zachować swoją specjalną celę dla naszego specjalnego złoczyńcy.

Zachowywał się jak mamut w składzie porcelany. - Prawdopodobnie. Żeby utrzymać nosiciela klątwy, potrzebna będzie solidna cela.

Dopóki nie znajdziemy czarnoksiężnika odpowiedniego do tego celu.

I nagle Truposz zawstydził się. Byłem zaskoczony tym tenorkiem, drżącym pod maską pewności siebie, ponieważ nie mogłem sobie jakoś wyobrazić sytuacji, że miałby coś do ukrycia przed swoim partnerem.

W sprawie panny Altmontigo... chwila ciszy, jakby właśnie starał się mi wstawić tak potężną banialukę, że nawet dureń by w nią nie uwierzył... Odwiedził mnie jej ojczym... Mieliśmy bardzo burzliwą dyskusję.

- Domyślam się. - Wiecie, jacy potrafią być ojcowie.

- Czy to znaczy, że ktoś, kto się uważa za mojego partnera, przewyższył w uporze kogoś, kto kręci się po tej ziemi dopiero od siedemdziesięciu lat i widzi upływ czasu?

To znaczy, że bezlitosne bombardowanie go faktami sprawiło, że musiał przyjąć pozycję współpracy.

- Dorwałeś go, posługując się nazwiskiem księcia. - Nie tak trudno go rozgryźć.

W istocie głównym punktem, który przeważył skalę, był fakt, że zauważyłem, iż zasadniczo nie ma on żadnych legalnych praw do osoby panny Altmontigo, a jedynie do jej majątku.

Zmarszczyłem brwi. Za każdym razem, kiedy mówił o „pannie Altmontigo”, jakby się zacinał. Ale zrozumiałem jego punkt widzenia.

Z niewiadomych dla mnie przyczyn prawo własnościowe Karenty przyjmuje, że bogowie nie

obdarzyli kobiet nawet taką porcją rozumu, jaką może pochwalić się gęś. Prawo daje mężom i ojcom moc weta w przypadku każdej ceduły - nawet jeśli poza tym nie mają żadnego prawa ani do pieniędzy, ani do majątku.

Podejrzewam, że miało to zabezpieczyć głupie dziewczyny przed przekazaniem wszystkiego kultom i/lub wydrwigroszom. Tylko wdowa ma prawo składać zobowiązania w swym własnym imieniu. Zdaje się, że rozsądek wyciera się w łóżku.

Zasugerowałem, że mogłaby go załatwić w sprawie majątku, którego ma sporo, ponieważ odziedziczyła go po babce ze strony matki, podobno wielkiej feministce. Jej ojczym zarządza nim i ciągnie z tego niezły profit.

Aha. Właśnie mnie oświecił. Kobieta, jeśli jest pełnoletnia, może wyjść za mąż bez zezwolenia. Może wyjść za umierającego (lub zmarłego) mężczyznę, który nie posiada innych spadkobierców, i szybko stać się wdową. Nieczęsto się to zdarza, ale jeśli już tak się stanie, a stawką jest duża fortuna, sprawa staje się publiczną rozrywką. Świadkowie sprzedają zeznania temu, kto da więcej. Prawnicy - sami się domyślcie. Wszystko, co nie jest przybite gwoździami, oraz to, co jest, jeśli da się podważyć łomem.

- Jesteś w domu. - Belinda wzniosła oczy w górę. - Ta kobieta pracuje u Hullara, ale chyba nic nie wie o świecie.

Zdziwiony, zmarszczyłem brwi, patrząc na Truposza. Młodzieńcza rywalizacja kobiet. Zignoruj ją. Może to rozsądna rada? Choć bezstronność może być bardzo niebezpieczna, jeśli moje panie się naprawdę wkurzą.

- Poczyniliśmy dziś jakieś postępy? - zapytała. Opowiedziałem jej o dzisiejszym dniu. Truposz nie narzekał, że musi tego wysłuchać jeszcze raz. Czy mój raport o Drachirze był aż tak intrygujący?

Belinda zainteresowała się dopiero wzmianką o Crasku. Dwa razy musiałem spytać, o co chodzi, zanim wreszcie usłyszałem wyjaśnienie zmieszania Truposza.

- Był tu ten twój przyjaciel. Ten duży.

- Saucerhead?

- Tak. Przyniósł wieści z Kantardu. Nie wydaje mi się, żeby były mile. Przepraszam. - Belinda nie przepadała za sprawami wojskowymi.

- Złe wieści, Śmieszku? - zapytałem. - Coś, czego nie chciałeś słyszeć?

Twoi Marines odbili Fuli Harbor.

- Powiedziałem, ci, że to będzie całkiem inna historia. - Poczulem nagły przyływ dumy. Oni naprawdę potrafią cię wciągnąć.

To jeszcze nie jest najgorsze. Karenta ruszyła do generalnej ofensywy związanej na sznurówkę i modlitwę. Z pomocą morCartha siły karentyńskie atakują Venagetich i Republikanów.

- Zdaje się, że karentyńskie mamy dostaną dużo listów z kon- dolencjami.

Jeszcze więcej dostaną matki Venagetich i Republikanów. MorCartha zdają się służyć nie tylko lojalnie, ale i skutecznie. Jeśli tak będzie dalej, storpedują znakomity wywiad Glory'ego Mooncalleda, bezlitośnie atakując jego zwiadowców. Przyjęły na siebie wszystkie role tradycyjnej kawalerii, to znaczy najazdy, obronę i oblężenie. I robią to wszystko z powietrza, gdzie ani Mooncalled, ani Venageti nie mogą ich dosięgnąć. Już wydarły przewagę powietrzną z rąk latających sprzymierzeńców Mooncalleda.

- No i co?

Nie bądź tępy. To może znaczyć, że wojna prawie dobiega końca. Karenta zwycięża. Jeśli morCartha pozostaną na posterunku. Zwycięstwo może przerodzić się w klęskę. Nasi co mądrzejsi przywódcy chyba stwierdzili to już dość dawno temu. Może dlatego wojna tak się wlecze. Kiedy

koszty zwycięstwa przekraczają koszt dalszej walki...

- Co? - Nie byłem chyba w najlepszej kondycji umysłowej. Okazjonalnie wspominałeś o tym, co się może stać, jeśli wszyscy żołnierze wrócą do domu.

- Och. Rzeczywiście. - Po całych pokoleniach wojaczki gospodarka zaczęła zależeć od dalszego konfliktu. Całe sektory są zarządzane przez nie- ludzi. Pokój przyniesie wielkie przemieszczenia, napięcia społeczne, może nawet walki. - Powiedzmy, że będzie to wojna przegrana poprzez zwycięstwo.

Właśnie.

- Zrobiliśmy coś, żeby się zabezpieczyć?

Jesteśmy apolityczni. Nasze usługi zawsze będą potrzebne. Nawet bogowie daremnie spiskują przeciw losowi. Weszła Belinda.

- Dużo myślałam, Garrett. Powinnam spotkać się z kapitanem Blockiem.

Plan godny twojego ojca, panno Contague. Ale czas jest niewłaściwy. Nie sędzę, abym mógł powtarzać to z większym naciskiem. Nie jest to właściwa chwila, aby wyzywać panów Craska i Sadlera. Ich strona bilansu ma same plusy. A twoich kilku dobrych przyjaciół zaangażowało się w walkę z wędrowną kłatwą. Pomimo to pozwól, że zasugeruję ci kilka kroków, które możesz podjąć, kiedy przyjdzie na to czas.

Jęknąłem. Kiedy on mówi o krokach, z reguły to ja je wykonuję.

Zaczęli rozmawiać, a ja czekałem na boku. Belinda wyszła w podskokach, obdarowując mnie mocnym i obiecującym pocałunkiem dziękczynnym.

- Co ona planuje?

Jej plan przewidywał przetransportowanie mnie do domu pana Dotesa...

- Co takiego? Ta kobieta oszalała! - Nie mogę go przesunąć, żeby pod nim pozamiatać, a co dopiero wypchnąć go z domu.

Jej plan był bardzo elegancki na swój złośliwy sposób, przekazał mi dość żałośnie. Przeanalizujemy jego szczegóły w wolnym czasie, jaki będziemy mieć przez kilka następnych dni. I będzie to wymagało odwiedzin wielu ludzi z zewnątrz. Poinformuj Deana.

Jasne. A Dean zwali potem wszystko na mnie, nawet kiedy będzie oczywiste, że wszystko to należało do planu tego wesołka Truposza.

?I tak to szło. Byliśmy po uszy zakopani w próbach zakończenia najpaskudniejszej sprawy seryjnych morderstw w TunFaire, w tłumie Strażników i informatorów. Truposz usiłował wykombinować coś, żeby zdjąć Belindzie z karku Craska i Sadlera, Ja musiałem rznąć kuriera. Bardzo burkliwego kuriera. Jeśli Block akurat nie miał dla mnie nic lepszego do roboty.

Muszę przyznać jednak, że wdzięczność panny Belindy Contague przekraczała wszelkie granice wyobraźni i, co tu dużo mówić, wytrzymałości.

Mieliśmy w domu tylu łotrów, że straciłem rachubę. W większości przypadków nie byli to zwykli uliczni zbóje, lecz urzędnicy magistratów i wojskowi, i przedsiębiorcy i - proszę, proszę - nawet oficerowie Straży. Ludzie, których wady wzroku uczyniły Chodo tak potężnym, a ich bogatszymi, niż być powinni. Wszyscy znali Belindę. Jej przyjęcia urodzinowe były corocznym pretekstem Chodo, aby zebrać ich wszystkich do kupy.

Przyszli. Belinda opowiedziała o Crasku i Sadlerze i swoim ojcu, a Truposz grzebał w ich głowach. Ci, którzy chcieli opowiedzieć się przeciwko Belindzie, wychodzili z takim zamieszaniem w głowach, że zapominali, że w ogóle ją widzieli.

Saucerhead, Morley i człowiek Morleya, Kałuża, kręcili się wokół, żeby ubezpieczać całą imprezę.

Truposz był pewien, że Winchell nie zainteresuje się Candy jeszcze raz, nawet gdybyśmy wyrzucili ją nagą na ulicę i dali mu wielkie fory. Belinda zaoferowała się, że to ona zawiśnie na haczyku.

Nadeszła noc. Tym razem byłem zdecydowany pozostać na miejscu, aż będzie po wszystkim. Block i jego wspaniali chłopcy nie mają szansy znowu spieprzyć.

Chciałem wyjść. Narobiłem się już za trzy inne sprawy. Jedyne jasnym punktem tej historii było to, że do tej pory nie dostałem po ryju, co mi się ostatnio dość często zdarzało.

Lokal Hullara był nadziany specjalnie wybranymi Strażnikami. Większość stanowili pomocnicy. Reszta rozsiana była po całej okolicy. Polędwica aż się ruszała od przedstawicieli prawa. Obstawa z zewnątrz wchodziła i wychodziła, kupując piwo. Ci wewnątrz kupowali jeszcze więcej.

Hullar oparł się o bar.

- Ten dupek z nożem uczyni mnie bogaczem - mruknął. - Tyle tego spijacie. Naprawdę chcecie go złapać?

- Możemy pozwolić mu, żeby załatwił swoje sprawy na samym środku parkietu, jeśli chcesz. Będziesz miał kupę gości- ścierwojadów.

- Aleś delikatny.

- Nic na to nie poradzę.

Godzina była późna. Napięcie wzrastało. Chłopcy robili, co mogli, żeby wyglądać na zwykłe moczymordy. Powinienem być powiedzieć im, żeby się tak nie przejmowali rolą. Wyglądają bardzo zwyczajnie i moczymordę każdy ma w życiorysie.

- Nie powinno nas tu być, Garrett,

Hullar miał rację. Winchell mógłby mnie rozpoznać. Może tym razem to Strażnicy mnie wkurzali, zamiast na odwrót.

Belinda weszła na zaplecze, gdzie Hullar, Crunch i ja zabijaliśmy czas piciem. Potrzebowała wspacia duchowego.

Crunch też. Był bardzo zdenerwowany. Relway wygonił go z baru.

- Potrafię poradzić sobie z każdym gnojkiem, który zaczepia dziewczyny, Hullar. Nie było potrzeby, żeby mi zabierać robotę.

- Jestem pewien, że tak, Crunch, ale to nie ja wydaję rozkazy. Crunch obejrzał się na mnie.

- Mówimy o psycholu- mordercy, Crunch. Totalny świr. Nie znasz go. Facet za barem wie, z kum ma do czynienia. - Miałem nadzieję, że przebranie Relwaya wytrzyma próbę prawdy. - Gdybyś to ty tam był, mógłby podejść i poderżnąć ci gardło, zanim się zorientujesz, że to on. Tu chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo.

Przerabialiśmy to już wcześniej parę razy i miałem dość. Cmoknąłem Belindę w policzek i mocno uściśnałem jej dłoń.

- Czas na ciebie. Idź już. Złam nogę, i te rzeczy.

- Przecież już chyba powinien być dać o sobie znać, Garrett. Obawiałem się, że ma rację. Ktoś powinien być już sprawdzić, czy jest na miejscu, może próbować ją poderwać. Też się zacząłem martwić.

W godzinę później ogólny konsensus sięgnął ulicy. Coś poszło nie tak. Nasza rybka nie złapała haczyka. Gdzieś właśnie umierała kobieta, ponieważ...

Ale nikt nie przestał odgrywać swojej roli.

Stałem w cieniu, obserwując parkiet, kiedy wszedł Sadler. Wyglądał na wcielonego demona zła. Wrażenie to spotęgowało się, kiedy ujrzał Belindę.

Tańczyła ze Strażnikiem przebranym za żeglarza. Zauważyła Sadlera. W jej oczach na chwilę

zapłonął ogień. Zaledwie zbir minął pewien punkt, wszyscy wokół ruszyli w jego stronę. Wtedy zdał sobie sprawę, że w coś wdepnął. Poleciały kłaki. Stał cięża powietrze. Wyszedłem, żeby przypomnieć chłopcom, że dzisiaj nie zabijamy ludzi.

I wtedy do lokalu wkroczył Warczący Pies Amato.

No i macie. Zapowiadało się na solidną walkę, gdzie każdy powoli wkraczał na swoje miejsce i każdy miał swoją rolę do odegrania, włącznie z dziewczynami od Hullara, które kręciły się dookoła i robiły hałas. Mieliśmy ze dwudziestu ludzi od krzyków i wrzasków. Ciała latały we wszystkie strony. I w to wkracza nagle Warczący Pies Amato i szuka swojej córki. Zamiast niej spostrzegł mnie,

- Hej, Garrett! Ale mam szczęście.

Nad jego głową przeleciał Strażnik, rzucony przez Sadlera, który dziś był w naprawdę parszywym humorze. Próbowałem dotrzeć do Warczącego Psa, żeby go przepchnąć gdzieś, gdzie nie byłoby tak gorąco.

- Gdzie moja dziewczynka, Garrett? - zapytał. - Przychodziłem tu i przychodziłem, aż wreszcie nabrałem odwagi, żeby z nią pogadać. A kiedy już pogadałem, okazało się, że to wcale nie moje maleństwo. Nazywa się Sasna Progel i o Łonie Amato wie tylko tyle, że słyszała, jak Hullar i jego goryl karzeł wymawiają jej imię.

Obok nas przeleciał kolejny Strażnik.

- Co ty próbujesz wykręcić?

- Jesteśmy teraz w środku akcji. Mógłbyś może przejść tam i zaczekać, aż skończymy?

Sadler ryknął moje imię, jakby stwierdził, że to ja znajduję się u podstaw wszelkiego zła, które kiedykolwiek cierpiał. Rzucił się na mnie.

- Uważaj lepiej, Garrett- stwierdził Amato, usuwając się w kąt - Ten gość nie wygląda przyjaźnie.

Nie wyglądał, oj nie. Przegalopował po Strażnikach. Na jednym się potknął. Przyłożyłem mu w skroń prawym sierpowym, który powalił go na kolana, ale nie wyłączył z gry. Rzucałem w niego wszystkim, co popadło, kiedy wstawał. I tak wstał.

Posiniaczyłem sobie kostki lewej ręki. Sadler oddał mi z nawiązką. Poleciałem z wizytą do Warczącego Psa. Sadler ruszył za mną, ignorując wszystkich innych napastników, choć dawali mu niezły wycisk. Wyglądało na to, że uczynił mnie osobiście odpowiedzialnym za swoje cierpienia. Pochylił się, żeby mnie podnieść.

Warczący Pies przyłożył mu na odlew. Skutek był taki, jakby pszczoła ukąsiła słonia, i to nie trafiając w odpowiedni punkt. Warczący Pies nie trafił, ale zirytował Sadlera na tyle, że ten postanowił mu oddać bodaj raz.

Bishoff Hullar, siłacz, walnął Sadlera w tym momencie czymś, co wyglądało jak pięść, ale nie mogło nią być, bo Sadler poskładał się natychmiast. Hullar chuchnął na kostki.

- Mieliśmy pilnować dziewczyny, a nie urządzać sobie imprezy, Garrett - skarcił mnie.

Pokazał palcem.

- Niech mnie jasny piorun...

Winchell jednak zdecydował się wpaść. Szedł właśnie w stronę podestu dla orkiestry. W ogólnym rozgardiaszu nikt go nie zauważył.

- Hej, teraz dopiero zacznie się impreza.

Belinda spojrzała na niego niepewnie, zastanawiając się, czy to jego właśnie powinna się bać.

W lokalu nagle zapadła cisza.

Winchell ruszył biegiem.

Wrzasnąłem.

Wszyscy się dołączyli.

Była to powtórka z bitwy o Sadlera, ale Winchell był twardszy. Klątwa uczyniła z niego supermana. Dopadł Belindy, przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył w stronę drzwi. Kiedy próbowałem mu wyperswadować ten pomysł, umieścił mnie na tylnej stronie mojej osoby pod stołem. Nikt nie zdołał go spowolnić, dopóki Crunch nie zdecydował, że czas już wziąć sprawy w swoje ręce. Wydobył spod baru antałek i grzecznie cisnął nim przez całą salę, na spotkanie zdumionej gęby Winchella. Antałek był pełny. Nieźle, jak na tę starą kupę kłaków.

Winchell nie zdążył otworzyć oczu, kiedy chłopcy z ulicy przyszli i dokończyli dzieła. Związali go, zakneblowali i na tym się skończyła cała impreza. Teraz wydawał się mały i stary, jakby klątwa zaczęła go zmieniać w tego samego zielonookiego pokurcza, którego widziałem u Morleya.

Belinda zawisła na mnie.

Ponad jej ramieniem widziałem, jak Warczący Pies trzyma za frakHullara.

Minęło jeszcze parę chwil, nim wszystko się uspokoiło. Pojawił się Block. Okrążył Winchella z dumną miną.

- Jeszcze raz go pan wypuści - ostrzegłem - osobiście zajmę się tym, żeby pan wylądował w rzece z pamiątkowym kamieniem przywiązany do dużego palca u nogi.

- Relway, wsadź go do wora i zamknij. I nie pozwól, żeby mu wypadł knebel. - Winchell już i tak wyglądał strasznie z błyszczącymi na zielono oczami.

Roześmiany i wyszczerzony Block pieprzył dalej swoje: - Tym razem nie popełnimy żadnych błędów, Garrett. Tu spoczywa nasza przyszłość. Będziemy ostrożni. Wsadzimy go do tej samej celi, w której zmiękczyłem Craska. Księżę Rupert pośle po czarownika, kiedy tylko się dowie, że go mamy.

Burknąłem coś, dając mu do zrozumienia, że raczej nie do końca ufam kompetencji pewnego księcia i jego Straży.

- Ma pan jakieś błyskotliwe pomysły?

- Tak, szczególnie jeden. - Jaki?

- Idę spać. Chcesz jeszcze czegoś, Block, zawracaj czachę Tru- poszowi. Jutro.

- Jutro po południu - dodała Belinda. - Garrett też musi trochę pospać.

- He? - Detektywi mają umysły jak stalowe pułapki. - Co to znaczy: „też”?

Puściła do mnie oko.

- Może ci pozwolę się zdrzemnąć. Jeśli będziesz grzecznym chłopcem.

- Och. - Block pojął szybciej ode mnie. Zostałem odpowiednio skarcony.

Tymczasem Warczący Pies rozdarł się na dobre. Hullar i Crunch, zmieszani, wyraźnie zbierali się do ucieczki.

?Zostałem jeszcze bardziej skarcony przez niezłomne wysiłki losu, aby zachować mnie w cnotcie.

Winchell miał pewne podejrzenia, że idzie wprost w pułapkę. Klątwa zmusiła go do pójścia, ale pozwoliła mu na pewną swobodę w przygotowaniach. Była dość sprytna, żeby pozwolić swemu wierzchowcowi na inicjatywę, kiedy to było potrzebne.

Wszedłem w ulice Macunado z dzikimi nocnymi harcami w głowie - i stwierdziłem, że drzwi frontowe do mojego mieszkania zostały roztrzaskane. Dean leżał w korytarzu, półżywy, z przybłądą zwiniętym w kulkę, w zgięciu czegoś, co wyglądało na złamane ramię, i miauczącym jak opętany.

- Ja się zajmę Deanem - zaproponowała Belinda. - Ty zobacz, co się dzieje.

Otworzyłem się cały, ale nie wyczułem ani śladu Truposza. To mnie trochę przeraziło. Bandyci

zdołali go porwać tylko jeden raz - a i to tylko o kilka stóp. Truposz zamieniał niedoszłych intruzów w żywe posągi - z reguły jeszcze wtedy, kiedy znajdowali się na ulicy. Tutaj nie było żadnych dowodów na to, że robił cokolwiek. Napastnik (lub napastnicy) wprost od drzwi ruszyli na schody.

Czyżby Truposz wreszcie uczynił ostatni długi krok na drugi brzeg? Nie wyczuwałem w ogóle jego obecności.

- Ruszaj! - warknęła Belinda.

- Uważaj na siebie. - Skradałem się ostrożnie, z duszą na ramieniu. Nie wstydzę się przyznać, jak bardzo się bałem. Miałem takie samo uczucie, jak podczas najgorszych wypadów, kiedy byłem jeszcze jednym z młodych i dzielnych Marines Karenty. Posuwając się wzdłuż ściany, dotarłem wreszcie do drzwi Truposza i uchyliłem je ostrożnie.

Wpadłem do środka jak bomba, gotów na wszystko.

Nikogo - jeśli nie Uczyć mojego partnera.

Wyglądał jak zawsze, a jednak wyczuwało się różnicę. Wyczułem napięcie, jakiego do tej pory nie znałem. Wiedziałem, że nie śpi i jest bezpieczny, ale zbyt skoncentrowany, żeby pozwolić sobie na bodaj jedną swobodną myśl.

Co oznaczało, że kłopoty wciąż jeszcze były w domu. I to koszmarne...

Na górze. Pewnie są na górze. Na górze jest Candy.

Ale przecież mamy Winchella...

Sięgnąłem myślą do Truposza, szukając potwierdzenia. Nie odpowiedział. Oczywiście.

- Ktokolwiek to zrobił, wciąż tu jest - wyjaśniłem Belindzie. - Jest tak silny, że wprowadził Truposza w całkowity bezwład. Sądzę, że szuka Candy. Idę za nim. Ale boję się, że jeśli pójdę na górę, nie znajdę go tam. Złapie cię i ucieknie.

- Wiec sprawdź najpierw na dole. - Była spokojna i myślała logicznie. To chyba dziedziczne.

- Mam nadzieję, że Stary Kościej wytrzyma jeszcze przez chwilę.

- Tutaj jest w porządku - stwierdziła, śmiało wchodząc do kuchni. - Drzwi piwnicy są zamknięte od tej strony.

Na górze rozległ się wrzask. Dochodził z pokoju Candy i był głosem Candy.

- Może to zasadzka? - Coś uderzyło w podłogę. Może padające ciało? Belinda złapała mnie za ramię.

- Uważasz, że to pułapka? - zapytałem.

- Garrett!

- Dobrze. Nie ma czasu na pierdoły. - A kiedy jest czas?

Zacząłem sobie wmawiać, że jestem Morleyem Dotesem. Mogłoby to być zadanie, które wymaga legendarnej zimnej krwi Morleya. Jeśli moja dziewczyna nie będzie miała chłopaka jak należy... Chłód Morleya. Miałem ochotę po niego posłać... Ale...

Ale co u jasnej cholery się tu dzieje? Zrobiłem już swoje. Dostarczyłem Winchella zapakowanego i z kokardką. Czas zabrać nagrodę i odjechać za horyzont. No więc, o co w tym wszystkim chodzi?

W moim gabinecie - spokój. Wymieniłem spojrzenia z Eleanor. Przypomniała mi, że już kiedyś miałem do czynienia ze złymi mocami, a spokój jest moją najpotężniejszą bronią.

- Trochę rozumu też się czasami przydaje, kochanie.

Pokoik od frontu przywitał mnie ciszą, jeśli nie Uczyć zapachu, który przeciwnicy kotów znają aż za dobrze.

- Ty mały gnoju. Przeholowałeś.

Wsadziłem na głowę kapelusz od deszczu i ruszyłem w stronę kuchni. Przewróciłem ją dokładnie

do góry nogami, aż znalazłem gazę do sera, którą Dean kupił, kiedy miał nagłe objawienie, że zaoszczędzi pieniądze, robiąc domowy ser. Powiedziałem mu wtedy, że jeśli zechce oszczędzać, zacznie od pozbycia się gospościa. W każdym razie do tej pory koszt gazy mieliśmy na minusie, a na plusie ani śladu sera. Odciąłem kilka jardów, założyłem na kapelusz, a końce wsunąłem pod kołnierz z przodu i z tyłu,

- Co ty robisz najlepszego?

- Trik pszczelarza. Może i ty powinnaś spróbować.

- Jesteś stuknięty, Garrett.

Ale poszła za moim przykładem i nawet sprawiła sobie prowizoryczne rękawiczki.

Przekopywałem się przez szuflady i zaglądałem do szafek tak długo, aż znalazłem świece siarkowe.

- Staraj się nie oddychać oparami, kiedy je zapalę. Nakryjesz się nogami.

Belinda potrząsnęła głową, mrużąc nieprzyzwoite słowa, ale posłuchała.

- Jesteś kompletnym paranoikiem. Wiesz o tym, no nie?

- Zawsze taki byłem, odkąd stwierdziłem, że chcę mnie dorwać.

A poza tym nie mógłbym przeżyć, gdyby to ciebie miał teraz załatwić. - 1 do tego urodzony romantyk.

- To cały ja. Człowiek o tysiącu twarzy.' - A wszystko to punktowane powtarzającymi się głuchymi łupnieciami i wrzaskami z góry. Potem krzyki ucichły. Milczenie było dziwnie złowróżbne.

- Chyba powinieneś już wsiąść na swojego konia, Garrett.

- Jasne. - Sprawdziłem Deana. Radził sobie tak dobrze, jak można się było tego spodziewać. Zaopiekuje się nim ten jego kosmaty kumpel. Żałowałem, że nie mam czasu posłać po posiłki, ale cisza na górze przypominała mi, że już nie mam czasu.

- Biały rycerz pędzi na pomoc. No, był biały, nim zaczął rdzewieć.

- Idziemy, Garrett.

Tą dziewczyna nie ma stylu. Za to ma cholernie śliczne nogi.

?- Wiedziałem! - jęknąłem. - To musiało być coś niemożliwego! Na piętrze były motyle. Wielkie, zielone i nieprzyjemnie mięsożerne, lecz na szczęście głupie i dość nieliczne.

- Uważaj na nie. Mam wrażenie, że jeśli cię ukąszą, mogłyby przenieść kłatwę tak, jak moskity przenoszą żółtą febrę. Ludzie w TunFaire zwykle o tym nie wiedzą, ale na wyspach człowiek szybko się uczy od miejscowych. O ile jest dość sprytny, żeby słuchać tego, co mówią.

- Zapal świece.

Belinda właściwie niewiele mi pomagała. Raczej zawadzała. Nie był jeszcze czas na świece.

Najpierw odwiedziłem moją ulubioną szafę, wybrałem brzydki nóż i podałem jej.

- Jeśli zbliży się do ciebie, użyj tego i wyróżnij na nim swoje inicjały.

Dla siebie wybrałem nóż o ostrzu tak długim, że mógłby właściwie kwalifikować się jako krótka szabla. Wskazałem nią drzwi do pokoju Candy.

Poszedłem pierwszy, jak błazen - macho, którym zresztą jestem. I oto zobaczyłem naszego włamywacza, potwora, nie człowieka,

który poruszał się prawie niedostrzegalnie, wciągając Candy pod sufit. Przyczepił blok i hak do belki, którą odśloniliśmy podczas remontu. Rządziła nim kłątwa, więc zamierzał załatwić dziewczynę tu i teraz.

- To się naprawdę mnoży - szepnęła Belinda.

Nie odpowiedziałem. W gardle miałem zbyt sucho, żeby gadać. Facet poruszał się pomimo całej mocy Truposza! Co za niewiarygodną siłę dawała ta kłątwa!

- Dlaczego Candy nie uciekała? Przecież Truposz spowalniał go na tyle, że z pewnością by jej nie dogonił...

- Hej, Belindo! Nie patrz temu błaznowi w oczy. Mam wrażenie, że jeśli położysz na tobie to zielone oko, już cię nie ma.

- Zgoda. - Nie była nerwowa. Nie moja dziewczyna Belinda. Zimna jak jej tatuś.

- Chcesz parę świec, zanim te robale mnie wyniosą? Motyle powolutku wylazły z kącików ust zabójcy. Zapaliłem świecę siarkową od kaganka, który Belinda mądrze wzięła z dołu, i postawiłem na podłodze przy samym wejściu do pokoju Candy. Kiedy wstawiłem drugą, wielgas zauważył, że ma towarzystwo.

Bogowie, ależ on był wielki! Wyglądał jak starszy brat Saucerheada Tharpe'a. Gdzie ten Winchell go wynalazł? Nic tak wielkiego nie powinno biegać luzem. Powoli obrócił głowę.

- Czemu go nie dźgniesz, Garrett? Masz zamiar stać tu i pierdzieć w portki?

Właśnie. Mam trochę nadaktywne sumienie. A w tym przypadku dodatkowo byłem całkowicie ogłupiały. Przecież to się nie mogło dziać! Problem zabójcy kobiet miał być rozwiązany w lokalu Hullara. Powinienem być teraz w łóżku, a może nawet spać.

Wielgas wciągnął Candy tak wysoko, że tylko głową dotykała podłogi. Puścił sznur, który skrzypiąc przeleciał przez blok. Dziewczyna z hukiem spadła na ziemię. Zaczęła rzezić przez knebel, jakby chciała wypowiedzieć moje imię.

Miałem nadzieję, że nie próbuje mnie ostrzec. Nie miałem czasu się nią zajmować. Facet zaczynał dostawać zielonych oczu. Rzygnął motylami. Większość z nich też była zielona. Stary Drachir musiał lubić zielony kolor.

Wielgas starzał mi się w oczach. W ciągu ostatnich kilku minut posunął się o dwa lata. I jakby się trochę zmniejszył, choć i tak nie byłem gotów, żeby stanąć z nim na jakieś piętnaście rund.

I wtedy dobrze się przyjrzał Belindzie.

Rzucił się na nią tak, jakby startował pod wiatr sto mil na godzinę. Sapał i chrapał. Z nosa leciały mu mole - bardzo głupie mole zresztą, albo klątwa nie działała na nie prawidłowo, bo atakowały głównie jego.

Zapaliłem mu przed nosem świecę siarkową. Rzygnął motylami, które nie mogły mnie dostać z powodu gazy na ser. On się tym jednak raczej nie przejmował. Widział wyłącznie Belinę.

- Nie patrz sukinsynowi w oczy - przypomniałem, przesuając się na bok. Opadłem na kolana i popęzłem naprzód, podczas gdy łotr dalej parł jak lodowiec. Przeciąłem mu ścięgna pod prawym kolanem i lewą kostką. Chwilę to trwało, nim jego mózg o tym usłyszał, ale wreszcie padł. I znów zaczął się podnosić. Wbiłem mu nóż w dłoń, przyszpilając go do ziemi.

Belinda załatwiła mu drugą łapę.

- Mógłbyś teraz spróbować go udusić - zauważyła. Miała te same upodobania, co tatuś.

Skumulowany ból i uszkodzenia ciała spowodowały wstrząs, który sprawił, że klątwa trochę popuściła. Truposz natychmiast skorzystał z okazji. Bandyta zeszywniał jak kamień.

Jak daleki, daleki szept na przeciwnym wietrze nadleciała myśl:

Wcale ci się nie spieszyło...

Uwolniłem Candy.

- Dlaczego ty ciągle musisz się włączyć z tymi zboczeńcami? - zapytałem. - Co brakuje takiemu normalnemu facetowi jak ja?

Zarzuciła mi ramiona na szyję. Nie powiedziała ani słowa, nawet kiedy Belinda zadzwiała:

- Może zauważyła, że jesteś zajęty...

Przylgnęła do mnie tak, jakby miała nie puścić już do końca życia.

Motyle szalały dookoła. Mnie też dosięgły opary siarki. Owady odkryły nagie obszary iia ciele Candy i natychmiast zwołały kumpli. Nie wiedziałem, czy te małe diabły mogły rzeczywiście przynieść klątwę.

- Wynosimy się stąd. Zamknijmy ich razem ze świecami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wsunąć paru świec do pokoju Truposza, dla efektu, dopóki był zajęty.

Belinda pomogła Candy, choć niechętnie.

Spojrzałem na mojego nieproszonego gościa. Motyle wciąż wpełzały mu z otwartych ust.

- Nie możemy go tu zostawić - mruknęła Belinda.

- Dlaczego nie?

- Kipnie.

- Spytaj mnie, czy mnie to obchodzi.

- Pomyśl, geniuszu.

Doprawdy. Jakby jednego nie było dosyć.

- A ty siedź cicho - burknąłem, obrażony. Gdyby zbój umarł, byłbym jedynym miejscem, gdzie klątwa mogłaby się przenieść. Nie uważałem tego za najlepszy pomysł.

- Musi pozostać nieprzytomny. Mógłby popełnić samobójstwo. Nagle nabrałem przekonania, że wizyta Winchella u Hullara miała posłużyć tylko jako kamuflaż. Prawdziwy atak miał nastąpić tutaj.

Mogę go utrzymać pod kontrolą, przekazał mi Truposz.

- Tak jak wtedy, kiedy tu przyszedłem? Zwiąż go, jeśli od tego poczujesz się lepiej.

- Racja. - Zajrzałem do pokoju Candy. Problem z oddechem gościa uległ znacznemu zmniejszeniu.

Podłoga zasłana była martwymi motylami. Tylko kilka jeszcze się ruszało.

- Mam pomysł - mruknąłem. - Może klątwę przenieść na Truposza? Wtedy nie będzie mogła...

- Ale będzie mogła bezpośrednio sterować tobą.

- Panna Praktyczna. - Wyciągnąłem kłębek lnianego sznura i zacząłem pracować nad zabójcą.

Wykorzystałem cały, potem zakneblowałem bandziora na dobre, tym samym ratując go przed oparami.

Dałem Belindzie moją pałę.

- Walnij go, jeśli choć mrugnie okiem.

- A ty dokąd?

- Idę po Blocka. Niech zabierze stąd tego typu. Nie odszedłem tak daleko. Nie od razu.

Powinienem być wiedzieć. Powinienem być się spodziewać. Do licha, powinienem być na to liczyć. To chyba jest zapisane w gwiazdach. Wszystko zaczęło się od Warczącego Psa Amato i choćbym nie wiem jak się wywijał, Amato wciąż mi wchodził w drogę. Dlaczego więc u Ucha miałbym być zdumiony, że w holu ujrzałem Warczącego Psa w towarzystwie Sas i Deana? Sas wyglądała na bardzo zdenerwowaną, Amato krzątał się wokół Deana, a ten uparcie i mętnie powtarzał, że nic mu nie jest. Dean był tak oszołomiony, że nawet nie zauważył, że jest ranny.

- Jak ja to obejdę - wymamrotałem, zanim ktokolwiek jeszcze mnie zauważył. W tej chwili kłopoty Warczącego Psa niewiele mnie obchodziły.

- Garrett! Zauważono mnie.

- Nie zaczynaj, mam teraz własne problemy i naprawdę będzie mi cholernie trudno mieć gdzie indziej niż w nosie to, co cię akurat trapi.

- Hej, ty, nie ma problemu. Trochę się spodziewałem, że będziesz zdenerwowany, kiedy zobaczyłem ten bajzel.

- Klątwa się jakoś rozdzieliła. Mam na górze drugiego zabójcę. Kurde. Oczy mu się zaświeciły.

- Idę po kapitana Blocka.

- W porządku, rozumiem. Zostanę tutaj i będę miał oko na wszystko.

- Nie musisz. Wracaj do domu. Podleczone oko. Truposz może być całkiem pożyteczny, jak się przyłoży.

Odebrałem zadowolony chichot zza ściany i zaprzeczenie od Amato:

- Nie czułbym się dobrze, Garrett. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś. W każdym razie muszę z tobą pogadać o mojej córeczce. Ta tutaj Sas nie jest moją córką.

Tak mi się też zdawało. Nie czekałem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Marzyłem sobie po cichu i w duchu, że Truposz zlituje się nade mną i go wykończy, zanim wrócę.

Odnalezienie Blocka miało dla mnie jedną dobrą stronę - zbudziłem go. Znowu. Nigdy nie czułem wyrzutów sumienia, kiedy musiałem ściągać ludzi z łóżka. W końcu zawsze ktoś przychodził i żądał, żebym był trzeźwy i jasnooki o jakiejś nieprawdopodobnej godzinie poranka.

- Tak! - nalegałem, kiedy już przedostałem się do jego kwatery. - Zbierz swoją tłustą polityczną dupę, Block, i chodź ze mną, to sam zobaczysz- Klątwa się rozmnożyła. Jeśli nie złapiesz tego faceta, wszystko będzie jak dawniej, jakbyśmy nigdy nie spotkali gościa nazwiskiem Winchell. Gwarantuję. Myśli pan, że biegam sobie o tej porze tylko dlatego, że coś mi się nie podoba? Chyba mnie pan zna.

- Niestety - burknął Block. - Nie możesz go przyprowadzić jutro, Garrett?

- Idę do domu. A kiedy tam się znajdę, przekażę faceta pierwszemu, kto się nawinie. Jeśli nikogo nie znajdę, puszczę go. I nic mnie już nie będzie obchodziło rozplątywanie klątw rzuconych przez jakichś stukniętych czarodziejów z dawnych czasów. Chce mnie pan uradować, proszę przyjść z jakimkolwiek pretekstem, żeby aresztować Warczącego Psa Amato. Może jako świadka koronnego. Inaczej doprowadzi mnie do szału.

Block przez chwilę mnie obserwował, może myśląc o tym, czy powinien się rzucać na taką okazję. Na usta wypełził mu paskudny uśmiech. Ostrzegłem go:

- Niech panu nawet nie przychodzi do głowy, żeby zrobić coś, czego będę potem żałował.

- Ja. Zapomnij, Garrett! Może nawet jeszcze więcej. Echavar! Natychmiast w pokoju zmaterializował się służalczy typ, który jakby czekał za drzwiami w nadziei, że ktoś go wezwie.

- Powiedz Relwayowi, że potrzebuję oddziału, żeby mi towarzyszył przy aresztowaniu kolejnego nosiciela klątwy. A jeśli mi się nie uda, to przynajmniej wicherzyciela porządku publicznego.

Miałem dziwne wrażenie, że wcale nie ma na myśli Warczącego Psa.

Block nie rozpoznał faceta, który napadł na mój dom. Jego chłopcy też nie. Po przeszukaniu go i zebraniu zeznań od Candy i Truposza Block musiał niechętnie przyznać:

- Zdaje się, że dobrze zrobiłeś, Garrett.

- Niech pan to powie naszemu aromatycznemu koledze na dole.

Warczący Pies nie poszedł do domu. Dziewczyna imieniem Sas - tak, ale tylko dlatego, że ludzie Blocka oderwali ją od Amato. Block i Warczący Pies wciąż nie marnowali na siebie cieplejszych uczuć.

Obserwowaliśmy z Blockiem, jak Relway i jego chłopcy pakują mojego mordercę do worka.

- Chce pan, żebym go przymknął za włóczęgostwo? - zapytał Block.

- Co takiego?

- Mówię o Amato. Och, przepraszam. Nie był pan obecny przy dyskusjach na temat instrumentów do walki z przestępczością. Prawo o zwalczaniu włóczęgostwa. Pomysł Relwaya. Wyniknął z badań nad tymi dawnymi czarnoksiężnikami. W czasach imperialnych było takie prawo. Jeśli nie możesz udowodnić, że jesteś zatrudniony i otrzymujesz za to wynagrodzenie lub masz pieniądze w kieszeni, sio! Masz do wyboru celę lub wyjazd z miasta. Amato byłby ugotowany, gdybyśmy się do niego dobrali. Nigdy w życiu nie miał pracy.

- Niech pan tego nie robi. - Tu się zaczynało dziać coś straszego. - Odkąd to łazisz i ładujesz ludzi do kicią tylko dlatego, że jeden z twoich chłopaków miał pomysł, Block?

- Odkąd Rupertowi ten pomysł spodobał się tak, że natychmiast ogłosił go jako prawo. Dotyczy wszystkich wewnątrz murów. Rasa nie ma znaczenia. Nie ma na tyle luzu w traktatach, abyśmy mogli traktować włóczęgów i pasożyty społeczne jak przestępców - gdybyśmy wszystkich zaczęli traktować jak ludzi. - Uśmiechnął się paskudnie.

Zdaje się, że czekają nas dość nieprzyjemne czasy. Nie miałem wątpliwości, że nasz gang prawa i porządku będzie traktował niepożądany element ludzki znacznie gorzej niż przedstawiciele innych ras.

- Tymczasem moi kumple Crask i Sadler siedzą u kacyka i już planują, jakby mi się tu odwdzięczyć za wszystkie usługi, które zostały mi przypisane. - Trochę mnie to irytowało. Block i jego chłopcy aż dyszeli prawem i porządkiem, ale Crask i Sadler wyszli, ponieważ mieli powiązania.

- Tak jak to teraz idzie, Garrett, nie pozwoliłbym Relwayowi zająć się nimi, ale ty też spieprzyłeś sprawę.

- Ja?

- Crask mógłby się nawet powiesić w celi. Może nawet z powodu wyrzutów sumienia. - Wyszczerył zęby. Wyrzuty sumienia? Niezły dowcip. - Ktoś mógł dzisiaj wieczorem porządnie skaleczyć Sadlera. Ale gdyby tak się stało, jęczałbyś i kwękał, aż wszyscy mieliby cię ochotę udławić kostką z kurczaka.

Miał rację. Morley też. Naprawdę powinienem sobie wypracować bardziej życiowy zestaw kanonów etycznych. Udowodniono, że fanatyczne przywiązanie do ideałów może być fatalne w realnym świecie. Zwłaszcza w TunFaire, gdzie etyka i ideały są mistycznymi słowami w języku nieznanym dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom ludności.

Przyznałem, że być może faktycznie ma rację.

- Ale czasem niech pan udaje, że jestem pana sumieniem. Proszę nie być takim zapalonym przy przejmowaniu ulic, żeby nie pamiętać, po co istnieje prawo.

- Dzięki, Garrett. Teraz to już z dnia na dzień będę czekał, aż się pan pojawi na stopniach Sądu w długiej, szarej szacie, wyjąc do zgromadzenia.

Musiał odejść. Mógłby mi wyprać mózgowicę. Taki byłem skonany. Już mnie miał w połowie. To straszne tak w każdym punkcie zgadzać się ze Strażą.

Powrót do domu nie poprawił sytuacji. Pozbyłem się większości nieproszonych gości, ale Warczący Pies pozostał. Nie byłem szczególnie miły.

- Jestem na nogach więcej godzin, niż byłbym w stanie policzyć. W tym czasie trzech różnych ludzi próbowało mnie zabić. - No, może przesadzałem. Kto wie, co by się działo, gdyby pewne osoby dostały to, czego chciały? - Próbowali zabić moich przyjaciół. Jestem w takim stanie, że nie będę słuchał jeremiad. Jak masz problem, przyjdź z nim za kilka dni.

Nie przypomniałem mu, że nie jestem na jego liście płac, a on nie będzie miał problemów.

Tyle, jeśli chodzi o opanowanie. Moje uwagi zniszczyły całkowicie mój image w oczach pań. Belinda otworzyła swój worek cudów i odkryła, że ma sto jedenaście sposobów, żeby mi zatruć życie za to, jak traktuję starszych ludzi. Candy nadeła się jak ropucha i całkiem zapomniała, kto właśnie uratował jej delikatny zadek. Zabrała Warczącego Psa do domu i nie wróciła.

Ona jest jego prawdziwą córką, wyjaśnił mi Truposz

- Zorientowałem się. Nie musiałem nawet liczyć na palcach. To długa historia.

- No to nie trać teraz czasu na jej opowiadanie. - Rzuciłem Belindzie znaczące spojrzenie. Dla

niej nie miało to żadnego znaczenia. Krzątała się wokół Deana, który znów się zainstalował w pokoiku od frontu. Mówiła mu takie rzeczy, że doszedłem do wniosku, iż nie ma zamiaru spełnić swych poprzednich grózb.

Jej matka weszła w związek z mężczyzną, którego do tej pory Candy uważała za swego prawdziwego ojca.

- Czy naprawdę musimy? Teraz? - Zezem spojrzałem na drzwi frontowe. Drzwi, których nie było. Czy mogę zaufać Truposzowi, że nie zapadnie w drzemkę, dopóki ja się nie prześpię?

Dał mi znak, że mogę mu zaufać. Pomiędzy jednym a drugim rozdziałem łzawej historii, w której nasza piękna heroina pokonała wszelkie przeszkody, byłe wrócić do prawdziwego ojca.

- Dobrze, Śmieszku. Wszyscy widzieliśmy. Tak jej się do niego spieszyło, że aż miała pianę na ustach.

Uznałem, że już po dwóch dniach będzie ją przyprawiał o mdłości. W końcu wiedziała już tyle, że aż do dziś nie chciała mieć z nim bezpośrednio do czynienia. Może i nigdy potem, jeśli zobaczy ten śmietnik, gdzie przyszłoby jej mieszkać.

Truposz ciągnął dalej, ale ja też byłem uparty. Odciąłem go. Odciąłem się od wszystkich żądań i poszedłem do łóżka. W ciągu kilku sekund, jakie dzieliły mnie od snu, nostalgicznie wspomniałem stare czasy, kiedy mieszkalem sam i nieraz robiłem wszystko tak, jak sam chciałem.

Dean wpuścił mnie przez nowe drzwi. Jego ramię jednak nie było złamane, a nasza katastrofa okazała się bardzo po myśli pracowitych mrówek, takich jak on. Zaraz sprowadził robotników i pomiatął nimi od bladego świtu jak prawdziwy poganiacz. Kiedy już nie mogłem dłużej spać przez ten hałas, jakby się świat walił, wstałem i wyszedłem, żeby zgodnie z sugestią Truposza sprawdzić, co porabia Block i jego chłopcy.

- Wiesz, co zrobili? - opowiadałem potem Truposzowi - Wsadzili ich do celi, dopóki byli jeszcze nieprzytomni. Potem zamurowali drzwi. Cele nie mają okien, tylko szczelinę w drzwiach, przez którą można przepchnąć jedzenie.

To by wystarczyło... albo studnia ściekowa. Wpadłem mu w słowo.

- Wszystkim się zajęli, Śmieszku. Wszystkim. Dopilnowałem nawet tej sprawy ze sznurami. Z czym?

- No, tymi pasami ze sznura. Wszyscy nasi mordercy je nosili. A potem Winchell pojawił się u Hullara z pasem częściowo rozplecionym. Facet, który rozniósł mój dom, miał na sobie coś, co wyglądało jak brakująca część sznura Winchella.

Jakoś mi o tym nie wspomniałeś. Wyszczrzyłem zęby.

- Troszkę oszukiwałem, żeby nie odebrali mi całej chwały.

Jakiej chwały? Dla ciebie i tak nic nie zostanie. Opinia publiczna będzie wierzyć, że triumf nad kłatwą zawdzięcza wyłącznie kapitanowi Blockowi. Już on się tym zajmie.

Zawsze musi mi psuć zabawę.

- Block zamknął sznury w skrzyni umieszczonej w zapieczętowanej trumnie w drugiej, zamurowanej celi.

Truposz wciąż miał wątpliwości, wiedząc, jak nieskuteczna potrafi być Straż. Ja też się tym martwiłem. Ukryłem to uczucie.

- Dostałem ostatnie tłumaczenia z moich badań. Miałem racje. Cała sprawa zaczęła się od kobiety. Znaleźli dla mnie nawet portret Drachira.

Który wyglądał dokładnie tak, jak ten stary w powozie.

- Tak. - Nie można powstrzymać zdeterminowanego telepaty. - I nosił kolczyki z motylami.

Chyba, bardzo się interesował motylami.

- Prawdopodobnie.

A jeszcze bardziej tym, żeby przeżyć swojego rywala.

Musiał ukraść moją rewelację! Wracam sobie do domu po uszy napakowany nowinami, a on wykrada mi je z głowy albo już sam na nie wpadł.

- Tak. Wymyślił, jak można stać się nieśmiertelnym w brutalny sposób. Kiedy skonstruował klątwę, wsadził tam dodatkowy warunek, żeby ta kobieta Candide, która nim wzgardziła, dostała za swoje. A potem dał się zabić. Już mu przestało zależeć. Wróci do życia poprzez klątwę. Niestety, zawsze zatrzymywano jej działanie, zanim zdołała odtworzyć człowieka, który ją skonstruował.

Człowiek zawsze się zastanawia nad osobami pokroju Drachira, którzy gotowi byli poświęcić setki istnień dla mglistej szansy, że może uda im się zwać śmierci choć na chwilę. Istnieją ludzie przebrani za ludzkie istoty, którzy patrzą na ciebie z góry i nie widzą w tobie większej wartości niż w robaku. Szkoda, że nie zadowala ich pożeranie się między sobą.

Spodziewałem się, że pod wpływem klątwy obaj więźniowie popełnią samobójstwo. Truposz miał inne zdanie.

Teraz to nie miałoby sensu. A gdyby któryś nawet przegryzł sobie żyły? Co wtedy? Nawet Block nie jest teraz taki głupi, żeby wejść do celi bez osłony potężnego czarnoksiężnika.

- Jeśli w ogóle jakiś się pokaże.

W istocie. A to może nigdy nie nastąpić. Mogą zostać w Kantardzie.

- A tymczasem będziemy tu mieć gnijącego trupa. Pewnego dnia ktoś zdenerwuje się smrodem, otworzy celę...

Truposz przestał słuchać. Niechętnie przyznał, że mogę mieć trochę racji. Popełniłem jednak błąd i nieostrożnie skierowałem jego myśli w stronę Kantardu.

A nowin było dużo. Zbierałem je przez cały ranek, ale i tak dostał sporą porcję od Saucerheada. To cały mój kumpel Tharpe - przybiegnie z każdą plotką, jeśli tylko zdoła tym choć trochę pogłębić biednego Garretta. Lubię tego gościa, ale on nie widzi związków przyczynowo- skutkowych. Gdyby mózg był kitem szklarskim, Tharpe swoim nie oszklifyłby nawet pokoju bez okien.

Nowiny z Kantardu wyglądały tak, jakbyśmy wielkimi krokami zmiierzali do zwycięstwa Karenty. Możemy się spodziewać niekończących się parad i niezliczonych otępiających przemówień.

Straty Karenty były tak ciężkie, jak przewidywałem, ale morCartha całkowicie przewróciły kantardzkie równanie. Venageti byli skończeni. Padli. Quaracheo był teraz ich najbardziej wysuniętą na północ placówką. A to tak daleko na południu, że nawet nasi komandosi jeszcze tam nie byli.

Zaś armia republikańska Glory'ego Mooncalleda, pełna motywacji i odważna, nie mogła pokonać połączenia liczebności, czarów i zdecydowanie wyższej inteligencji, jakie zmobilizowano przeciwko niej. Dziś nasi komendanci wiedzieli, co planują republikanie, zanim jeszcze zaczęli działać.

Nie potrzeba było geniusza wojskowego, żeby wiedzieć, iż wkrótce wezmą nogi za pas, a morCartha dostaną zadanie zagonić ich na śmierć.

Właściwie nikt nie dawał wiary tym nowinom. Wielu nie chciało w nie wierzyć. Ale trudno było zaprzeczać dowodom, mówiącym, że trwającą całe pokolenia wojnę zakończy się w ciągu roku, że w każdej chwili może wybuchnąć pokój. A wszystko

z powodu tych małych, latających gnojników, które w TunFaire wszyscy uważali za robactwo.

Ja ci pokażę, jak powiada Saucerhead. Nigdy nic nie wiadomo. Saucerhead Tharpe to prawdziwy uliczny filozof. Przyszłość stawała się nieprzyjemnym terytorium. Belinda nigdy nie zdołała przeprowadzić Truposza do domu Morleya, Udało jej się zobaczyć ze wszystkimi rekinami podziemnego świata i większością podobno legalnych współników swego ojca. Ledwie się obejrzałem, a już pędziła do domu.

Crask i Sadler wymknęli się z posesji Chodo. Kręcili się jednak w pobliżu i czekali.

Candy zniknęła z mojego życia. Wróciła na Górę, prawdopodobnie po to, by uciec przed Warczącym Psem, który nie był tam mile widziany. Amato niezmiennie zatruwał mi egzystencję, żądając rzeczy niemożliwych do spełnienia. Nie mogę przecież wyważyć drzwi do domu, w którym nie chcą go widzieć. Współczułem facetowi, ale pomóc mu nie mogłem. Jednak od czasu do czasu dostarczałem Hullarowi raporty, nie mówiąc o tym Warczącemu Psu, żeby Candy wiedziała, co się dzieje. Nie mogłem mu jednak dać tego, o czym myślał, że tego pragnie. Nie mogłem podać mu nazwiska rodziny, która adoptowała Candy.

Belinda przysłała mi list z zaproszeniem. Pożyczyłem bryczkę od Kolesia i powlokłem się na jej spotkanie. Znała mnie lepiej, niż sądziłem. Dopiero po imprezie wywiozła tatusia.

Ten sam stary Chodo. Radosny jak młot, bystry jak kartofel. Wykorzystywała go dokładnie w ten sam sposób, co Sadler i Crask. Odrzuciło mnie. Wyszedłem tak szybko, jak się dało, żeby nikogo nie wkurzyć.

Byłem też rozczarowany. Belinda okazała się nie lepsza niż zbiry, których przepędziła. Stała się nowym kacykiem, wspinając się po jeszcze ciepłym ciele własnego ojca.

Musisz? jęknął Truposz. Właśnie miałem się zdrzemnąć. Zamierzałem opuścić ten padół smutku na rzecz krainy słodkich snów.

- Daj spokój, to coś naprawdę wyjątkowego.

No to mów. Niech to się już skończy. Potrzebuję snu.

Nie mógł być bardzo zmartwiony, niezależnie od sytuacji na froncie. Nie zagroził, że zamknie interes na zawsze.

Przeżyłem niezliczone rozczarowania z rąk waszej niegodnej rasy. Jeszcze jedno i przekroczę próg. Gadaj, co masz do powiedzenia.

Opisałem mu wizytę w domu Contague. No, powiedzmy, większość. Jako dżentelmen, co nieco dyskretnie opuściłem.

Ciekawie by było, gdyby pan Contague od czasu do czasu złożył mi wizytę. Mogłoby się okazać, że to niezwykle człowiek.

Powiedział to oczywiście tylko po to, żeby mnie rozzłościć.

- Co chcesz powiedzieć przez...? Hej! - Odplynął w sen. Bardzo szybko. I nie miał zamiaru się obudzić, żeby wyjaśnić, co ma na myśli.

Pozostawienie mnie z domysłami należało, oczywiście, do jego planu.

Nie ma Belindy, nie ma Candy, a i Tinnie wciąż się nie zjawiała, żeby mi powiedzieć, że nie muszę przeproszać za to, czego nie zrobiłem.

- I znowu tylko ty i ja, piękna pani - powiedziałem do Eleanor. - Wreszcie sami. Może: wreszcie? Sam nie wiem.

Truposz naprawdę mocno zajął się drzemką i istniała pewna szansa, że Dean wyprowadzi się z mojego domu... przynajmniej na jakiś czas. Jedna z hordy jego paskudnych krewniaczek zaprzedała duszę, albo co, i znalazła ślepego chłopca, który na nią poleciał. Nie jestem religijny, ale się modliłem. Na polu bitwy nie ma miejsca dla ateistów. Żeby tylko się odbyły zaręczyny. Chciałem, żeby Dean pojechał na ślub, który będzie miał miejsce poza miastem, jeśli w ogóle dojdzie do skutku. A wtedy pozbędę się kota. Spalę tysiąc świec siarkowych. A może sprzedam dom wraz z zawartością i zniknę, zanim jeden się zbudzi, a drugi wróci. Uproszczę sobie życie. Przeniosę się na drugą stronę miasta, zmienię nazwisko i wezmę się do uczciwej pracy.

Dowiedziałem się, że mam szósty zmysł. Moje prorocтва okazały się prawdziwe. Kolejnym hitem sezonu była rewolucja. Wylała się z kafejek i poniosła sromotną klęskę. Ponieważ składała się

z samej młodzieży - ani nie prosiła, ani nie przyjmowała niczego od starych i doświadczonych. Westman Block i jego tajna

policja, pod dowództwem Relwaya Sencera, zjadła ich na surowo. Rebelia rozpadła się, nie wznecając nawet kurzu. Potem Block chwalił się, że pięciu członków siedmioosobowego Wspólnego Rządu Rewolucyjnego było agentami Relwaya.

Potrzebujecie dalszych dowodów, że ci głupcy byli naprawdę durniami pierwszej wody? W prawdziwym świecie Block, kiedy wpadł w tarapaty, musiał mi płacić, żeby ratować swoje szynki.

Ostatnio jakoś się tu przestał kręcić. Na szczęście. Powiadają, że cała kabała czarnoksiężników wyraziła zgodę na zbadanie i rozwiązanie sprawy Klątwy Candide (a dlaczego nie Klątwy Drachira?) i że będą sobie uważnie patrzeć na ręce, żeby żaden nie skorzystał na zaklęciu. Jak tylko złapią Glory'ego Mooncalleda.

To może chwilę potrwać.

Bohater Truposza jeszcze się nie poddał. Nie zraziły go ani morCartha nad głową, ani propozycja zawieszenia broni Venagetich.

Życie było piękne. Życie było normalne. Mogłem sobie spokojnie usiąść i zająć się poważnym myśleniem i degustacją piwa.

A potem zjawił się niejaki Karpieł, krewniak Morleya, i przyniósł mi papugę. Podobno prezent od mojego przyjaciela- nogo- łamacza. Papuga była z gatunku gadających. Morley uznał, że wykorzystam ją, aby doprowadzić do szału Deana i pozbyć się kota. Ptaszysko nienawidziło kotów. Napadało na nie z góry, celując pazurami po uszach i oczach.

Słowo porady. Słowo mądrości. Głos doświadczenia. Nigdy, przenigdy nie pozwólcie, aby gadająca papuga znalazła się w zasięgu myśli martwego Loghyra... Przenigdy.

Glen Cook urodził się w roku 1944, w Nowym Jorku.

Mieszkał w Columbus, w Indianie, w Rocklin, w Kalifornii i w Columbi w Missouri, gdzie uczęszczał na państwowy uniwersytet. W roku 1970 uczestniczył w Warsztatach Pisarskich Clariona, gdzie spotkał swoją żonę, Carol.

„W przeciwieństwie do większości pisarzy nie miałem dziwnych zawodów, jak skubanie kurcząt i handlowanie zdrowotnymi balonikami. Jedyнным pełnoetatowym pracodawcą, jakiego kiedykolwiek miałem, jest General Motors, gdzie pracuję na Unii montażowej lekkich samochodów ciężarowych. Hobby to zbieranie znaczków i pobożne życzenie, aby żona pozwoliła mi przynieść do domu elektryczną gitarę. Wtedy wraz z moimi synami będziemy mogli terroryzować sąsiadów domoroślą, ogłuszającą rock and rollem”.

? W oryginale: „Prince” – książę i „Piss” szczyny – wargi układają się podobnie